


Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Honoriusz Balzac

Dwaj poeci

Stracone złudzenia

przełożył Tadeusz Żeleński-Boy

Tytuł oryginału Les deux poètes

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Ty, który dzięki przywilejom Rafaelów i Pittów byłeś już wielkim w wieku, w którym ludzie są jeszcze tak mali, i Ty musiałeś, jak Chateaubriand, jak wszystkie prawdziwe talenty, walczyć przeciw zawiści ukrytej poza kolumnami dziennika lub też przyczajone! W jego podziemiach. Toteż pragnę, aby Twoje zwycięskie nazwisko dopomogło do zwycięstwa temu dziełu, które Ci poświęcam, a które, zdaniem niektórych osób, jest w równej mierze aktem odwagi, co pełną prawdy historią. Czyż dziennikarze nie byłiby, jak markizi, finansiści, lekarze i adwokaci, tematem dla Moliera i jego talentu? Czemu tedy dla „Komedii ludzkiej”, która *castigat ridendo mores*¹, miałaby stanowić wyjątek jedna potęga, skoro prasa paryska nie uznaje za nietykalną żadnej?

Szczęśliwy jestem, drogi Panie, iż przy tej sposobności mogę się nazwać Twoim szczerym wyznawcą i przyjacielem — de Balzac.

¹ *Castigat ridendo mores* (łac.) – śmiechem poprawia obyczaje.

W epoce, gdy się zaczyna to opowiadanie, prasa Stanhope'a i rulony do farby drukarskiej nie znane były jeszcze w małych drukarniach na prowincji.

Mimo specjalności, dzięki której miasto to styka się wciąż z typografią paryską, Angouleme posługiwało się wciąż prasą drewnianą, któremu to instrumentowi język zawdzięcza wyrażenie „jęczenie prasy”, obecnie przebrzmiałe. Zacołane drukarnie używały jeszcze poduszek skórzanych napojonych farbą, którymi robotnik pocierał ręcznie czcionki. Ruchoma płyta, na której spoczywa pełna czcionek forma z ułożonym na niej arkuszem papieru, była jeszcze z kamienia i usprawiedliwiała nazwę *m a r m u r u*. Zachłanne dziś prasy mechaniczne tak dalece wtrąciły już w zapomnienie ów system, któremu mimo jego niedoskonałości zawdzięczamy piękne wydawnictwa Elzewirów, Plantynów, Aldów i Didotów, że trzeba nam wspomnieć tu nieco o starych narzędziach, do których Hieronim Mikołaj Sechard żywił zabobonne przywiązanie, odgrywają one bowiem rolę w tej małej, a zarazem dużej powieści.

Ów Sechard był to dawny robotnik przy prasie, z tych, których w gwarze drukarskiej robotnicy zajęci składaniem nazywają niedźwiedziami. Ruch naprzód i wstecz, dosyć podobny do ruchu niedźwiedzia w klatce, którym drukarze poruszają się od kubła z farbą do prasy i od prasy do kubła, stał się zapewne źródłem tego przydomka. Nawzajem, niedźwiedzie nazywali składających czcionki małpami dla nieustannych ruchów, jakie wykonują, czerpiąc czcionki w stu pięćdziesięciu dwóch przegródkach, w których się mieszczą. W smutnej pamięci epoce 1793 r. Sechard, liczący około pięćdziesięciu lat właśnie się ożenił. Wiek i świeże małżeństwo ocaliły go od masowego poboru, który powołał prawie wszystkich robotników do armii. Stary niedźwiedź był sam w drukarni, której pryncypał umarł właśnie, zostawiając bezdzietną wdowę. Zakładowi groziła lada dzień ruina: samotny niedźwiedź niezdolny był przeobrazić się w małpę; mimo że drukarz, nie nauczył się czytać ani pisać. Bez względu na jego nieudolność reprezentant ludu, któremu pilno było rozpowszechniać piękne dekrety Konwentu ozdobił Secharda dyplomem majstra drukarskiego i zarekwirował jego zakład. Przyjawszy ten niebezpieczny dyplom obywatel Sechard spłacił wdowę po pryncypale oddając jej oszczędności żony, którymi zapłacił inwentarz drukarni nabywszy go za pół ceny. To jeszcze nic. Trzeba było drukować, bez chyby i odwłoki, dekrety republikańskie. W tych trudnych okolicznościach Hieronim Mikołaj Sechard miał to szczęście, iż trafił na szlachcica spod Marsylii, który nie chciał ani emigrować aby nie postradać dóbr, ani pokazywać się, aby nie stracić głowy, a który mógł zarobić na życie jedynie jakąś pracą. Hrabia de Maucombe wdział tedy skromną katanę prowincjonalnego zecera: składał, przeglądał i sam poprawiał dekrety skazujące na śmierć obywateli, którzy ukrywali kogoś ze szlachty; niedźwiedź, który stał się pryncypałem, tłoczył je, rozlepił i obaj zostali zdrowi i cali. W roku 1795, gdy chmura Terroru przeszła, Mikołaj Sechard musiał szukać innego chwata, który by mógł być zecerem, korektorem i metrapaźem. Pewien ksiądz, który później za Restauracji został biskupem, wówczas zaś wzbraniał się złożyć przysięgi, zastąpił hrabiego de Maucombe do dnia, w którym Pierwszy Konsul przywrócił religię katolicką. Hrabia i biskup spotkali się później na jednej ławie w Izbie Parów. W 1802 Hieronim Mikołaj Sechard wciąż nie umiał czytać, jak w 1793: ale w zamian odłożył sobie dość ładny fundusik, aby opłacać zecera. Dawny robotnik, tak pełen bez troski o przyszłość stał się groźnym pryncypałem dla swych małp i niedźwiedzi. Skąpstwo zaczyna się tam, gdzie ubóstwo się kończy. Z dniem, w którym drukarz ujrzał możliwość uciulania fortuny, interes rozwinął u niego inteligencję zawodową; chciwą, podejrz-

liwą, przenikliwą. Praktyka jego urągała teorii. Doszedł do tego, iż jednym rzutem oka oceniał koszt stronicy i arkusza w każdym rodzaju pisma. Dowodził naiwnym klientom, że składanie dużymi czcionkami wypada drożej niż drobnymi: kiedy znów chodziło o małe powiadał, że manipulacja jest trudniejsza. Ponieważ skład był dziełem typografii, na którym nie rozumiał się nic, tedy, w obawie przed pomyłką godził się jedynie na te transakcje, gdzie zagarnął lwią część zysku. Jeżeli składacze pracowali nadgodziny, oko starego nie opuszczało ich ani na chwilę. Kiedy dowiedział się, że fabrykant jakiś jest w kłopotcie, skupywał za bezcen jego papier i gromadził go. Toteż w tej epoce był już właścicielem domu, w którym drukarnia mieściła się od niepamiętnych czasów. Szczęściło mu się w każdym kierunku: owdowiał i miał tylko jednego syna; umieścił go w tamecznym liceum, nie tyle aby mu dać wykształcenie ile aby sobie przygotować następcę. Obchodził się z nim surowo, aby przedłużyć trwanie władzy ojcowskiej. I tak w dni wolne kazał mu pracować przy składzie, upominając, aby się nauczył zarabiać na życie, tak by się kiedyś odwdzięczył biednemu OJCU, który krwi sobie upuszcza, aby go wychować. Po wyjeździe księdza Sechard zrobił protem² tego ze swych czterech zecerów, którego przyszedł biskup wskazał mu jako uczciwego i inteligentnego człowieka. W ten sposób starowina zapewnił sobie możliwość doczekania chwili, w której syn będzie mógł prowadzić zakład i rozszerzy go młodymi i umiejętnymi rękami. Dawid Sechard ukończył w liceum angulemskim świetne studia. Mimo iż wyrósłszy z niedźwiedzia, bez wykształcenia i wychowania, stary Sechard dosyć lekcewazył wiedzę, wysłał syna do Paryża, aby tam studiował typografię. Równocześnie zalecił mu usilnie, aby sobie uskładał spora sumkę w mieście, które nazywał rajem robotników, radząc zgoła nie liczyć na sakiewkę ojcowską. Był oczywiście przekonany, że kto bawi w kraju M a d r o ś c i, cel osiągnie. Kształcąc się w swoim zawodzie Dawid dokończył równocześnie w Paryżu edukacji. Prot firmy Didotów stał się uczonym. Z końcem roku 1819 Dawid Sechard opuścił Paryż, gdzie nie kosztował ojca ani szeląga; stary powołał go, aby objął ster interesu. Drukarnia Mikołaja Sechard posiadała wówczas jedyny dziennik ogłoszeń sądowych w departamencie, dalej roboty prefektury i biskupstwa; trzy klientele, które powinny dać w ręce fortunę młodemu człowiekowi umięjącemu wziąć się do rzeczy.

Właśnie w tej epoce bracia Cointet, fabrykanci papieru, kupili patent drugiej drukami w Angouleme, którą dotąd stary Sechard umiał doprowadzić do zupełnej nieczynności. Pomagały mu w tym przesilenia militarne, które za Cesarstwa zdławiły wszelki ruch przemysłowy. Z tej przyczyny zaniedbał jej nabyć; a oszczędność ta stała się źródłem ruiny dla starej drukarni. Dowiadując się o tej nowinie, stary Sechard pomyślał z zadowoleniem, że walka, która rozpocznie się pomiędzy jego zakładem a braćmi Cointet, spadnie na syna. a nie na niego.

„Mnie by diabli wzięli — pomyślał — ale wychowanek Didotów da sobie radę.”

Siedemdziesięcioletni starzec wzdychał do chwili, w której będzie mógł żyć wedle swych upodobań—O ile miał mało wiadomości z typografii, o tyle uchodził za niezmiernie mocnego w sztuce, którą robotnicy nazywali żartobliwie ł y k o g r a f i ą, sztuce wielce cenionej przez boskiego autora „Pantagruela”³, ale której kult, prześladowany przez stowarzyszenia żeglujące pod flagą wstrzemięźliwości, z każdym dniem idzie w zaniedbanie. Hieronim Mikołaj Sechard, wierny losowi, który wytyczyło mu jego nazwisko⁴, obdarzony był nieugaszoną pragnieniem. Żona jego długo utrzymywała w umiarkowanych granicach tę namiętność do tłoczonych winnej jagody, upodobanie tak naturalne u niedźwiedzi, że pan de Chateaubriand zauważył je u prawdziwych niedźwiedzi w Ameryce; ale filozofo-

² Prot – kierujący robotami w zecerni, metrapaź. (Przyp. tłum.)

³ Autor „Pantagruela” – Francois Rebelais (1494-1553), wielki humanista francuski, autor powieści o Gargantui i Pantagruelu.

⁴ Jego nazwisko – *secher* znaczy: suszyć, wysuszać. (Przyp. tłum.)

wie stwierdzili, iż przyzwyczajenia młodego wieku wracają tym silniej w starości. Sechard był potwierdzeniem tego prawidła: im bardziej się starzał, tym więcej lubił pić. Namietność ta wyciskała na jego niedźwiedziej fizjonomii piętno, które czyniło ją oryginalną: nos, a raczej nochał, przybrał wzrost i kształty wielkiego A, policzki upstrzone siecią żytek podobne były do listków wina pełnych fiołkowych, purpurowych, fantastycznie sfalowanych wypukłości; rzekłbyś, potworna trufla ukryta jesienią w liściu winnej latorośli. Ukryte pod dwiema gęstymi brwiami, podobnymi dwom krzewom przyprószonym śniegiem, małe szare oczki, w których skryło się chytre skąpstwo zabijające w tym człowieku wszystko, zgoła uczucie ojcostwa, lśniły sprytem nawet w stanie opilstwa. Głowa łysa, ale okolona siwiejącymi, kręcącymi się jeszcze włosami, przywodziła na myśl franciszkanów z powiastek La Fontaine'a. Był krótki i brzuchaty jak owe lampki, które zużywają więcej oliwy niż knota; wszelkie bowiem nadużycie popycha ciało na drogę, do której z natury jest skłonne. Opilstwo, jak praca umysłowa, tuczy tłustego, a wysusza chudego. Hieronim Mikołaj Sechard nosił od trzydziestu lat sławny pirożek municypalny, jaki na prowincji spotyka się jeszcze gdzieś na głowie miejskiego dobosza. Kamizelka i pludry były z zielonkawego akсамitu. Wreszcie miał na sobie stary brązowy surdut, pstre bawełniane pończochy i trzewiki ze srebrnymi klamrami. Kostium ten, który tracił jeszcze robotnikiem pod powłoką mieszczanina, odpowiadał tak dobrze jego przywarom i nałogom, wyrażał tak wiernie jego życie, iż można by myśleć, że Sechard przyszedł na świat już ubrany: nie sposób było wyobrazić go sobie bez jego ubrania, tak jak cebuli bez łupki. Gdyby ślepa chciwość starego drukarza od dawna już nie była znana, sposób wycofania się z przemysłu wystarczyłby; aby odmalować jego charakter. Mimo doświadczenia, jakie syn musiał wynieść z wielkiej szkoły Didotów, postanowił sobie zrobić jego kosztem dobry interes, który trawił w sobie już od dawna. Jeżeli dla ojca był dobry, dla syna musiał być zły. Ale w takich rzeczach stary drukarz nie znał syna ani ojca. Jeżeli zrazu widział w Dawidzie jedyne swoje dziecko, później ujrzał w nim naturalnego nabywcę, którego interesy przeciwne *były* jego własnym: chciał sprzedać drogo. Dawid powinien był chcieć nabyć tanio, syn więc stawał się wrogiem i zaporą. To przeobrażenie uczucia w interes osobisty, zazwyczaj powolne, kręte i obłudne u ludzi dobrze wychowanych, było szybkie i bezpośrednie u starego niedźwiedzia, który okazał, o ile przebiegła łykografia góruje nad oświecona typografią. Kiedy syn przybył, stary przyjął go z ową kupiecką serdecznością, jaką kute wygi rozwijają wobec swych ofiar: zajął się nim tak jak kochanek swą lubą; podawał mu ramię, ostrzegał, gdzie postawić nogę, aby się nie powalać: kazał dlań wygrzać łóżko, zapalić ogień, przygotować wieczrę. Nazajutrz spróbował upoić syna podczas obfitego obiadu, Hieronim Mikołaj Sechard, mocno zaproszony, rzucił od niechcenia: — Pomówmy o interesach! — Słowo to brzmiało tak osobiście między dwoma czkaniem, że Dawid zaproponował odłożenie spraw do dnia następnego. Stary niedźwiedź nadto dobrze umiał wyciągnąć przewagę ze swego pijaństwa, aby opuścić przygotowaną od tak dawna bitwę. Zresztą, nadźwigawszy się swego ciężaru przez pięćdziesiąt lat, nie chciał, jak mówił, nieść go ani godziny dłużej. Jutro syn będzie pryncypałem.

Tutaj godziłoby się może rzec słówko o samym zakładzie. Drukarnia, położona w miejscu, gdzie ulica de Beaulieu wychodzi na plac du Murier, usadowiła się w tym domu pod koniec panowania Ludwika XIV. Toteż od dawna już budynek dostosił się do potrzeb tego przemysłu. Parter zajmowała ogromna sala ze starymi oszklonymi drzwiami od ulicy, dużym oknem od dziedzińca. Do gabinetu pryncypała można się było zresztą dostać oddzielnym korytarzem. Ale na prowincji proceder drukarski jest zawsze przedmiotem tak żywej ciekawości, że klienci woleli raczej wchodzić przez oszklone drzwi zecerni, wiodące wprost z ulicy, mimo iż trzeba było schodzić w dół po kilku schodkach, ile że podłoga sali znajdowała się niżej poziomu ulicy. Ciekawscy, oszołomieni, nie zważali na trudności przeciskania się przez zaułki pracowni. Wypatrując oczy na dziwne kołyski utworzone z

arkuszy na zwisających z sufitu sznurach, potykali się o szeregi kaszt albo też zdzierali sobie kapelusz z głowy zawadzając o sztaby żelazne pras. Siedząc zwinne ruchy zecera czerpiącego w stu pięćdziesięciu dwóch przegródkach, czytającego skrypt, odczytującego wiersz składu, wsuwającego międzylinię, wpadali na przyciśniętą ciężarami ryż mokrego papieru lub uderzali biodrem o kant ławki; wszystko ku wielkiej ucieście małp i niedźwiedzi. Nigdy nikt nie dotarł bez wypadku aż do dwóch klatek znajdujących się na końcu tej jaskini. Były to dwie nędzne budki wychodzące na dziedziniec, w których królowali z jednej strony prot, z drugiej pryncypał. W dziedzińcu mury były wdzięcznie zdobne liśćmi wina. które, zważywszy reputację właściciela, posiadały sympatyczny koloryt lokalny. W głębi. opierając się o szerniały graniczny mur, wznosiła się przybudówka w nader opłakanym stanie. gdzie się moczyło i przykrywało papier. Tam był ściek, gdzie się myło przed i po użyciu, formy lub mówiąc pospolitym językiem, płyty z czcionkami. spływały z nich pupłuczyny farby, które zmieszane z pomyjami budziły w przybyłych na targ wieśniakach podejrzenie, iż diabeł odbywa swoje ablucje w tym domu. Przybudówka podparta była z jednej strony kuchnią, z drugiej stosem drew. Pierwsze piętro. nad którym były już tylko dwie izdebki poddasza, składało się z trzech pokoi. Pierwszy, tak długi jak korytarz licząc w to i klatkę starych drewnianych schodów, miał od ulicy podłużne okno, a od dziedzińca małe, okrągłe okienko: służył zarazem za przedpokój i za jadalnię. Wybielony po prostu wapnem, pokój ten zwracał uwagę cyniczną prostotą kramarskiego skapstwa. Brudnej posadzki nigdy nie myto; umeblowanie składało się z trzech lichych krzesel, okrągłego stołu i kredensu ustawionego między dwojgiem drzwi wiodących do sypialni i do salonu: okna i drzwi były ciemne od brudu: czysty tub zadrukowany papier walał się po kątach: często na pakach papieru spoczywały wiktuały, flaszki lub talerze z obiadu starca. Sypialnia, której okno, oprawne w ołów, wychodziło na dziedziniec, obita była tanią i zmurszałą od starości wzorzystą materią, jaką na prowincji przystraja się domy w Boże Ciało. Było tam wielkie łóżko z kolumnami, zdobne gęsto drapowaną kotarą i przykryte kapą z czerwonej szarszy, dwa wpół zbutwiałe fotele, dwa orzechowe wyściełane krzesła, stary sekretarzyk i na kominku zegar. Pokój ten, mający cechy patriarchalnej dobro duszności i pełen brunatnych cieniów, był dziełem pana Rouzeau, poprzednika i pryncypała Hieronima Mikołaja Sechard. Salon, odnowiony przez nieboszczkę panią Sechard, miał potworne boazerie, pomalowane niebieską farbą; na ścianach tapety przedstawiające sceny wschodnie, ciemnobrązowe na białym tle. Meble składały się z sześciu krzesel wysłanych niebieskim juchtem, z oparciem w kształt liry. Dwa okna prymitywnie sklepięne, wychodzące na plac du Murier nie miały firanek, na kominku nie było ani zegara, ani świeczników, ani lustra. Pani Sechard zmarła wśród swoich projektów upiększania, niedźwiedź zaś, nie rozumiejąc pożytku ulepszeń, które nic nie przynoszą poniechał ich. Do tego pokoju Hieronim, Mikołaj Sechard zaprowadził *pede titubante*⁵ syna i pokazał mu na okrągłym stoliku inwentarz drukarni, zestawiony pod jego kierunkiem ręką prota.

— Przeczytaj to, chłopcze — rzekł Hieronim Mikołaj Sechard wodząc pijanymi oczyma z papieru na syna i z syna na papier. — Zobaczysz, jakie cacko-drukarnię ci oddaję.

— „Trzy prasy drewniane z żelaznymi sztabami, metalową płytą...”

— Moje ulepszenie — rzekł stary Sechard przerywając.

— „...ze wszystkim przyborami, kadziami na farbę, szczotkami, ławami etc. tysiąc sześćset franków”.

— Ależ, ojcie — rzekł Dawid Sechard wypuszczając z rąk inwentarz — twoje prasy to graty, niewarte stu talarów, dobre, aby nimi w piecu napalić!

— Graty?... — wykrzyknął stary Sechard. — Graty? Bierz inwentarz i chodźmy! Zobaczysz, czy wasze kiepsko-ślusarskie wynalazki, funkcjonują tak sprawnie jak te dobre, sta-

⁵ (łac.) – na chwiejnych nogach.

re, doświadczone narzędzia. Później nie będziesz miał serca miotać obelg na uczciwe prasy, które chodzą jak dyliżans pocztowy i będą jeszcze chodziły przez całe twoje życie nie żądając najmniejszej naprawy. Graty ! Graty, które ci dadzą chleb! Graty, którymi twój ojciec pracował przez dwadzieścia lat i które cię zrobiły tym czym jesteś!

Ojciec zlął, nie potknąwszy się ani razu po spróchniałych, zużytych i trzęsących się schodach; otworzył drzwi do wielkiej sali, rzucił się na najbliższą przebiegle naoliwioną i wyczyszczoną prasę i pokazał silne dębowe części wyszorowane przez ucznia.

— Nie cackoż to? — rzekł.

Właśnie było złożone jakieś zawiadomienie o ślubie, Stary niedźwiedź opuścił ramę na dekę dekę zaś na marmur, który puścił w ruch; wyciągnął sztabę, rozwinął sznur, aby przyciągnąć marmur z powrotem, podniósł dekę na ramę ze zwinnością godną młodego niedźwiedzia. Prasa zażyta w ten sposób wydała śliczny pisk, rzekłbyś: ptak, który uderzył głową w szybę i ucieka przerażony.

— Czy znajdzie się bodaj jedna prasa angielska zdolna iść w tym tempie? — rzekł ojciec do zdziwionego syna.

Stary Sechard podbiegł kolejno do drugiej, trzeciej prasy i na każdej wykonał ten manewr z równą zwinnością. W ostatniej oczy jego, mętne od wina, dostrzegły jakieś nie do czyszczone przez ucznia miejsce; zakławszy sierczyście, pijak wziął się do czyszczenia połą surduta, jak handlarz, który doprowadza do blasku sierść konia prowadzonego na sprzedaż.

— Z tymi trzema prasami, bez prota, możesz jak nic zarobić dziewięć tysięcy franków na rok Dawidku.

Jako przyszły wspólnik sprzeciwiam się, byś je miał zastąpić ohydnyimi żelaznymi prasami, które niszczą tylko czcionki. Okrzykiwaliście cuda w Paryżu widząc wynalazek przekłętogo wroga Francji, który chciał zapewnić fortunę odlewaczom. Och! Zachciało wam się s t a n h o p ó w! Dziękuję za wasze stanhopy, które kosztują po dwa tysiące pięćset franków, prawie dwa razy tyle ile są warte moje trzy klejnociki razem i w dodatku drą ci na nic czcionki przez swą nieelastyczność. Nie jestem uczony jak ty, ale pamiętaj jedno: życie stanhopów to śmierć czcionki. Te trzy prasy będą ci pracować uczciwie, robota wyjdzie czysto, Angulemczycy nie wymagają czego innego. Drukuj żelazem czy drzewem, złotem czy srebrem, nie zapłacą ci ani szeląga więcej.

— „*Item* — czytał Dawid — pięć tysięcy funtów czcionek z giserni pana Vaflard...”

Na to nazwisko wychowanek Didotów nie mógł się wstrzymać od uśmiechu.

— Śmieć się, śmieć! Po dwunastu latach czcionki jak nowe. Oto gisernia! Pan Vaflard jest uczciwym człowiekiem, daje materiał twardy, jak się patrzy; dla mnie najlepszy giser jest ten, do którego zachodzi się najrzadziej.

— „...Oszacowane na dziesięć tysięcy franków” — podjął Dawid. — Dziesięć tysięcy, ojcze! Ależ to czterdzieści su za funt; firma Didot sprzedaje nowe czcionki za trzydzieści sześć su. Twoje stare gwoździe warte są tylko cenę materiału, dziesięć su za funt.

— Nazywasz starymi gwoździami garmondy, borgisy,

ronda pana Gille, niegdyś drukarza cesarskiego, czcionki warte po sześć franków za funt, arcydzieła rytownictwa, kupione przed pięciu laty i które dziś jeszcze są jak nowe, o!

Stary Sechard chwycił kilka kaszt napełnionych czcionkami, które nigdy nie były w użyciu, i pokazał synowi.

— Ja nie jestem uczony, nie umiem czytać ani pisać, ale znam się na tyle, aby wiedzieć, że kursywa firmy Gille była rodzica angielskiego kroju Didotów. Oto rondo — rzekł wskazując kasztę i biorąc z niej M, rondo cicero, które jeszcze nie było pod prasą.

Dawid spostrzegł, że nie ma sposobu dyskutować. Trzeba było wszystko przyjąć albo wszystko odrzucić. Stary niedźwiedź wciągnął w inwentarz nawet sznury do rozwieszania. Najmniejsza ramka, tarcice, niecułki, kamienie, szczotki, wszystko obliczono ze skrupulat-

nością skąpca. Całość sięgała trzydziestu tysięcy franków, łącznie z koncesją i klientelą. Dawid zapytywał sam siebie, *czy rzecz* jest do przyjęcia, czy nie. Widząc, iż syn nie odzywa się na tę cyfrę, stary Sechard zaniepokoił się; wołał gwałtowny opór niż milczące poddanie. W tego rodzaju handlach targowanie zwiastuje tęgiego przemysłowca, umiejącego bronić swych interesów. — Kto na wszystko przystaje — mawiał stary Sechard — nic nie płaci — Wciąż śledząc syna spod oka, prowadził dalej wykaz nędznych utensyliów potrzebnych do prowadzenia prowincjonalnej drukarni; zaprowadził kolejno Dawida przed prasę do satynowania, przed prasę do obrzynania, przed prasę do drobnych zamówień i zachwalał mu ich trwałość i praktyczność.

— Stare narzędzia są zawsze najlepsze - mówił, — W drukarstwie powinno by się je płacić drożej niż nowe, jak u fabrykantów malarskiego złota.

Potworne winietki przedstawiające Hymeny, amory, zmarłych, którzy podnoszą kamień grobowy opisując literę V lub M, olbrzymie ramy splecione z masek na afisze teatralne stały się pod wpływem nasyczonej winem wymowy Hieronima Mikołaja przedmiotami

ogromnej wartości. Pouczył syna, iż nawyki mieszkańców prowincji tkwią tak głęboko, iż próżno by się kusił dać im ładniejsze rzeczy. On, Hieronim Mikołaj Sechard, sam próbował sprzedawać kalendrze lepsze niż „Double-Liegeois”, drukowany na papierze do zawijania cukru! Otóż prawdziwy „Double-Liegeois” miał większy zbyt niż najwspanialsze kalendarze. Dawid przekona się niebawem o ważności tej starzyzny sprzedając ją drożej niż najkosztowniejsze nowości.

— Ha! ha! Mój chłopcze, prowincja to prowincja a Paryż to Paryż. Jeżeli przyjdzie tu klient z Houmeau zamówić zawiadomienie o ślubie, a ty mu je wydrukujesz bez amora z girlandkami, będzie miał uczucie, że ślub jest nieważny, i odniesie ci je skoro zobaczy tylko proste M jak u twoich Didotów, którzy są chlubą sztuki drukarskiej, ale których wymysły dostaną się na prowincję nie pierwszej aż za sto lat Ot co!

Ludzie szlachetni są złymi kupcami. Dawid należał do owych wstydliwych i czułych natur, które przeraża każda dyskusja i które ustępują, z chwilą gdy przeciwnik nadto ukłuje je w serce. Jego podniosły sposób myślenia i władza, jaka zachował nad nim stary opój, czyniły go tym bardziej niezdolnym do targów z ojcem, zwłaszcza że przypuszczał u niego najlepsze intencje; zrazu bowiem tłumaczył tę chciwość przywiązaniem starego drukarza do swych narzędzi. Wobec tego jednak, że Hieronim Mikołaj Sechard nabył wszystko od wdowy Rouzeau za dziesięć tysięcy w asygnatach i że w obecnym stanie rzeczy suma trzydziestu tysięcy franków stanowiła cenę szaloną syn wykrzyknął:

— Ależ, ojcze, zarzynasz mnie!

— Ja, który dałem ci życie?... — rzekł stary pijaczyna wyciągając rękę ku sznurom — Ależ, Dawidzie! Na ileż szacujesz samą koncesję? Czy wiesz, ile wart jest „Dziennik Ogłoszeń”, po dziesięć su od wiersza? Sam ten przywilej przyniósł w ostatnim miesiącu pięćset franków! Mój chłopcze, zajrzyj do ksiąg, zobacz, co dają afisze i rejestry prefektury, roboty merostwa i konsystorza! Jesteś nygus, który nie chce zrobić wielkiego losu. Targujesz się o konia, który zawiezie cię kiedyś do pięknego folwarczku, jak mój w Marsac.

Do tego inwentarza dołączono akt spółki między ojcem a synem. Dobry ojciec wynajmował spółce dom za cenę tysiąca dwustu franków, mimo iż nabył go za sześć tysięcy, oraz zachowywał sobie pokój na poddaszu. Jak długo Dawid Sechard nie spłaci trzydziestu tysięcy, zyski ma się dzielić po połowie; z chwilą gdy się wypłaci, syn staje się wyłącznym właścicielem drukarni. Dawid wziął pod uwagę koncesję, klientelę i dziennik, nie zaprzatając się inwentarzem; pomyślał, iż zdoła się wygrzebać, i przyjął warunki. Przyzwyczajony do matactw chłopskich, nie rozumiejąc się na szerokich kalkulacjach Paryża, ojciec zdumiony był tak szybką konkluzją.

„Czyżby ten chłopak znalazł gdzie jaki majątek — myślał — albo czy obmyśla sposób wyprawienia mnie z kwitkiem?”

W tej myśli wziął go na spytaki; pragnął dowiedzieć się, czy przywiózł jakie pieniądze, aby zeń wydobyć zaliczkę. Ciekawość ta obudziła nieufność syna. Dawid pozostał sztywny i małomówny. Nazajutrz stary Sechard kazał uczniowi przenieść swoje meble do pokoiku na drugim piętrze, mając zamiar przewieźć je na folwark dwiema furkami, co wracały puste. Oddał trzy pokoje na pierwszym piętrze synowi zupełnie nagie, tak jak oddał mu drukarnię nie zostawiając ani centyma na zapłacenie robotników. Kiedy Dawid prosił ojca, aby w charakterze wspólnika przyczynił się do wkładów koniecznych dla wspólnej eksploatacji, stary drukarz udał głupiego. Nie ma obowiązku, rzekł, wykładać jeszcze kapitałów, dawszy samą drukarnię; układ już zrobiony. Przyciśnięty logiką syna odparł, iż kiedy kupił drukarnię od wdowy, dał sobie radę bez jednego szeląga. Jeżeli on, biedny robotnik bez nauki, zdołał tyle dokazać, wychowanek Didota potrafi to tym bardziej. Zresztą pieniądze, które Dawid uciulał, pochodzą z edukacji opłacanej w pocie czoła przez starego ojca, słusznie tedy może wyłożyć je obecnie.

— Coś zrobił z oszczędnościami? — rzekł wracając znów do ataku, aby rozjaśnić problem, który milczenie syna zostawiło poprzedniego dnia nie rozstrzygniętym.

— Czyż nie musiałem żyć? Czyż nie kupowałem książek? — odparł Dawid, oburzony.

— A! kupowałeś książki? Zły z ciebie będzie kupiec. Ludzie, którzy kupują książki, nie nadają się, aby je drukować — odparł stary niedźwiedź.

Dawid doświadczył najokropniejszego z upokorzeń będąc świadkiem ponizenia ojca: trzeba mu było znieść wylew szpetnych, płaczliwych, podłych, kramarskich argumentów, jakimi stary kutwa uzasadniał odmowę. Zdławił w duszy ból widząc się sam, bez oparcia, znajdując w ojcu twardego i bezwzględego spekulanta. Przez filozoficzną ciekawość chciał przejrzeć starego do głębi. Zwrócił mu uwagę, iż nigdy nie żądał odeń rachunku z majątku po matce. Jeżeli ten majątek nie wyrówna ceny drukarni, winien przynajmniej posłużyć do wspólnego jej prowadzenia.

— Majątek twojej matki — rzeki stary Sechard — to były jej piękność i rozsądek!

Usłyszawszy tę odpowiedź Dawid przeniknął ojca w zupełności i zrozumiał, że aby uzyskać zdanie rachunków, trzeba by wszcząć proces trwający wieki kosztowny i szpetny. To szlachetne serce przyjęło brzemię, które miało na nim ciążyć, wiedział bowiem, z jakim trudem przyjdzie mu się wypłacić ze zobowiązań.

„Będę pracował — rzekł w duchu. — Ostatecznie, jeśli mnie będzie ciężko, starowinie też było nielekko. Zresztą, czyż to nie będzie znaczyło pracować dla siebie?”

— Zostawiam ci skarb, mój synu — rzekł ojciec, zaniepokojony milczeniem Dawida. Dawid spytał, co to za skarb.

— Maryna — rzekł ojciec.

Maryna była to tęga dziewczka wiejska, nieodzowna w drukarni. Ona moczyła i obcinała papier, wyladowywała go, załatwiała posyłki, gotowała, prała, chodziła odbierać pieniądze i czyściła szczotki drukarskie. Gdyby Maryna umiała czytać, stary Sechard zaprzęglby ją jeszcze do składania.

Ojciec ruszył na wieś pieszo. Mimo iż bardzo szczęśliwy ze sprzedaży, ukrytej pod mianem spółki, niespokojny był o sposób, w jaki syn się wypłaci. Po wzruszeniach sprzedaży przychodzą zawsze niepokoje o realizację. Wszystkie namietności mają w charakterze coś jezuickiego. Ten człowiek, który patrzył na naukę jako na rzecz niepotrzebną, siłił się uwierzyć w potęgę nauki. Hipotekował swoich trzydzieści tysięcy na pojęciach honoru, jakie w synu rozwinęło wykształcenie. Jako młody człowiek starannie wychowany, Dawid wyprze z siebie siódme poty, aby się wypłacić: nauka dostarczy mu środków, zdawał się pełen dobrych uczuć, zapłaci! Wielu ojców, działających w ten sposób, mniema, iż postępuje po ojcowsku, jak to wytłumaczył sobie w końcu stary Sechard, w chwili gdy docierał do swej winnicy w Marsac, wiosce o cztery mile od Angouleme. Folwarczek ten, w którym poprzedni właściciel wybudował ładny domek, powiększał się z roku na rok od r.

1809, epoki, w której stary niedźwiedź go nabył. Zmienił prasę drukarską na prasę winną, a zbyt dawno, jak mówił, chodził koło wina, aby nie miał się na nim rozumieć. Pierwszego roku wiejskich wywczasów ojciec Sechard ukazywał zatroskane oblicze sponad swoich ty-czek, ciągle bowiem przebywał w winnicy, jak niegdyś w drukarni. Te niespodziewane trzydzieści tysięcy franków upajały go jeszcze bardziej niż sok winnej jagody, obracał je idealnie w palcach. Im mniej ta kwota mu się należała, tym bardziej pragnął ją zgarnąć. Toteż, party niepokojem, często przybiegał z Marsac do Angouleme. Wspinał się po spadzistościach skały, na której rozsiadło się miasto, zachodził do drukarni, aby przyjrzeć się, czy syn da sobie radę. Owóz prasy były zawsze na swoich miejscach. Jedyne uczę, w tradycyjnej czapce z papieru na głowie, czyścił gąbki. Stary niedźwiedź usłyszał skrzyp prasy jęczącej pod jakimś zawiadomieniem o ślubie, poznawał stare czcionki, widział syna i prota, obu czytających w swych klatkach książki, które stary brał za korektę. Zjadłszy obiad z Dawidem, wracał do Marsac przeżywając swoje obawy. Skąpstwo ma, jak miłość, dar jasnowidzenia przyszłości, węższy ją, przenika. Z dala od hali drukarskiej, gdzie widok narzędzi rozmarzał starego przenosząc go w dnie, w których zdobywał majątek, Sechard spostrzegł u syna niepokojące objawy bezczynności. Godło „Braci Cointet” przerażało go, widział, jak przesłania firmę „Sechard i Syn”. Słowem, starzec czuł powiew nieszczęścia. Przeczucie było słuszne: nieszczęście krążyło nad firmą Sechard. Ale skąpcy mają jakiegoś opiekuńczego boga. Przez zbieg nieprzewidzianych okoliczności ów bóg miał strząsnąć do mieszka pijaczyny cenę lichwiarskiej sprzedaży. Oto czemu drukarnia Sechard upadała mimo momentów pomyślności: obojętny wobec reakcji religijnej, jaką sprowadziła restauracja dawnego rządu, ale równie obojętny dla liberalizmu, Dawid zachowywał w kwestiach politycznych i religijnych najszkodliwszą neutralność. Żył w epoce, kiedy prowincjonalni przemysłowcy musieli wyznawać jakieś przekonania, aby mieć klientów, trzeba było wybierać między klientelą liberałów i rojalistów. Miłość, która zakwitła w sercu Dawida, jego naukowe upodobania, jego szlachetna natura nie pozwoliły mu rozwinąć w sobie owej chciwości zysku, która tworzy prawdziwego kupca i która objaśniłaby mu różnice dzielące przemysł prowincjonalny od paryskiego. Odcienie, tak wyraźne w departamentach, giną w ruchu Paryża. Bracia Cointet nastroili się na ton monarchiczny, zaczęli ostentacyjnie pościć, chodzić do fary, pielęgnować stosunki z księżmi i puszczać w świat pierwsze przedruki nabożnych książek, których potrzeba dała się odczuć. Cointetowie zajęli tedy pierwsi miejsce w tej zyskowej gałęzi i obnosili po mieście Dawida Sechard, oskarżając go o liberalizm i ateizm. W jaki sposób, mówili, robić interesy z człowiekiem mającym ojca septembryzera⁶, pijaka, bonapartystę, starego skąpca, który wcześniej czy później zostawi sterty złota? Oni są biedni, obciążeni rodziną, gdy Dawid jest kawaler i będzie bardzo bogaty, toteż żyje sobie wygodnie, etc. Pod wpływem tych oskarżeń przeciw Dawidowi prefektura i biskupstwo przeniosły się w końcu z zamówieniami do braci Cointet. Niebawem ci zachłanni przeciwnicy, ośmieleni niezaradnością rywala, stworzyli nowy dziennik ogłoszeń. Starą drukarnię ograniczono do zamówień miejskich, dochód zaś z dzienniczka anonsów spadł do połowy. Zbogaceni na książkach do nabożeństwa i na dziełach świątobliwej treści bracia Cointet zwrócili się do Sechardów z propozycją nabycia ich dziennika, aby już niepodzielnie mieć ogłoszenia departamentu i obwieszczenia sądowe. Skoro Dawid udzielił tej wiadomości ojcu, stary winiarz, już przerażony postępami firmy Cointet, spadł z Marsac na plac du Murier z chyżością kruka, który zwietrzył trupy na polu bitwy.

— Pozwól mi wykierować Cointetów, nie wtrącaj się do tego — zapowiedział synowi.

Stary odgadł w lot interes Cointetów przeraził ich swą bystrością. Syn gotów popełnić głupstwo, któremu trzeba zaradzić; powiadał:

⁶ tak nazywano tych, którzy we wrześniu (septembre) 1792 r. dokonali samorzutnie masowych egzekucji nad podejrzanymi o kontrrewolucję.

— Na czym się będzie opierała nasza klientela, jeżeli on odda dziennik? Adwokaci, re-jenci, wszyscy kupcy z Houmeau są liberalni; Cointetowie chcieli zaszkodzić Sechardom obwiniając ich o liberalizm; otóż przygotowali im w ten sposób deskę zbawienia: ogłosze-nia liberalów przypadną Sechardom! Sprzedać dziennik?... Tobo już lepiej było sprzedać inwentarz i koncesję.

Zażądał tedy od Cointetów sześćdziesiąt tysięcy za drukarnię, aby nie rujnować syna: kochał syna, bronił tylko syna. Winiarz użył syna tak jak chłopci używają żon: syn godził się albo nie godził, wedle propozycji, które stary wydzierał, punkt po punkcie Cointetom. Doprowadził ich, nie bez wysiłku, do sumy dwudziestu dwu tysięcy za „Dziennik Charen-te”. Ale Dawid miał się zobowiązać pod karą trzydziestu tysięcy odszkodowania, że nigdy nie będzie drukował żadnego dziennika. Sprzedaż była samobójstwem drukarni: ale wi-niarz nie troszczył się o to. Po kradzieży następuje zawsze morderstwo. Stary myślał obró-cić tę sumę na spłatę za swój grunt: aby ją dostać, dodałby i Dawida na przykładkę, zwłaszcza że ten nieporęczny syn miał prawo do połowy niespodzianego skarbu. Jako od-szkodowanie szlachetny ojciec zostawił mu drukarnię, ale zachowując sobie jako czynsz owe sławne tysiąc dwieście franków. Od sprzedaży dziennika stary rzadko pokazywał się w mieście, powoływał się na podeszły wiek; ale istotną przyczyną był brak zainteresowa-nia drukarnią, która już doń nie należała. Mimo to nie mógł się zupełnie zaprzeć starego przywiązania, które miał dla swych narzędzi. Kiedy własne sprawy sprowadzały go do Angouleme, trudno byłoby rozstrzygnąć, co go bardziej ciągnie do domu: prasy drewniane czy syn, do którego, dla formy, zachodził upominać się o czynsz. Dawny jego prot, obec-nie zatrudniony u Cointetów, wiedział, co myśleć o tej ojcowskiej wspaniałomyślności; powiadał, iż szczwany lis zabezpiecza sobie prawo mieszkania się w sprawy syna stając się przez nagromadzenie zaległych czynszów prawomocnym wierzycielem.

Niezaradność Dawida Sechard miała przyczyny, które malują charakter tego młodzień-ca. W kilka dni po instalacji w drukarni spotkał przyjaciela z gimnazjum, pogrążonego w najgłębszej nędzy. Przyjaciół Dawida Sechard był to młody człowiek w wieku około dwu-dziestu jeden lat nazwiskiem Lucjan Chardon, syn dawnego chirurga wojsk republikań-skich, który musiał ustąpić ze służby z powodu odniesionej rany. Naturalne skłonności po-pchnęły pana Chardon do studiów nad chemią, przypadek zaś uczynił go aptekarzem w Angouleme. Śmierć zaskoczyła go pośród prac nad zyskownym odkryciem, którego po-szukiwanie pochłonęło mu wiele lat. Chciał uleczyć wszelki rodzaj podagry. Podagra jest chorobą bogatych, bogaci zaś drogo opłacają zdrowie, kiedy im go nie stanie. Toteż apte-karz wybrał ten problem do rozwiązania między wszystkimi, jakie nastęrczały się jego rozmyślaniami. Bujając pomiędzy wiedzą a empiryzmem, nieboszczyk Chardon zrozumiał, że jedynie wiedza może mu zapewnić fortunę: zagłębił się tedy w przyczyny choroby i oparł leczenie na diecie dostosowanej do temperamentu. Umarł w czasie pobytu w Paryżu, gdzie starał się o aprobatę Akademii; w ten sposób stracił owoc swoich prac. W przewi-dywaniu lepszej doli aptekarz nie szczędził niczego na wychowanie syna i córki, tak iż utrzymanie rodziny pochłaniało dochody płynące z apteki. Tak więc nie tylko zostawił dzieci w nędzy, ale jeszcze, na ich nieszczęście, wychował je w nadziei świetnych losów, które zgasyły ze śmiercią ojca.

Znakomity Desplein, który miał Chardona w opiece w ostatnich chwilach, mówił, iż umierając szalał z rozpacz. Ambicja ta czerpała pobudkę w gwałtownej miłości, jaką eks-chirurg żywił dla swej żony, ostatniej latorośli domu de Rubempre, cudownie przezeń ocalonej od szafotu w r. 1793. Mimo iż młoda dziewczyna nie chciała zgodzić się na to kłamstwo, zyskał na czasie, oświadczając, iż jest ona w ciąży. Stworzywszy sobie w ten sposób poniekąd prawa męża ożenił się z nią mimo obopólnego ubóstwa. Dzieci, jak wszystkie dzieci miłości, otrzymały za całe dziedzictwo cudowną urodę matki, dar tak czę-sto zgubny, skoro mu towarzyszy nędza. Te tak żywo podzielane nadzieje, prace, rozpacz

odbiły się na urodzie pani Chardon, tak jak powolna ruina oddziaływała na tryb jej życia; ale dzielność jej, jak również i jej dzieci, równa była ich niedoli. Biedna wdowa sprzedawała aptekę położoną przy pryncypalnej ulicy Houmeau, głównego przedmieścia Angouleme. Wartość apteki pozwoliła jej uzyskać trzysta franków renty, kwotę nie wystarczającą nawet na własne utrzymanie, ale i ona, i córka przyjęły swe położenie bez rumieńca i oddały się pracy zarobkowej. Matka pielęgnowała położnice, wykwinne zaś jej formy sprawiły, iż poszukiwano jej w bogatych domach. W ten sposób żyła nie kosztując nic dzieci i zarabiając dwadzieścia su dziennie. Aby oszczędzić synowi wstydu, iż musi widzieć matkę w takim poniżeniu, przybrała imię pani Szarloty. Osoby, które pragnęły jej opieki, zwracały się do pana Postel, następcy nieboszczyka Chardon. Siostra Lucjana pracowała u zacnej kobiety, poważanej w całym Houmeau, pani Prieur, prowadzącej zakład wykwinnego prania; w ten sposób zarabiała piętnaście su dziennie. Miała dozór nad robotnicami, co wznosiło ją nieco ponad klasę wyrobnic. Skromne owoce pracy obu kobiet, dołączone do trzystu franków renty, dochodziły ogółem ośmuset franków rocznie. z których te trzy osoby miały żyć, ubierać się i mieszkać. Ścisła oszczędność tego gospodarstwa ledwie zdołała nastarczyć wszystkiemu, zwłaszcza że sumę tę prawie w zupełności pochłaniał Lucjan. Pani Chardon i córka jej Ewa wierzyły w Lucjana jak żona Mahometa w męża; poświęcenie ich dla jego przyszłości nie miało granic. Ta biedna rodzina mieszkała w Houmeau, w mieszkaniu najętym za skromną kwotę od następcy pana Chardon i położonym w dziedzińcu nad laboratorium. Lucjan zajmował tam nędzny pokoik na poddaszu. Zagrzewany przez ojca, który, zapalony do nauk przyrodniczych, popychał go od młodości na tę drogę, Lucjan był jednym z najświetniejszych uczniów w Angouleme. Był w trzeciej klasie w chwili gdy Sechard kończył studia.

Kiedy traf zetknął dwóch kolegów, Lucjan, zmęczony nędzą, był bliski jednego z owych ostatecznych postanowień, w jakie rzuca się człowiek mając dwadzieścia lat. Czterdzieści franków miesięcznie, które Dawid ofiarował wspaniałomyślnie Lucjanowi podejmując się wykształcić go na prota, mimo iż prot był mu zupełnie niepotrzebny, ocaliły Lucjana od rozpacz. Odnowione w ten sposób węzły przyjaźni zacieśniły się niebawem podobieństwem losów i różnicą charakterów. Obaj duchem bogaci w wielorakie fortuny, posiadali tę wysoką inteligencję, która stawia człowieka na równi ze szczytami, obaj zaś znajdowali się na samym dnie społeczeństwa. Ta niesprawiedliwość losu stała się potężnym węzłem. Zarazem obaj zbliżyli się, odmiennymi drogami, do poezji. Mimo iż przeznaczony do najwyższych dociekań przyrodniczych, Lucjan rwał się z ogniem ku sławie literackiej, gdy Dawid, którego kontemplacyjny umysł usposabiał do poezji, skłaniał się z upodobania ku wiedzy ścisłej. To przestawienie ról zrodziło między nimi jakby duchowe braterstwo. Lucjan podzielił się z Dawidem planami, przekazanymi mu przez ojca w przedmiocie zastosowania nauki do przemysłu, Dawid zaś wskazał Lucjanowi nowe drogi, jakimi należało mu wejść w literaturę, aby zdobyć imię i przyszłość. Przyjaźń tych dwóch młodych ludzi stała się rychło jedną z owych namiętności, które rodzą się jedynie pod koniec młodzieńczych lat. Dawid ujrzał niebawem piękną Ewę i pokochał ją tak, jak zdolne są kochać dusze melancholijne i skłonne do medytacji. *Et nunc et semper et in saecula saeculorum*⁷ liturgii jest dewizą tych wzniosłych nieznanych poetów, których dzieła polegają na wspaniałych epopejach poczętych i zagrzebanych między dwojgiem serc! Kiedy kochanek przeniknął tajemnicę nadziei, w które matka i siostra Lucjana stroiły piękne czoło poety, kiedy poznał ich ślepe poświęcenie, czerpał słodycz w tym, aby się zbliżyć do ubóstwianej, dzieląc jej oddanie i nadzieje. Lucjan stał się więc dla Dawida bratem. Jak owi ultra, którzy chcą być bardziej rojalistami niż sam król, Dawid prześcignął wiarę matki i siostry Lucjana w jego geniusz; psuł go tak, jak matka psuje swoje dziecko. Podczas jednej z owych rozmów, w których, gnębieni brakiem pieniędzy wiążącym im ręce, rozbierali, jak

⁷ i teraz, i zawsze, i na wieki wieków.

wszyscy młodzi ludzie, sposoby dojścia szybko do fortuny. przetrząsając bezowocnie wszystkie drzewa już ogołocone przez poprzedników, Lucjan przypominał sobie dwie myśli rzucone kiedyś przez ojca. Pan Chardon wspominał o możliwości obniżenia o połowę ceny cukru przez użycie nowego składnika i o takimż zmniejszeniu ceny papieru, przez uzyskanie z Ameryki tanich materii roślinnych, pokrewnych tym, jakimi posługują się Chińczycy. Dawid, który znał wagę tej kwestii, roztrząsanej już u Didota, chwycił się tej myśli widząc w niej fortunę i uważał odtąd Lucjana za dobroczyńcę, któremu nigdy nie zdoła się wypłacić.

Każdy zgaduje, do jakiego stopnia dominujące myśli oraz życie wewnętrzne dwóch przyjaciół czyniły ich niezdolnymi do prowadzenia drukarni. Daleka od dochodu piętnastu lub dwudziestu tysięcy franków, które dawał zakład braci Cointet, drukarzy konsystorza, właścicieli „Kuriera Charente”, odtąd jedyne go dziennika w departamencie, drukarnia młodego Secharde dawała ledwie trzysta franków miesięcznie, z czego odchodziła pensja prota, płaca Maryny, podatki, czynsz, co uszczuplało dochód Dawida do stu franków. Ludzie czynni i przemysłni byliby odnowili czcionki, kupili żelazne prasy, zdobyliby w księgarniach paryskich dzieła podejmując się druku po niskiej cenie; ale pryncypał i prot, zatonieni w pracy duchowej, zadowalali się robotami doraźnymi i resztką dawnej klienteli. Bracia Cointet poznali wreszcie charakter i przyzwyczajenia Dawida: przestali go oczerniać; przeciwnie, roztropna polityka kazała im dać wegetować tej drukarni i utrzymywać ją w przyzwoitej mierności, iżby się nie dostała w ręce jakiegoś groźnego antagonisty; sami odsyłali nawet do niej drobniejszych klientów. Tak więc, nie wiedząc o tym, Dawid Sechard istniał, biorąc handlowo, jedynie dzięki zręcznemu wyrachowaniu konkurentów. Zadowoleni z tego, co nazywali jego manią, bracia Cointet stosowali wobec Dawida metody pozornie uczciwe i lojalne; w rzeczywistości jednak postępowali podobnie jak zarząd Królewskich Przedsiębiorstw Przewozowych, który, chcąc uniknąć prawdziwej konkurencji, stwarza konkurencję fikcyjną.

Zewnętrzny wygląd domu Sechardów był w harmonii z brudnym skąpstwem, które panowało wewnątrz, gdzie stary niedźwiedź nigdy nie dał nic naprawić. Deszcz, słońce, wpływy atmosferyczne wszystkich pór roku nadały drzwiom od korytarza podobieństwo do starego pnia. tak były poorane nierównymi szczelinami. Fasada, byle jak sklecona z kamieni i cegieł, ugięła się niejako pod brzemieniem dachu zbutwiałego, przeciążonego owymi wklęsłymi dachówkami, jakie spotyka się na wszystkich dachach w południowej Francji. Mocno uszkodzone oszklenie opatrzone było olbrzymimi okiennicami o gęstych poprzecznych listwach, których wymaga gorąco klimatu. Trudno byłoby w całym Angouleme znaleźć dom równie zaniedbany; można powiedzieć, iż trzymał się jedynie swoistością cementu. Wyobraźcie sobie tę wielką halę. jasną w dwóch krańcach, ciemną w środku, o ścianach pokrytych afiszami, szerniałych od dołu wskutek ocierania się o nie robotników. przewijających się tu od trzydziestu lat; ze zwisającymi u sufitu sznurami, z mnóstwem sznurów na podłodze, stertami papieru, starymi maszynami, stosami kamieni do przyciskania zwilżonego papieru. szeregiem kaszt i na końcu dwiema klatkami, w których, każdy po swojej stronie, siedzieli pryncypał i prot; zrozumiecie wówczas egzystencję dwóch przyjaciół.

W roku 1821, w pierwszych dniach maja, Dawid i Lucjan znajdowali się przy oknie wychodzącym na dziedziniec, w chwili gdy około drugiej po południu nieliczni robotnicy drukarscy opuszczali halę udając się na obiad. Skoro pryncypał ujrzał, iż uczeń wychodząc na ulicę zamknął za sobą drzwi opatrzone dzwoneczkiem, pociągnął Lucjana na dziedziniec, jak gdyby zapach papierów, czernidła, pras, starego drzewa był mu nie do zniesienia. Siedli w altanie, skąd oczy ich mogły widzieć każdego wchodzącego. Promienie słońca igrające wśród gałązek winorośli pieściły dwóch poetów, okalając ich światłem niby aureolą. Kontrast tych dwóch charakterów i fizjonomii występował wówczas tak wyraźnie, że

byłby skusił pędzel wielkiego malarza. Dawid miał kształty, jakie natura daje istotom przeznaczonym do wielkich walk, ukrytych lub jawnych. Z szerokiego torsu wyrastały silne ramiona harmonizujące z pełnią kształtów. Twarz, brązowa w tonie, żywa w kolorze, pełna, osadzona na grubej szyi, okolona lasem czarnych włosów, podobna była na pierwszy rzut oka do twarzy kanoników opiewanych przez Boileau; ale baczniejsze spojrzenie dojrzałoby w bruzdach mięsistych warg, w dołku na brodzie, w rysunku rozdwojonego, kwadratowo zakończonego nosa o liniach niesymetrycznych, w oczach przede wszystkim, nieustający ogień jedynej miłości, przenikliwość myśliciela, żarliwą melancholię ducha. który zdolny był ogarnąć dwa ostateczne krańce horyzontu, przenikając wszystkie ich załamki, i który łatwo nużył się czysto idealnymi rozkoszami, wnosząc w nie jasność analizy. Jeżeli w twarzy tej przejawiały się błyski geniuszu, gotującego się do lotu, widniał w niej też popiół obok wulkanu: nadzieja zamierała tam w głębokim poczuciu własnej nicości społecznej, w której brak urodzenia i majątku więżą tyle wyższych duchów. Obok biednego drukarza, którego zawód jego, mimo iż taki bliski inteligencji, przyprawiał o mdłości, obok tego Sylena ciężko wspartego na samym sobie, który pił wielkimi haustami z pucharu wiedzy i poezji, upijając się, aby zapomnieć o niedolach prowincji, Lucjan stał we wdzięcznej pozie, stworzonej przez rzeźbiarzy dla indyjskiego Bachusa. Twarz jego miała wytworność starożytnego posagu: czoło i nos greckie, aksamitna białosc kobieca, oczy tak ciemnoniebieskie, że aż czarne, oczy pełne miłości, których białko co do świeżości nie ustępowało oczom dziecka. Nad tymi pięknymi oczyma, okolonymi długimi, ciemnymi rzęsami, rysowały się brwi jakby wykreślone pędzlem chińskim. Na licach połyskiwał jedwabisty puszek harmonizujący z kolorem jasnych, naturalnie kręcących się kędziarów. Boska słodycz tchnęła z pozłocistych białych skroni. Niewypowiedziana szlachetność rysowała się w krótkim, łagodnie wzniesionym owalu podbródka. Uśmiech smutnych aniołów błdził po koralowych ustach zdobnych pięknymi zębami. Miał ręce człowieka dobrej rasy, ręce wykuintne, których skinieniu mężczyźni winni być posłuszni, a które kobiety lubią całować. Lucjan był szczupły i średniego wzrostu. Widząc jego stopy, wzięłoby się go tym snadniej za przebraną dziewczynę, ile że, podobnie jak większość ludzi sprytnych, żeby nie powiedzieć przebiegłych, biodra miał niemal kobiece. Wskazówka ta, rzadko zwodnicza, była prawdziwa u Lucjana. Skłonność jego ruchliwego umysłu sprowadzała go często, kiedy analizował obecny stan społeczeństwa, na teren deprawacji właściwej dyplomatom, którzy sądzą, iż sukces jest usprawiedliwieniem wszystkich, choćby najhानiebniejszych środków. Jednym z nieszczęść towarzyszących wielkim inteligencjom jest to, iż z konieczności rozumieją wszystko, równie złe jak dobre.

Dwaj młodzi ludzie sądzili społeczeństwo tym bardziej z góry, im niższe zajmowali w nim stanowisko; ludzie bowiem nie uznani mszczą się za marność swej pozycji wyniosłością rzutu oka. Ale też rozpacz ich była przez to tym bardziej gorzka; w ten sposób szybciej jeszcze szli tam, gdzie ich niosło prawdziwe przeznaczenie. Lucjan wiele czytał, porównywał; Dawid wiele myślał, wiele zgłębiał. Mimo pozorów krzepkiego zdrowia, drukarz był to duch melancholijny i chorobliwy, skłonny do zwątpienia, gdy Lucjan, obdarzony umysłem przedsiębiorczym, ruchliwym, posiadał śmiałość niezgodną z jego miękkim, niemal wątlm, ale pełnym kobiecych uroków wyglądem. Lucjan miał charakter na wskroś gaskoński, śmiały, awanturniczy, który przesadza dobre strony, pomniejsza złe, nie cofa się przed błędem, jeśli widzi w nim korzyść, i drwi z występku, jeśli ten stanie się dlań szczeblem do wspięcia się wyżej. Ten ambitny popęd poskramiały wówczas piękne złudzenia młodości, zapał niosący go ku szlachetnym środkom, jakich ludzie zakochani w sławie chwytają się przede wszystkim. Dotychczas pasował się tylko ze swymi pragnieniami, a nie z trudnościami życia, z własną siłą, a nie z nikczemnością ludzi, która jest fatalnym przykładem dla wrażliwych dusz. Oczarowany świetnością umysłu Lucjana, Dawid podziwiał go, mimo iż starał się prostować błędy, w które wtrącała go „furia francuska”.

Ten zacy człowiek miał nieśmiałe usposobienie będące w sprzeczności z jego silną fizyczną budową, ale nie zbywało mu na wytrzymałości ludzi Północy. Widział wszystkie trudności, ale postanawiał sobie zwyciężyć je, nie dając się zniechęcić; posiadał iście apostołską nieugiętość cnoty, ale łagodził ją urokiem niewyczerpanej pobłażliwości. W przyjaźni tej, już wypróbowanej, jeden z nich kochał bałwochwalczo, mianowicie Dawid. To też Lucjan przewodził nad nim jak kobieta, która wie, że jest kochana. Dawid ulegał z przyjemnością. Piękność fizyczna przyjaciela mieściła w sobie wyższość, którą uznawał, czując się sam, w swoim mniemaniu, ciężkim i pospolitym.

„Wołu należy cierpliwa orka, ptakowi szybowanie bez troski — mówił sobie drukarz. — Ja jestem wołem, Lucjan będzie orłem.”

Od trzech lat blisko dwaj przyjaciele złączyli swe losy tak świetne w przyszłości. Czytali wielkie dzieła, które pojawiły się od czasu pokoju na literackim i naukowym horyzoncie; dzieła Schillera, Goethego, lorda Byrona, Waltera Scotta, Jean-Paula, Berzeliusa, Davy'ego, Cuviera, Lamartine'a etc. Rozgrzewali się przy tych wielkich ogniskach, próbowali się w dziełach poronionych lub zaczynanych, rzucanych i znów podejmowanych z zapałem. Pracowali bez ustanku, nie znajdując dna niewyczerpanych skarbów młodości.

Jednako biedni, ale pożerani miłością sztuki i nauki, zapominali o nędzy, pracując nad podwalinami przyszłej sławy.

— Lucjanie, czy wiesz, co otrzymałem z Paryża? - rzekł drukarz dobywając z kieszeni mały tomik in 18^o. — Słuchaj!

Dawid przeczytał tak, jak umieją czytać poeci, idyllę Andrzeja Chenier⁸ zatytułowaną „Neera”,

potem „Młodego chorego”, potem elegię o samobójstwie, tę w stylu starożytnym, i dwa ostatnie jamby.

— To więc jest Andrzej Chenier! — wykrzyknął Lucjan kilkakrotnie. — Może doprowadzić do rozpacz — powtarzał po raz trzeci, kiedy Dawid, zbyt wzruszony, aby czytać dalej, pozwolił mu wziąć tomik. — Poeta odnaleziony przez poetę! — dodał widząc podpis przedmowy.

— Stworzywszy ten tom — rzekł Dawid — Chenier mniemał, iż nie napisał nic, co by było godne ogłoszenia.

Z kolei Lucjan przeczytał epiczny ustęp ze „Ślepcy” i kilka elegii. Kiedy trafił na ustęp:

Jeśli tam szczęścia nie ma, żali jest na ziemi?

ucałował książkę i dwaj przyjaciele rozplakali się, obaj bowiem kochali do ubóstwienia. Liście wina nabrały żywszych barw, stare mury, rozpadło, spękane, nierówno poprzerywane szpetnymi szczelinami, przystroili się za dotknięciem palców wróżki we fryzy, arabski, płaskorzeźby i niezliczone arcydzieła fantastycznej jakiejś architektury. Wyobraźnia rozsypała swe kwiaty i rubiny na mały dziedzińczyk. Kamilla Andrzeja Chenier stała się dla Dawida jego ubóstwianą Ewą, dla Lucjana zaś wielką damą, w której kochał się nieśmiało. Poezja wstrząsnęła majestatyczne fałdy swej gwiazdzistej szaty nad warsztatem, w którym niedźwiedzie i mały kunsztu drukarskiego wykonywali jednostajne ruchy. Wydzwoniła godzina piąta, ale dwaj przyjaciele nie czuli głodu ni pragnienia; życie ich było złotym marzeniem, mieli u stóp wszystkie skarby ziemi. Spostrzegali ów błękitny skrawek widnokręgu, jaki Nadzieja ukazuje tym, których życie zdane jest na burzę, powiadając głosem syreny: „Idźcie, lećcie, ujdziecie nieszczęściu tą przestrzenią ze złota, srebra lub lazuru”.

⁸ (1763-1794) – wybitny liryk francuski; początkowo zwolennik rewolucji 1789r., zwrócił się następnie przeciw niej i został skazany na śmierć przez Trybunał Rewolucyjny; „Neera”, „Młody chory”, „Ślepiec”, „Jamby” należą do najpiękniejszych jego utworów; pierwsze zbiorowe wydanie poezji Cheniera wyszło w r. 1819, staraniem romantycznego poety Latouche'a.

ru”. W tej chwili uczeń nazwiskiem Cerizet, urwis paryski, którego Dawid sprowadził był do Angouleme, otworzył szklane drzwiczki wychodzące z hali na dziedziniec i wskazał dwóch przyjaciół nieznajomemu, który zbliżył się z ukłonem.

— Panie — rzekł do Dawida wyciągając ogromny zeszyt — oto memoriał, który pragnąłbym wydrukować, czy zechce pan określić koszty?

— Nie drukujemy, proszę pana, tak obszernych rękopisów — odparł Dawid nie patrząc na zeszyt — zechciej się pan udać do braci Cointet.

— Ale przecież mamy ładne pismo, które mogłoby się nadać — zauważył Lucjan biorąc rękopis. — Może pan będzie łaskaw wstąpić jutro i zostawi nam dzieło dla ocenienia kosztów.

— Czy nie z panem Lucjanem Chardon mam zaszczyt?

— Tak, panie — odparł prot.

— Szczęśliwy jestem — rzekł autor — iż mogłem spotkać młodego poetę, powołanego do tak świetnej przyszłości. Przysłała mnie tu pani de Bargeton.

Słyszając to nazwisko Lucjan zarumieniał się i bąknął kilka słów, aby wyrazić wdzięczność za względy okazywane mu przez panią de Bargeton. Dawid zauważył rumieniec i zakłopotanie przyjaciela. Usunął się zostawiając go z obywatelem, autorem memoriału o hodowli jedwabników. Szlachcic, party próżnością, pragnął wydrukować rękopis, iżby dzieło jego mogło się znaleźć w rękach kolegów z Towarzystwa Rolniczego.

— I cóż, Lucjanie — rzekł Dawid, skoro obywatel odszedł — byłżebyś zakochany w pani de Bargeton?

— Do szaleństwa!

— Ależ przesady świata czynią, iż jesteście od siebie dalej, niż gdyby jedno z was było w Pekinie, a drugie na Grenlandii.

— Wola dwojga kochanków zwycięża wszystko — rzekł Lucjan spuszczać oczy.

— Zapomnisz o nas — odparł nieśmiały wielbiciel pięknej Ewy.

— Być może, iż, przeciwnie, poświęciłem ci ma ukochaną — wykrzyknął Lucjan.

— Co chcesz powiedzieć?

— Mimo mej miłości, mimo rozmaitych pobudek, które mi każą szukać oparcia w pani de Bargeton, powiedziałem jej, że nie wrócę nigdy do jej domu, jeśli człowiek, który przewyższa mnie talentem i wiedzą i którego przyszłość winna być pełna chwały, jeśli Dawid Sechard, mój przyjaciel, mój brat, nie znajdzie tam przyjęcia. Mam zastać odpowiedź w domu. Ale mimo iż całą arystokrację proszono dziś wieczór dla wysłuchania moich wierszy, jeżeli odpowiedź jest odmowna, noga moja nie postanie u pani de Bargeton.

Dawid otarł oczy i ścisnął gwałtownie rękę Lucjana. Wybiła szósta.

— Ewa musi być niespokojna; do widzenia — rzekł nagle Lucjan.

Pomknął zostawiając Dawida na pastwę wzruszenia, które odczuwamy tak pełno jedynie w tym wieku, zwłaszcza w położeniu tych dwóch młodych łabędzi, którym życie prowincjonalne nie podcięło jeszcze skrzydeł.

— Złote serce! — wykrzyknął Dawid towarzysząc okiem Lucjanowi, który przechodził przez halę.

Lucjan podążył do Houmeau piękną promenadą Beaulieu, przez ulicę du Minage i bramę Św. Piotra. Jeśli was dziwi, czemu obierał najdłuższą drogę, wiedźcie, iż na tej drodze leżał dom pani de Bargeton. Doświadczał tyle rozkoszy przechodząc pod oknami tej kobiety, nawet bez jej wiedzy, iż od dwóch miesięcy nie wracał do Houmeau inaczej.

Zbliżając się do alei Beaulieu, spojrzał na przestrzeń dzielącą Angouleme od Houmeau. Pojęcia miejscowe stworzyły zapory moralne o ileż trudniejsze do przebycia niż spadzi-stość, którą schodził Lucjan! Ambitny młodzieniec, który dostał się do pałacu Bargeton rzucając sławę niby most zwodzony między miastem a przedmieściem, niespokojny był o decyzję swej ubóstwianej, jak faworyt, który, pokusiwszy się o rozszerzenie władzy, oba-

wia się niełaski. Słowa te muszą się wydać dziwne tym, którzy nie zapoznali się jeszcze z obyczajami miejscowości dzielących się na górne i dolne miasto; toteż niezbędne jest udzielić tu parę objaśnień dotyczących się Angouleme;

pozwolą one zrozumieć zarazem panią de Bargeton, jedną z najważniejszych osób tego opowiadania.

Angouleme jest to stare miasto zbudowane na skale podobnej do głowy cukru, a sterzącej nad rozległymi łąkami, wśród których płynie Charenta. Skala ta łączy się ku Perigord, z długim wzgórzem, które ucina nagłym spadkiem tuż nad gościńcem z Paryża do Bordeaux, tworząc w ten sposób niby przylądek między trzema malowniczymi dolinami. O znaczeniu, jakie miało to miasto w czasie wojen religijnych, świadczą szanse, bramy i resztki fortecy wznoszące się na cyplu skały. Położenie Angouleme czyniło zeń niegdyś punkt strategiczny równie cenny dla katolików, jak i dla kalwinów; ale to, co było dawniej siłą, dziś stanowi jego słabość: te szanse bowiem, jak również zbyt stromy spadek, nie pozwalający się rozszerzyć miastu nad brzegami Charenty, skazały je na zgubną martwość. W czasie kiedy rozgrywały się te wydarzenia, rząd usiłował pchnąć miasto ku Perigord, wznosząc wzdłuż zbocza prefekturę, szkołę marynarki, budowle wojskowe, jak również wytyczając drogi. Ale handel uprzedził te zabiegi, i to w innym kierunku. Od dawna już u stóp skały, nad brzegiem rzeki, nad którą biegnie gościniec z Paryża do Bordeaux, wyrosła mała miejscina zwana Houmeau i powiększała się niby gniazdo grzybów. Nikomu nie jest obcą sława papierni angulemskich, które od trzech wieków, z konieczności, usadowiły się nad Charentą i jej dopływami, znajdując tam potrzebny spadek wód. Rząd założył w Ruelle najznacniejszą gisernię dział dla marynarki. Ruch kołowy, poczta, gospody, warsztaty kołodziejskie, przedsiębiorstwa wehikułów publicznych, wszystkie przemysły, które żyją z gościńca i z rzeki, zgrupowały się u stóp Angouleme, aby oszczędzić sobie trudności wynikłych ze stromego położenia miasta. Z natury rzeczy garbarnie, pralnie, cały przemysł wodny został w pobliżu Charenty; w następstwie magazyny wódek, składy wszystkich surowców spławianych rzeką, wreszcie całe *transito* okoliły Charentę swymi zakładami. Przedmieście Houmeau zmieniło się w handlowe i bogate ognisko, drugie Angouleme. Na które z zawiścią zaczęło spoglądać górne miasto, będące siedzibą rządu, biskupstwa, sądu, arystokracji. W ten sposób Houmeau, mimo swej czynnej i wzmagającej się potęgi, zostało tylko przyczepkiem Angouleme. Na górze szlachta i władze, w dole przemysł i bogactwo — dwie strefy społeczne stale i wszędzie nieprzyjazne sobie wzajem; trudno odgadnąć, które z dwóch miast bardziej nienawidziło swego rywala. Od lat dziewięciu Restauracja zaostriżyła ten stan *rzeczy*, dość spokojnie układający się za Cesarstwa.

Większość domów w Górnym Angouleme należy albo do rodzin szlacheckich, albo do starożytnych rodzin mieszczańskich; te żyją ze swoich dochodów i tworzą plemię tubylców, do którego obcy nigdy nie mają wstępu. Zaledwie zdarzyło się, aby po dwustu latach zamieszkania, po spokrewnieniu się z jednym z miejscowych rodów jakąś rodzinę przybyłą z prowincji przyjęto za swoją; w oczach dawnych mieszkańców zostaje ona zawsze świeżym przybyszem. Prefekci, naczelnicy skarbowości, władze administracyjne, które następowały po sobie w ostatnich latach czterdziestu, próbowały cywilizować te stare rodziny, usadowione na swej skale jak nieufne kruki; tubylcy przyjmowali bale i obiady, ale co się tyczyło tego, aby dopuścić ich między siebie, stawiali stanowczy opór. Szydercze, plotkarskie, zawistne, skąpe, rodziny te żenią się jedynie między sobą, szeregują się w zwarty batalion, nie pozwalając wejść ani wyjść nikomu. Zdobywcze nowoczesnego zbytku są im zupełnie obce; wysłać syna do Paryża znaczy dla nich zgubić go. Ostrożność ta daje obraz zacofania tych domów, opanowanych niedorzecznym rojalizmem, raczej zatrutych dewocją niż istotnie pobożnych i trwających w takiej samej martwocie, jak miasto ich i skała. Angouleme cieszy się mimo to reputacją w sąsiednich prowincjach z powodu dobrego wy-

chowania, którego ma sławę; sąsiednie miasta wysyłają tam córki do pensjonatów i klasztorów.

Łatwo pojąć, jak bardzo duch kastowości oddziaływa na uczucia dzielące Angouleme i Houmeau. Przemysł jest bogaty, szlachta przeważnie biedna, jedno mści się na drugim pogardą równą z obu stron. Mieszczaństwo Angouleme przejęło tę rywalizację. Kupiec z górnego miasta mówi o przemysłowcu z przedmieścia z nie dającym się określić akcentem: „To człowiek z Houmeau!” Podkreślając położenie szlachty we Francji i dając jej nadzieje niemożliwe do ziszczenia bez powszechnego przewrotu. Restauracja pogłębiła przedział moralny, który bardziej jeszcze niż przedział topograficzny dzielił Angouleme od Houmeau. Szlachta, wówczas idąca ręką w rękę z rządem, stała się bardziej wyłączna i nieprzystępna niż gdziekolwiek indziej we Francji. Mieszkaniec Houmeau był czymś w rodzaju pariasa. Stąd owe podziemne i głębokie nienawiści, które daty taką przerażającą jednomyślność rewolucji r. 1830 i zniweczyły warunki trwałości społecznego ukształtowania Francji. Pycha dworskiej szlachty oddaliła od tronu serca szlachty z prowincji, tak jak ta znowu odstręczyła odeń mieszczaństwo raniąc je we wszystkich ambicjach.

Wprowadzenie zatem c z ł o w i e k a z H o u m e a u, aptekarskiego synka, do salonu pani de Bargeton stanowiło małą rewolucję. Któż był jej sprawcą? Lamartine i Wiktor Hugo, Kazimierz Delavigne i Canalis, Beranger i Chateaubriand, Villemain i pan Aignan, Soumet i Tissot, Etienne i d'Avrigny, Beniamin Constant i Lamennais, Cousin i Michaud, słowem, zarówno dawne, jak i nowe znakomitości literackie, liberałowie, jak i rojaliści. Pani de Bargeton kochała sztukę i literaturę: gust niewątpliwie dziwaczny, mania, nad którą ubolewało głośno całe Angouleme, ale którą musimy wytłumaczyć szkicując życie tej kobiety, urodzonej i stworzonej dla sławy, zamkniętej w ciasnym zakątku przez nieszczęśliwe okoliczności, kobiety, której wpływ rozstrzygnął o losach Lucjana.

Pan de Bargeton był prawnikiem jurata⁹ z Bordeaux nazwiskiem Mirault, uszlachconego za Ludwika XIII, po długoletnim piastowaniu urzędu. Za panowania Ludwika XIV syn jego, już pod nazwiskiem Mirault de Bargeton, został oficerem Straży Bram Królewskich i ożenił się tak świetnie pod względem pieniężnym, że za Ludwika XV syn jego nazywał się już tylko, krótko i po prostu, panem de Bargeton. Ten Bargeton, wnuk pana Mirault, jurata, tak bardzo dbał o godność prawdziwego szlachcica, że stracił na to prawie cały majątek swej rodziny i tym samym położył koniec jej świetności. Dwóch jego braci, stryjecznych dziadków obecnego Bargetona, wróciło do przemysłu, tak że dziś jeszcze istnieje nazwisko Mirault w świecie handlowym miasta Bordeaux. Włości Bargeton położone w Angoumois a zależne prawnie od lenna La Rochefoucauld i dom w Angouleme zwany pałacem Bargetonów zapisano podstawionemu spadkobiercy, dzięki czemu wnuk owego Bargetona - utracjusza wziął w sukcesji jedno i drugie. W roku 1789 odebrano mu prawo użytkowania, skutkiem czego musiał poprzestać na dochodach z ziemi, mogącej przynieść około dziesięciu tysięcy liwrów renty. Gdyby jego rodzony dziadek wstąpił był w zaszczytne ślady Bargetona I i Bargetona II, wówczas Bargeton V, któremu możemy dać przydomek „Niemy”, nosiłby tytuł margrabiego de Bargeton; byłby się połączył z jakąś wielką rodziną i został księciem i parem jak tyłu innych, gdy teraz, w roku 1805, uważał za wielki zaszczyt, iż mógł poślubić pannę Marię Luizę Anais de Negrepelisse, córkę szlachcica zapomnianego od dawna w rodzinnej wiosce, jakkolwiek był przedstawicielem młodszej linii jednej z najstarszych rodzin południowej Francji. Był jeden Negrepelisse między zakładnikami Ludwika Świętego; jednakże głowa starszej linii nosi znakomite nazwisko d'Espard, nabyte za Henryka IV przez małżeństwo z dziedziczką tej rodziny. Szlachcic ten, młodszy syn młodszego syna, żył w majątku żony, wiosce koło Barbezieux, którą znakomicie gospodarował, chodząc sam na targ sprzedawać zboże, sam przerabiając własne wino i drwiąc so-

⁹ nazwa członka rady miejskiej w niektórych miastach południowej Francji.

bie z docinków, byle mógł gromadzić talary i zaokrąglać od czasu do czasu swą posiadłość.

Okoliczności dość rzadkie na zapadłej prowincji zaszczepliły pani de Bargeton zamiłowanie do muzyki i literatury. Podczas Rewolucji niejaki ksiądz Niollant, najlepszy uczeń księdza Roze, ukrył się w zameczku w Escarbas unosząc zawiniątko z nutami własnych kompozycji. Opłacił sownie gościnę starego szlachcica zajmując się wykształceniem córki jego, Anaïs, zwanej przez skrócenie Nais, którą bez tego wydarzenia pozostawiono by samej sobie lub, co jeszcze gorzej, pierwszej lepszej pokojowej. Księżyna nie tylko był dzielnym muzykiem, ale posiadał rozległe wykształcenie literackie, mówił po włosku i po niemiecku. Nauczył pannę tych dwóch języków zarówno jak kontrapunktu; zapoznał ją z wielkimi poetyckimi dziełami Francji, Włoch i Niemiec, to znów przegrywał z nią utwory muzyczne mistrzów. Wreszcie, aby czymś zapełnić samotność, na jaką skazywały ten dom wypadki polityczne, nauczył ją greki i łaciny i dał jej nieco wiadomości z nauk przyrodniczych.

To męskie wychowanie, nie złagodzone czujną opieką macierzyńską, odbiło się na charakterze młodej osoby, którą i tak już wiejski tryb życia usposabiał do niezależności. Ksiądz Niollant, dusza zapalna i poetyczna, miał naturę artysty, która kryje w sobie wiele cennych przymiotów, ale która swobodą sądów i spojrzenia wznosi się nad poziom mieszczkańskich widnokręgów. O ile w życiu światowym te natury umieją zyskać przebaczenie swoich wyskoków oryginalnością i głębią, o tyle bywają one niebezpieczne w życiu prywatnym, a to dla różnych dziwactw, których mogą się stać powodem. Ksiądz miał wiele zapału i siły przekonania, toteż poglądy jego musiały udzielić się pannie, w której wrodzona młodym egzaltacja wzrosła jeszcze w wiejskiej samotności. Ksiądz Niollant przekazał młodzieńczej uczennicy swą śmiałość myśli, łatwość i bystrość sądu, nie bacząc, iż te przymioty, tak cenne dla mężczyzny, stają się ułomnościami w kobiecie, przeznaczonej do skromnych zadań matki rodziny.

Jakkolwiek ksiądz Niollant wciąż upominał uczennicę, aby się starała zachować tym więcej skromności i prostoty, im więcej posiada wiedzy i nauki, panna de Negrepelisse nabrała znakomitego mniemania o sobie, a równocześnie powzięła głęboką pogardę dla ludzkości. Widując w swym otoczeniu jedynie ludzi niższych, prześcigających się w usługach, nabrała wyniosłego tonu wielkich pań, nie mając równocześnie słodkiej ich obłudy. Głaskana w swych próżnościach przez księdza, który podziwiał w niej siebie, jak autor podziwia się w swoim dziele, nie miała na swoje nieszczęście żadnego punktu porównania, który by jej ułatwił wyrobienie sądu o sobie. Brak towarzystwa jest jednym z największych niebezpieczeństw życia wiejskiego. Nie mając sposobności zadawać sobie dla drugich przymusu nakładanego formami i strojem, traci się zwyczaj krępowania się dla kogokolwiek. Wszystko wtenczas wypacza się w końcu, i forma, i treść. Z czasem śmiałość poglądów panny de Negrepelisse, me złagodzona obyciem towarzyskim, zaczęła przebijać w jej wzięciu, w jej spojrzeniu; nawykła do owej zbytnej swobody, która zrazu ma urok oryginalności, ale z którą jest do twarzy tylko awanturnicom. Tak więc to wychowanie, którego kanty byłyby się wygładziły w wielkim świecie, musiało z czasem okryć ją śmiesznością w Angouleme, z chwilą gdy wielbiciele przestaliby ubóstwiać jej wady, które są wdziękiem jedynie w młodości. Co się tyczy pana de Negrepelisse, ten oddałby wszystkie książki córki, aby ocalić chorego wołu. Był tak skąpy, że nie dałby jej ani grosza nad dochód, który się jej z prawa należał, nawet gdyby chodziło o sprawienie najniezbędniejszej dla jej wykształcenia drobnostki. Ksiądz umarł w r. 1802, przed małżeństwem drogiej uczennicy, małżeństwem, które byłby z pewnością odradzał.

Po śmierci dobrego księdza stary szlachcic, zostawszy z córką na barkach, znalazł się w wielkim kłopotcie. Czuł się zbyt słaby, aby podjąć walkę, która musiała wybuchnąć pomiędzy jego skąpstwem a niepodległym umysłem niezatrudnionej dziewczyny. Jak wszystkie

młode osoby wytrącone z drogi, którą kroczą zazwyczaj kobiety. Nais trzeźwo osądziła małżeństwo i niewiele o nie dbała. Ze wstrętem myślała o poddaniu swej inteligencji i osoby człowiekowi miernemu i pospolitemu, a takich jedynie mogła spotkać. Chciała rozkazywać, a miała słuchać. Między poddaniem się grubiańskiej samowoli istoty niewyrozumiałej na jej upodobania a ucieczką z kochankiem nie wahałaby się ani chwili. Pan de Negrepelisse był jeszcze na tyle szlachcicem, aby się wzdragać przed mezaliansem. Podobnie jak wielu ojców, postanowił wydać córkę za mąż nie tyle dla niej, ile dla własnego spokoju. Potrzebował jakiegoś arystokraty albo szlachcica, niezbyt sprytnego, niezdolnego wszczynać trudności w rachunkach z opieki, dość nieznacznego jako umysł i jako charakter, aby Nais mogła żyć według swej fantazji, dość bezinteresownego, aby ją zaślubić bez posagu. Ale jak znaleźć kandydata, który by przypadł do smaku zarówno ojcu, jak córce? Podobny człowiek byłby w istocie feniksem. Pod tym podwójnym kątem widzenia pan de Negrepelisse rozglądał się wśród mieszkańców prowincji; pan de Bargeton wydał mu się jedynym, który odpowiadał programowi.

Pan de Bargeton, mężczyzna czterdziestoletni, mocno nadwerężony wybrykami młodości, odznaczał się dość wybitną tępotą; ale zostało mu w sam raz na tyle zdrowego rozumu, aby zarządzać swym majątkiem, jak również dość taktu, aby zajmować miejsce w wielkim świecie Angouleme, nie popełniając żadnej niezręczności ani głupstwa. Pan de Negrepelisse wytłumaczył bez ogródek córce negatywną wartość *tego* wzorowego męża oraz wszystkie korzyści, jakie mogła wyciągnąć z tego związku dla własnego szczęścia: zaślubiła nazwisko i herb przeszło dwóchsetletni, kupowała sobie parawan, mogła urządzić sobie wedle woli życie pod ochroną płaszczyka społecznego i przy pomocy stosunków, jakie umysł jej i uroda zdobędą w Paryżu. Nais uległa nadziejom podobnej swobody. Pan de Bargeton myślał, że robi znakomitą partię, obliczając, iż teść zostawi mu niebawem piękny szmat ziemi, który zaokrąglą z taką miłością; równocześnie jednak pan de Negrepelisse układał w duchu nagrobek dla zięcia.

W chwili obecnej pani de Bargeton liczyła lat trzydzieści sześć, mąż pięćdziesiąt osiem. Różnica była tym bardziej rażąca, iż pan de Bargeton wyglądał na siedemdziesiątkę, gdy żona jego mogła bezkarnie bawić się w młodą panienkę, nosić różowe muślinowe suknie i czesać się po dziewczęcemu. Jakkolwiek ich majątek nie przekraczał dwunastu tysięcy renty, liczono go do sześciu najznacniejszych fortun starego miasta, jeżeli wykluczmy przemysł i władze. Konieczność utrzymywania stosunków z ojcem, po którym pani de Bargeton oczekiwała spadku, aby się przenieść do Paryża, a który kazał na to tak długo czekać, iż zięć umarł wcześniej od niego, konieczność ta zmuszała państwa de Bargeton do mieszkania w Angouleme, gdzie świetne przymioty umysłu i nie wyzyskane skarby drzemające w sercu Nais miały zmarnieć bez wydania owocu i z biegiem czasu zmienić się w śmieszności.

W istocie śmieszności nasze są po największej części wynikiem jakiegoś szlachetnego uczucia, jakichś przymiotów lub zdolności rozwiniętych do przesady. Duma, której nie łagodzą wielkoświatowe formy, staje się sztywnością; rozciąga się na drobiazgi — miast nabierać wielkości w kręgu podniosłych uczuć. Egzaltacja, owo bogactwo duszy, które stwarza świętych, które może być źródłem ukrytych poświęceń i promieniującej poezji, staje się tylko przesadą, kiedy się zмага z drobiazgami prowincji. Z dala od środowiska, gdzie błyszczą świetne umysły, gdzie powietrze naładowane jest myślą, gdzie wszystko wciąż się odświeża, wykształcenie nasze przeżywa się, smak się psuje, podobnie jak stojąca woda. Z braku przedmiotu uczucia obniżają się powiększając nadmiernie drobiazgi; tu leży przyczyna skąpstwa i plotkarstwa, które zatrują prowincję. Wkrótce naśladowanie ciasnych myśli i małostkowość udzielają się najwykwintniejszej naturze. Tak niszczej i giną ludzie stworzeni do wielkości, kobiety, które, pokierowane przez szkołę życia i urobione przez wyższe umysły, mogłyby być czarujące.

Pani de Bargeton chwytiała za lirę dla lada drobiazgu, nie odróżniając poezji osobistej od poezji publicznej. Istnieją w istocie owe nie zrozumiane wzruszenia, które trzeba zachować dla siebie. Niewątpliwie zachód słońca jest wspaniałym poematem, ale czyż nie jest śmieszną kobietą, która maluje go wielkimi słowami przed gromadą zwykłych zjadaczy chleba? Istnieją rozkosze, którymi karmić się i które wspólnie odczuwać może jedynie dwóch poetów, dwa serca. Nais miała tę wadę, iż lubiła używać owych olbrzymich zdań brzemiennych napuszonymi wyrazami, zdań tak dowcipnie nazwanych tartynkanami w gwarze dziennikarstwa, które przyrządza je co dzień, i to bardzo niestrawne, dla czytelników, ci zaś łykają je mimo wszystko. Miała zwyczaj nadmiernie rozrzucać superlatywy, które śrubowały jej konwersację na niebotyczne wyżyny; każdy drobiazg nabierał gigantycznych proporcji. W owej epoce zaczęła wszystko typizować, indywidualizować, syntetyzować, dramatyzować, superioryzować, analizować, poetyzować, prozaizować, neologizować i tragizować: gdyż trzeba na chwilę pogwałcić język, aby odmalować modne dziwactwa, w których grzęźnie wiele kobiet. Umysł jej rozpalał się zresztą tak jak jej styl. Dytyramb miała zarówno w sercu jak na ustach. Płonęła, omdlewała: entuzjazmowało ją wszystko: poświęcenie siostry miłosierdzia i stracenie braci Faucher. „Ipsiboe” pana d'Arlicourt tak samo, jak „Anaconda” Lewisa, ucieczka La Valette'a¹⁰, jak przygoda jednej z przyjaciółek, która udając grubego głosu wystraszyła złodziei. Wszystko dla niej było wzniosłe, nadzwyczajne, dziwne, czarujące, boskie. Zapalała się, unosiła, omdlewała, wzbijała w górę, zatapiała wzrok w niebiosach. to znów opuszczała go ku ziemi; oczy jej napelniały się ustawicznie łzami. Spalała życie w ciągłych zachwytach lub trawiła je w przesadnych oburzeniach. Uwielbiała paszę Janiny, byłaby chciała walczyć z nim w jego seraju; znajdowała wielkim los kobiety zaszytej w worek i wrzuconej do wody. Zazdrościła lady Esther Stanhope¹¹, tej „sawantce” pustyni. Brała ją ochota zostać siostrą miłosierdzia i umrzeć na żółtą febrę w Barcelonie, pielęgnując chorych: oto wielki, szlachetny los! Tęskniła za wszystkim, co nie było przeźroczystą wodą jej życia, ukrytą wśród traw. Uwielbiała lorda Byrona, Jana Jakuba Rousseau, wszystkie poetyczne i dramatyczne egzystencje. Miała gotowe łzy dla każdej niedoli, fanfary dla każdego zwycięstwa. Sympatyzowała z ujarzmionym Napoleonem, sympatyzowała z Mehmetem-Ali mordującym tyranów Egiptu. Ludzi genialnych stroiła w istną aureolę, wierzyła, iż żyją światłem i wonią. Większość osób uważała jej wzięcie za nieszkodliwe szaleństwo; bystry jednakże obserwator umiałby w tym wszystkim dojrzeć szczątki wspaniałego gmachu miłości, gmachu, który runął w gruzy ledwo wzniesiony, resztki jakiejś niebiańskiej Jeruzalem, słowem, miłości bez kochanka. I było to prawdą. Historię pierwszych osiemnastu lat małżeństwa pani de Bargeton można napisać w kilku słowach. Jakiś czas żyła własną treścią i odległymi nadziejami. Następnie, przekonawszy się, iż życie w Paryżu, do którego wzdychała, jest dla niej zamknięte z powodu niedostatecznego majątku, zaczęła się rozglądać wśród osób, które ją otaczały, i zadrżała na widok swego osamotnienia. Nie znalazła dokoła siebie człowieka zdolnego w niej rozniecić owo szalone uczucie, w które rzucają się kobiety popychane rozpaczą życia bez wyjścia, bez wydarzeń, bez celu. Nie mogła liczyć na nic, nawet na

¹⁰ Bracia Faucher (1759-1815) – bliźniacy uczestnicy walk Republiki przeciw rokoszowi rojalistów w Wandei, generałowie za Napoleona, za Restauracji zostali bezpodstawnie wplątani w proces o znieważenie sztandaru monarchistycznego i rozstrzelani., „Ipsiboe” – historyczna powieść rojalistycznego pisarza d'Arlicourta (1789-1856), odznaczająca się napuszonym stylem, absurdalna psychologią postaci i brakiem ścisłości historycznej., „Anaconda” – tzw. gotycki (na temat średniowiecza) romans angielskiego pisarza Lewisa (1773-1818) jednego z twórców powieści fantastycznej., Antoine-Marie de La Valette (1769-1830) – francuski polityk, stronnik Napoleona, po okresie „Stu Dni” skazany przez Burbonów na śmierć, uciekł z więzienia w przeddzień wykonania wyroku, przy pomocy swej żony i podobno nie bez milczącej zgody króla Ludwika XVIII.

¹¹ (1776-1829) – siostrzenica angielskiego ministra Pitta, samodzielna, inteligentna lecz despotyczna Angielka, od r. 1810 zamieszkała w Syrii, gdzie prowadziła życie ekscentryczne i awanturnicze wśród koczowniczych Beduinów, o czym wspominają w swych pamiętnikach i listach Słowacki i Lamartine.

przypadek, gdyż istnieją egzystencje bez przypadku. W chwili gdy Cesarstwo błyszczało całą świetnością, w czasie pochodu Napoleona do Hiszpanii, dokąd wysyłał kwiat swego rycerstwa, nadzieje tej kobiety, dotąd tak zawiedzione, odżyły. Parta naturalną ciekawością, zaczęła się przyglądać bohaterom, którzy zdobywali Europę na jedno słowo „dziennego rozkazu” i którzy wskrzeszali bajeczne czyny średniowiecznego rycerstwa. Najbardziej skąpe i oporne miasta musiały podejmować gwardię cesarską, naprzeciw której wychodzili merowie i prefekci z powitalną mową na ustach, niby naprzeciw królom. Pani de Baryton przybywszy na redutę, którą pułk wyprawił miastu, zakochała się w młodym szlachcicu, prostym podporuczniku, któremu przebiegły Napoleon ukazał buławę marszałka Francji. Miłość tę, powściągliwą, szlachetną, wielką, odbijającą od tak łatwo wówczas nawiązywanych i zrywanych miłości, uświęciła w całej jej czystości ręka śmierci. Pod Wagram kula armatnia strzaskała na sercu margrabiego de Cante-Croix jedyny portret, który mógłby świadczyć o piękności pani de Bargeton. Długo opłakiwała pięknego młodzieńca, rozplamionego sławą i miłością, który w dwóch kampaniach został pułkownikiem, a który list od Nais stawiał wyżej cesarskich odznaczeń. Cierpienie rzuciło na twarz tej kobiety zasłonę smutku. Zasłona ta zniknęła dopiero w owym strasliwym wieku, gdy kobieta poczyną żałować pięknych lat, których nie zdołała użyć, gdy widzi, jak róże zaczynają więdnąć, i gdy tęsknoty miłosne budzą się na nowo wraz z żądzą przedłużenia ostatnich uśmiechów młodości. Wszystkie bogactwa duszy zmieniły się w jej sercu w jedną ranę, z chwilą gdy ogarnął ją chłód prowincji. Podobna gronostajowi, umarłaby z rozpacz, gdyby przypadkiem skalała się zetknięciem z tymi ludźmi, których jedyną myślą była niedroga partyjka wieczorem, po dobrym obiedzie. Duma uchroniła ją od żalosnych prowincjonalnych miłości. Między pustką ludzi, którzy ją otaczali, a nicością kobieta tak niepospolita musiała przekładać nicość. Małżeństwo i świat były dla niej niby klasztorem. Żyła poezją jak karmelitanka religią. Dzieła dawnych cudzoziemców, dotąd nie znanych, publikowane w latach 1815—1821, wielkie traktaty pana de Bonalda i pana de Maistre, tych dwóch orłów myśli, wreszcie dzieła nie tak już podniosłe literatury francuskiej, która jakże krzepko wypuściła swoje gałęzie, upiękniły jej samotność, lecz nie wysubtelniły ani umysłu, ani manier. Została prosta i silna jak drzewo, które zniosło uderzenie piorunu nie dając się powalić. Godność jej zmieniła się w sztywność, królewskość uczyniła ją przesadną i wymuszoną. Jak wszyscy, którzy pozwalają się ubóstwiać dworakom, panowała przez swoje wady. Taką była przeszłość pani de Bargeton; trzeba było ją poznać, aby zrozumieć stosunek tej kobiety do Lucjana. Poeta wszedł do jej salonu w sposób dość szczególny. W ciągu ostatniej zimy przybyła do miasta osobistość, która wniosła nieco ożywienia w jednostajne życie pani de Bargeton. Otworzyło się świeżo miejsce dyrektora podatków pośrednich; otóż na tę posadę przysłano z Paryża człowieka, którego burzliwe losy czyniły dość interesującym, aby ciekawość kobieca posłużyła mu za paszport do salonu miejscowej monarchini.

Pan du Chatelet, który przybył na świat po prostu jako Sykstus Chatelet, ale który od r. 1806 miał na tyle praktycznego zmysłu, iż nadał sobie tytuł, był jednym z owych sympatycznych młodych ludzi, którzy za Napoleona uniknęli wszystkich konskrypcyj wojskowych, pozostając wciąż w pobliżu cesarskiego słońca. Zaczął karierę od przybocznego sekretarza jednej z księżniczek domu cesarskiego. Pan du Chatelet miał wszystkie braki, jakich wymagało to miejsce. Dobrze zbudowany, ładny mężczyzna, dobry tancerz, zręczny bilardzista, biegły we wszystkich grach i ćwiczeniach, mierny aktor w teatrach amatorskich, salonowy śpiewak, wdzięczny słuchacz anegdot i dowcipów, gotów do wszystkiego, giętki, zawistny, posiadał wszystko i nic równocześnie. Nieuk muzyczny, umiał w potrzebie nieźle zaakompaniować damie, która dała się uprosić o zaśpiewanie romancy wykutej w pocie czoła przez miesiąc. Niezdolny do odczucia poezji, podejmował się ułożyć w dziesięć minut jakąś improwizację, czterowiersz płaski jak pluskwa, w którym rymy sztu-

kowały brak myśli. Pan du Chatelet posiadał jeszcze talent dokończenia tła w hafcie rozpoczętym paluszkami księżniczki; umiał z nieskończonym wdziękiem trzymać jedwab, który ona zwijała, mówiąc jej równocześnie miłe błahostki, których pieprzna treść ukryta była pod mniej lub więcej przezroczystą gazą. Bez pojęcia o malarstwie, potrafił jednak skopiować jakiś pejzażyk, podchwycić sylwetkę, wyrysować i wykolorować kostium. Słowem, gromadził wszystkie owe drobne talenciki, które były tak potężną dźwignią kariery w owym czasie, kiedy kobiety miały na sprawy publiczne więcej wpływu, niżby się zdawało. Uważał się za tęgiego gracza w dyplomacji, owej umiejętności tych, którzy nie posiadają żadnej i którzy wydają się tym głębsi przez swą próżnię. Umiejętność to zresztą bardzo wygodna — o tyle, iż dowody jej składa się pełniąc jej wysokie funkcje, że potrzebując ludzi dyskretnych pozwala ignorantom nie mówić nic i osłaniać się tajemniczymi minami. Człowiekiem najtęższym w tej sztuce jest ten, który pływa trzymając głowę ponad falą wypadków i zdając się nimi kierować: kwestia małego ciężaru gatunkowego. Tu, podobnie jak w sztuce, spotyka się tysiąc miernot na jednego genialnego człowieka. Mimo zwyczajnej i nadzwyczajnej służby przy Jej Cesarskiej Wysokości wpływ protektorki nie zdołał wśrubować Chateleta do Rady Stanu, nie dlatego, aby nie mógł jak tylu innych zajmować z wdziękiem referendarskiego fotela, ale ponieważ księżniczka uważała, iż bardziej jest na miejscu przy jej osobie niż gdziekolwiek indziej. Mimo to otrzymał tytuł barona, przybył do Cassel jako nadzwyczajny wysłannik i istotnie okazał się tam bardzo nadzwyczajny. Inaczej mówiąc, Napoleon posłużył się nim w krytycznym momencie jako kurierem dyplomatycznym. W chwili gdy Cesarstwo padło, baron du Chatdet miał przyrzeczoną nominację na posła w Westfalii przy królu Hieronimie¹². Postradawszy w ten sposób tę posadę, którą nazywał ambasadą rodzinną, wpadł w rozpacz; puścił się do Egiptu z generałem Armandem de Montriveau. Rozłączony z towarzyszem przez nadzwyczajne wydarzenia, błąkał się przez dwa lata z pustyni w pustynię, od szczepu do szczepu, jako jeniec Arabów, którzy odprzedawali go jedni drugim nie mogąc wyciągnąć żadnej korzyści z jego talentów. Wreszcie, gdy Montriveau podążał do Tangeru, udało mu się dotrzeć do posiadłości imana Maskaty i tutaj trafił szczęściem na statek angielski, na którym zdołał wrócić do Francji na rok przed swym towarzyszem podróży. Świeże nieszczęścia, stosunki z dawniejszych czasów, przysługi oddane osobom będącym dziś u władzy, wszystko to zwróciło nań uwagę pierwszego ministra i zjednało mu pierwszą wolną posadę. Rola, którą pan du Chatelet odgrywał w swoim czasie przy Cesarskiej Wysokości, opinia zdobywcy serc, szczególne przygody jego podróży, jego nieszczęścia, wszystko to pobudziło ciekawość kobiecego świata w Angouleme. Poznawszy obyczaje górnego miasta, baron Sykstus du Chatelet umiał się zachować odpowiednio. Odgrywał rolę człowieka chorego, przybrał pozę obojętności i przeżycia.

Przy każdej sposobności ujmował się rękami za głowę, jak gdyby cierpienie nie zostawiało mu ani chwili spokoju: niewinna sztuczka, która przypominała jego podróż i czyniła go interesującym. Złożył wizyty władzom: generałowi, prefektowi, generalnemu dyrektorowi skarbu i biskupowi, ale wszędzie był grzeczny, chłodny, lekko wzgardliwy, jak człowiek, który nie czuje się na właściwym miejscu i czeka chwili, w której zajmie odpowiednie stanowisko. Pozwolił domyślać się tylko swych towarzyskich talentów, które zyskały na tym, iż zostały nieznane: następnie, stawszy się bohaterem miasta, a nie wyczerpując zaciekawienia, poznawszy do gruntu nicość mężczyzn, a przestudiowawszy wytrawnym okiem, w ciągu kilku niedziel, w kościele katedralnym, kobiety, uznał w pani de Bargeton osobę, o której względy warto się było ubiegać. Rachował na pomoc muzyki, aby się prze dostać przez próg tego niedostępnego dla obcych przybytku. Sprowadził sobie potajemnie mszę Miroira, wyćwiczył ją na fortepianie, następnie zaś, w jakąś piękną niedzielę, w którą cale towarzystwo angulemskie zebrało się w katedrze, zachwycił wszystkich ignorantów

¹² młodszy brat Napoleona, król Westfalii w latach 1807-1813.

przygrywając na organach i pobudził zaciekawienie związane z jego osobą, postarawszy się o niedyskrecję kościelnych, która zdradziła wirtuoza. Przy wyjściu z kościoła pani de Bargeton wyraziła mu słowa uznania, ubolewała, że nie ma sposobności, aby razem z nim uprawiać muzykę: w czasie tego rozmyślnie spowodowanego spotkania, w naturalny sposób potrafił du Chatelet zdobyć ów paszport, którego by nie był otrzymał, gdyby się o niego starał. Zręczny baron zaczął bywać u królowej Angouleme i otoczył ją kompromitującymi zalotami. Podstarzały piękniś (miał czterdzieści pięć lat) odgadł w tej kobiecie całą drzemiacą młodość, nie wyzyskane skarby, może w przyszłości bogatą wdowę do wzięcia, wreszcie związek z rodziną Negrepelisse, ułatwiający mu w Paryżu oparcie o margrabinę d'Espard, której wpływ mógł mu na nowo otworzyć karierę polityczną. Mimo smutnej i szpecącej jemioli, która psuła to piękne drzewo, postanowił zająć się nim, oczyścić je, uprawić i otrzymać zeń piękne owoce. Całe arystokratyczne Angouleme okrzyknęło się przeciw wpuszczeniu giaura do swego klanu, salon bowiem pani de Bargeton był punktem zbornym towarzystwa wolnego od wszelkiej obcej domieszki. Jedynie biskupa dopuszczano tam na stałe, prefekt pojawiał się dwa lub trzy razy do roku. Generalny dyrektor skarbu nie mógł się dostać do tego salonu; pani de Bargeton bywała na jego wieczorach, koncertach, lecz nie przyjęła nigdy zaproszenia na obiad. Nie przyjmować generalnego dyrektora skarbu, dopuścić zaś prostego dyrektora podatków — to obalenie hierarchii wydało się wzgardzonym władzom nie do pojęcia!

Ci, którzy potrafia zżyć się myślą z tymi małostkami, istniejącymi zresztą w każdej sferze, rozumieją, jak bardzo pałac państwa de Bargeton musiał się wydawać imponujący mieszczaństwu z Angouleme. Co się tyczy Houmeau, to wielkości owego Luwru na małą skalę, chwała tego angulemskiego pałacu Rambouillet błyszczały dla przedmieścia na kształt odległego słońca. W rzeczywistości to, co się tam zbierało, były to najmizerniejsze dusze, najtępsze mózgi najobskurniejsze figury na dwadzieścia mil wokoło. Dyskusje polityczne tonęły tam w komunach: „Quotidienne”¹³ była dla nich zbyt umiarkowana. Ludwik XIII uchodził za jakobina. Kobiety, przeważnie głupie, bez wdzięku, źle ubrane, wszystkie miały jakieś braki, które je szpeciły; nic nie było zupełne, ani rozmowa, ani strój, ani ciało, ani dusza. Gdyby nie zamiary na panią de Bargeton, du Chatelet nie byłby tam wytrzymał. Mimo to maniery i duch kastowy, arystokratyczne tony, duma szlachcica na swoim zamczku, znajomość praw grzeczności pokrywały całą tę pustkę. Szlachetność uczuć była o wiele szersza niż w sferze wielkości paryskich; jaśniało tam istotnie czcigodne przywiązanie pomimo wszystko do Burbonów. Społeczeństwo to można porównać, jeśli wolno użyć takiego obrazu, do srebra o staroświeckiej formie, szerniałego, ale mającego wagę. Nieruchomość przekonań politycznych podobna tu była do wierności. Dystans stworzony pomiędzy tym społeczeństwem a światem mieszczańskim, trudność dostania się do niego nadawały mu urojoną wyższość i takąż wartość. Każdy członek tej szlachty miał dla mieszkańców swą cenę, podobnie jak muszelki zastępują pieniądź u Murzynów Bambara. Kobiety, ujęte grzecznościami pana du Chatelet i uznając w nim zalety, na których zbywało mężczyznom z ich sfery, starały się złagodzić uprzedzenia i niechęci: każda spodziewała się zgarnąć spadek po Cesarskiej Wysokości. Puryści mniemali, iż będą zmuszeni spotykać intruza u pani de Bargeton, ale że poza tym nie znajdzie wstępu do żadnego innego domu. Du Chatelet zniósł wiele niegrzeczności, ale utrzymał się w pozycji, szukając oparcia o duchowieństwo. Następnie wyzyskał słabości, jakie prowincja wytworzyła w królowej Angouleme, znosił jej nowe książki, czytywał jej świeżo pojawiające się poezje. Rozpływali się razem nad dziełami młodych pisarzy, ona szczerze, on znudzony w duchu, ale znosząc cierpliwie romantycznych poetów, dla których, jako człowiek ze szkoły Cesarstwa, mało miał odczucia. Pani de Bargeton, zachwycona tym odrodzeniem poezji pod

¹³ („Gazeta Codzienna”) – dziennik rojalistyczny, założony w r. 1992, wychodził za Restauracji i monarchii lipcowej.

wpływem lilii burbońskich, kochała pana de Chateaubriand za to, że nazwał Wiktora Hugo „cudownym dzieciąciem”. Bolejąc, iż może obcować z geniuszami jedynie na odległość, wzdychała do Paryża, tej siedziby wielkich ludzi. Pan du Chatelet, sądząc, iż czyni krok bardzo zręczny, opowiedział jej wówczas, że istnieje w Angouleme drugie cudowne dzieciącie, młody poeta, który, sam nie wiedząc o tym, przewyższa blaskiem gwiazdy konstelacji paryskich. Przyszły wielki człowiek urodził się w Houmeau! Dyrektor kolegium pokazał baronowi prześliczne wiersze jego pióra. Biedny i skromny chłopiec ten był niby Chatterton¹⁴ bez nikczemności politycznej, bez dzikiej nienawiści społecznych wyżyn, która pchnęła angielskiego poetę do pisania pamfletów przeciw swym dobroczyńcom. Skazana na towarzystwo kilku osób, które podzielały jej arystokratyczno - literackie zamięłowania — jeden, ponieważ rzępolił na skrzypcach, drugi, ponieważ zdarzyło mu się zanieczyszczać sepią biały papier, ten z tytułu prezesa Towarzystwa Rolniczego, tamten z racji basowego głosu, który pozwolił mu intonować na kształt pobudki myśliwskiej „*Se fiata in corpo avete*”¹⁵ — pośród tych śmiesznych figur pani de Bargeton była jak człowiek trawiony głodem wobec teatralnego obiadu o potrawach z kartonu. Toteż nic nie mogłoby odmłodać jej radości, gdy dowiedziała się o tej nowinie. Zapragnęła ujrzeć tego poetę, tego anioła, marzyła o nim, zapalała się, mówiła o nim godzinami. W dwa dni później ekskurier dyplomatyczny postarał się za pomocą dyrektora szkoły o przedstawienie Lucjana pani de Bargeton.

Wy tylko, biedni heloci prowincji, dla których dystanse społeczne o ileż dłuższe są do przebycia niż w Paryżu, gdzie z każdym dniem stają się one coraz mniejsze, wy, ofiary nielitościwych barier, między którymi każdy z rozmaitych światów tego świata wyklina się nawzajem i mówi sobie „Raka!”, wy jedynie zrozumiecie wzruszenie, które owładnęło mózgiem i sercem Lucjana Chardon, gdy imponujący dyrektor powiedział mu, że bramy pałacu Bargetonów miały się dlań otworzyć! Sławą dotknęła ich swoją czarodziejską różdżką! Znajdzie łaskawe przyjęcie w tym domu, którego stare gzymsy ciągnęły jego spojrzenie, gdy przechadzał się wieczorem z Dawidem w Beaulieu, mówiąc sobie, że ich nazwiska nie przedostaną się może nigdy do tych uszu, głuchych na głos wiedzy, gdy wychodzi ze zbyt niskiej strefy.

Siostra Lucjana była jedyną powiernicą sekretu. Jako dobra gospodyni, jako czarodziejska wróżka, Ewa dobyteła ze skarbczyka kilka luidorów, aby kupić dla Lucjana wykwinne trzewiki u najlepszego szewca w Angouleme, nowe ubranie u najśłynniejszego krawca. Przybrała mu najlepszą koszulę żabotem, który wyprała i wyprasowała sama. Cóż za radość, kiedy go ujrzała tak strojnym; jakże dumna była z brata! Ileż przestróg, zaleceń! Przewidziała tysiąc najgłupszych drobiazgów. Nawykły do rozmyślań, Lucjan miał nałóg opierania się łokciami o stół, skoro tylko usiadł, czasem zdarzało mu się nawet przyciągnąć stół, aby się na nim oprzeć; Ewa przestrzegała go, aby w tym arystokratycznym sanktuarium nie ważył się pozwalać sobie na tę naganną swobodę. Odprowadziła go aż do bramy Św. Piotra, a potem, stanąwszy nie opodal katedry, śledziła go wzrokiem, gdy szedł ulicą *de Beaulieu* do alei, w której go miał oczekiwać pan du Chatelet. Pocziwa dziewczyna wróciła do domu cała wzruszona, jak gdyby się spełniła jakaś wielka rzecz. Lucjan u pani de Bargeton — to było dla Ewy jakby zaranie świetnej przyszłości. Ta święta istota nie wiedziała, że gdzie zaczyna się ambicja, tam kończą się naiwne uczucia. W miarę jak Lucjan zbliżał się do pałacu, oswajał się stopniowo z rzeczywistością. Ten Luwr, tak wyolbrzymiony jego wyobraźnią, był to dom wybudowany z wapiennego kamienia, obfitego w tej okolicy, któremu czas nadał złotawą patynę. Wyglądał dość smutno od ulicy, wewnątrz był bardzo skromny: był to dziedziniec prowincjonalnego domu, schludny i zimny:

¹⁴ Thomas Chatterton (1752-1770) – uzdolniony poeta angielski, odebrał sobie życie z powodu nędzy i braku zrozumienia ze strony społeczeństwa.

¹⁵ (wł.) - ile tchu w piersiach macie.

architektura prosta, niemal klasztorna, dobrze zachowana. Lucjan wszedł po starych schodach z drewnianą balustradą: począwszy od pierwszego piętra schody nie były już kamienne, lecz drewniane. Minąwszy lichy przedpokój, wielki, słabo oświetlony salon, ujrzał władczynię w małym saloniku wykładanym boazeriami w smaku XVIII wieku, malowanymi na szaro. W supraportach tkwiły obrazy jednobarwne. Ściany obite były starym czerwonym adamaszkiem, nad którym biegł skromny gzyms. Meble o staroświeckim kształcie kryły się smutno pod pokrowcami w kratę, białą z czerwonym. Poeta ujrzał panią de Bargeton siedzącą na wyściełanej kanapie, przy okrągłym stole pokrytym zielonym dywanikiem, ze staroświeckim świecznikiem o dwóch świecach z umbrellą.

Królowa nie podniosła się z miejsca, wykręciła się tylko wdzięcznie na kanapce, uśmiechając się do poety, którego ten wężowy ruch zachwycił: zdawał mu się dystyngowany. Nadzwyczajna piękność Lucjana, jego nieśmiałość, jego głos, wszystko ujęło panią de Bargeton. Poeta był już poezją. Młody człowiek objął ukradkowym rzutem oka tę kobietę, która wydała mu się w harmonii ze swym rozgłosem: nie zawiodła jego pojęcia o wielkiej damie. Pani de Bargeton nosiła, idąc za nową modą, czarny aksamitny, porozcinany wokół symetrycznie berecik. To nakrycie głowy, przypominające średniowiecze, urzeka młodzieńca dodając kobiecie uroku; spod beretu wymykały się w nieładzie loki rudawoblond, błyszczące w świetle złotawym połyskiem o gorącym odcieniu. Dostojna pani posiadała ową wspianą cerę, którą kobieta okupuje przykre strony związane podobno z tym płowym odcieniem włosów. Szare oczy migotały żywym blaskiem, gdy czoło, już pokryte zmarszczkami, sklepiało się śmiałą płaszczyną; otaczała je obwódka o połysku perłowej masy; po obu stronach nosa dwie błękitne żyłki uwydatniały białosć tej delikatnej oprawy. Nos był nieco zakrzywiony jak nosy Burbonów, a rys ów dodawał ognia tej pociągłej twarzy, stanowiąc niby jaśniejący punkt, który przywodził na myśl królewski polot Kondeuszów¹⁶ włosy nie kryły całkowicie szyi. Suknia, niedbale spięta, odsłaniała nieco śnieżnej piersi, pozwalając zarazem oku domyślać się jej nieskazitelných kształtów. Ręką starannie wypielegnowaną, o delikatnych, choć nieco suchych palcach, uczyniła pani de Bargeton uprzejmy gest, wskazując młodemu poecie krzesło w pobliżu. Pan du Chatelet zajął fotel. W tej chwili dopiero Lucjan spostrzegł, że są sami.

Rozmowa z panią de Bargeton upoiła młodego wieszczą z Houmeau. Trzy godziny w jej towarzystwie były dla Lucjana snem, który chciałoby się przedłużyć w nieskończoność. Kobieta ta wydała mu się raczej powiewną niż chuda, urodzoną kochanką bez miłości, chorowitą mimo swej siły. Wady jej, podkreślone stylem zachowania, podobały mu się; ludzie młodzi dosyć smakują w przesadzie, owym kłamstwie pięknych dusz. Nie uderzyła go zupełnie sieć czerwonych żyłek na przywiedłych policzkach, którym smutki i jakieś dolegliwości dały ton ceglasty. Wyobraźnię jego uderzyły te oczy pełne żarn. te wytworne, ociekające blaskiem pukle, ta śnieżna białosć cery, świetlane punkty, które pociągnęły go ku sobie, jak motyla blask świecy. A potem dusza ta zbyt silnie przemówiła do jego duszy, aby mógł trzeźwo osądzić kobietę. Poryw tej kobiecej egzaltacji, żywość frazesów, nieco tracących starzyznę i powtarzających się w ustach pani de Bargeton od dawna, ale dla niego nowych i świeżych, oczarowały go tym więcej, iż pragnął znaleźć wszystko pięknym i godnym zachwyty. Nie przyniósł z sobą poezji, które miał odczytać. ale nie było o tym mowy; on zapomniał wziąć wierszy. aby mieć prawo wrócić, pani de Bargeton nie wspominała o nich jedynie po to. aby go zachęcić do odczytania ich któregoś dnia. Czyż to nie był już jakby pierwszy spiszek? Pan Sykstus du Chatelet nie był rad z tego przyjęcia. Spostrzegł, późno nieco, możliwego rywala w tym urodziwym młodzieńcu. Odprowadził Lucjana do pierwszego zakrętu w zamiarze rozwinięcia kunsztów swej dyplomacji. Lucjan zdziwił się niemało, słuchając, jak pan dyrektor podatków pośrednich przyznaje sobie zasługę wprowadzenia go i daje mu z tego tytułu rozmaite rady.

¹⁶ boczna linia dynastii Burbonów.

Dałby Bóg, aby spotkał się tam z lepszym przyjęciem niż on sam — mówił pan du Chatelet. — Sam dwór mniej jest z pewnością nadęty i nieprzystępny niż ta gromada mamutów. Trzeba być przygotowanym na śmiertelne ukłucia, znosić upokarzające lekceważenie. Rewolucja z r. 1789 musi na nowo wybuchnąć, jeżeli ci ludzie się nie odmienia. Co do niego, pana du Chatelet, to jeżeli bywa jeszcze w tym świecie, to jedynie ze względu na panią de Bargeton, jedyną kobietę, którą można brać na serio w całym Angouleme. Zaczął (powiadał baron) umizgać się do niej dla zabicia czasu i sam nie wiedząc kiedy, zakochał się do szaleństwa. Spodziewa się, iż wkrótce będzie należeć do niego kocha go, wszystko pozwala mu w to wierzyć. Kapitulacja tej dumnej królowej będzie jedyną zemstą, jaką chce osiągnąć to głupie gniazdo szlachciurów.

Chatelet mówił o swej miłości jak człowiek, który by się nie cofnął przed zgładzeniem rywala, gdyby ktoś ośmielił się stanąć mu w drodze. Podstarzały motylek Cesarstwa runął całym ciężarem na biednego poetę, próbując zmiażdżyć go wagą swej osoby, a zarazem napędzić mu strachu. Powiększył się w jego oczach, opowiadając niebezpieczeństwa swej podróży, i to nieco ubarwione; ale jeżeli zdołał podbić wyobraźnię poety, nie przstraszył bynajmniej kochanka.

Od tego wieczoru, mimo niezadowolenia starego eleganta, mimo jego pogrozek i postawy mieszczańskiego zabijaki, Lucjan pojawiał się nieraz u pani de Bargeton, zrazu z nieśmiałością plebejusza; wkrótce jednak oswoił się z tym, co mu się wydawało z początku ogromną łaską, i odwiedzał ją coraz częściej. Syn aptekarza był w oczach tego towarzystwa istotą bez znaczenia. W samych początkach, o ile jakiemuś szlachcicowi lub którejś z pań zdarzyło się spotkać Lucjana u Nais, odnosili się doń z ową przygniatającą grzecznością, jaką ludzie wielkiego świata posługują się wobec niżej położonych istot. Lucjanowi świat ten wydał się zrazu nader ujmujący: z czasem jednakże zrozumiał uczucia, z których płynęły te łudzące względy. Parę wzdargliwych spojrzeń, które pochwycił w przelocie, poruszyło w nim żółć do głębi i utwierdziło go w zaprawnych nienawiści ideach republikańskich, którymi wielu z tych przyszłych patrycjuszów rozpoczyna swoje zetknięcie się z wyższą sferą. Ale jakichże cierpień nie byłby zniósł dla Nais! Słyszał, jak dawano jej to imię, gdyż między sobą osoby tworzące ów klan, mężczyźni i kobiety, podobnie jak grandowie hiszpańscy lub śmietanka wiedeńskiego świata, nazywali się po imieniu: ostatni odcień wymyślony dla wprowadzenia wyróżnień w sercu miejscowej arystokracji.

Lucjan kochał Nais tą miłością, jaką każdy młody człowiek kocha pierwszą kobietę schlebiającą jego ambicji. Nais przepowiadała Lucjanowi wielką przyszłość, olbrzymią sławę. Pani de Bargeton rozwinęła całą zręczność, aby przemycić w swym domu młodego poetę; nie tylko wysławiała ponad wszelką miarę jego wartość, ale przedstawiała go zarazem jako biedne dziecko bez środków, któremu pragnie ułatwić przebijanie się przez życie. Pomniejszała go prawie, aby go móc zachować: robiła zeń swego lektora, sekretarza: ale równocześnie kochała go bardziej, niż po strasliwym nieszczęściu, jakie ją spotkało, przypuszczała sama, iż zdolna jest kochać. W myślach obchodziła się z sobą bardzo surowo: mówiła sobie, że byłoby szaleństwem pokochać dwudziestoletniego chłopca, którego już sama pozycja tak bardzo od niej oddala. Poufałościom, do których dopuszczała Lucjana, zadawała kapryśnie kłam duma zrodzona z tych skrupułów. Była z nim na przemian wyniosła i łaskawa, czuła i pełna pochlebstw. Zrazu onieśmielony pozycją tej kobiety, Lucjan przeżył wszystkie obawy, wszystkie nadzieje i rozpacz, które wykuwają pierwszą miłość i wciskają ją tak głęboko w serce owymi falami kolejnych chwil szczęścia i cierpienia. Przez dwa miesiące widział w niej swą dobrodziejkę, która zechciała się nim zająć z macierzyńską troskliwością. Z czasem jednak stosunek zacieśniał się. Pani de Bargeton nazywała swego poetę droгим Lucjanem: potem tylko droгим. Poeta, ośmielony, począł tę wielką damę nazywać po prostu: Nais. Słyszac w jego ustach to imię uniosła się owym gniewem, tak uroczym dla młodej wyobraźni: obsypała go wymówkami, że używa imie-

nia, którym posługują się wszyscy. Dumna i rasowa Negrepelisse oddała poecie inne miano, jeszcze nie zużyte: chciała być dlań Luizą. Lucjan dosięgnął trzeciego nieba miłości. Pewnego wieczora Lucjan zastawszy Luizę z wzrokiem zatopionym w portrecie, który natychmiast ukryła, zapragnął go zobaczyć. Aby ułagodzić rozpacz owego pierwszego wybuchu zazdrości, Luiza pokazała portret młodego Cante-Croix i opowiedziała, nie bez łez, bolesne dzieje tej tak czystej, a tak okrutnie przerwanej miłości. Czy gotowała się popełnić jakąś niewierność względem zmarłego, czy też natchnęła ją myśl stworzenia w tym portrecie rywala? Lucjan zbyt był młody, aby analizować postęпки ubóstwianej; wpadł więc w rozpacz, wielce naiwną zaiste, gdyż Luiza dała w ten sposób hasło kampanii, w której kobiety pozwalają robić wyłom w mniej lub więcej pomysłowo podsycanych skrupałach. Ich dyskusje o obowiązkach, formach, religii są to niby fortyfikacje, przeznaczone na to, aby je zdobywano szturmem. Niewinnemu Lucjanowi nie było trzeba tych kokieterii, byłby wojował z własnego popędu.

— Ja nie chcę wcale umierać, ja chcę żyć dla ciebie — rzekł rezolutnie pewnego wieczora pragnąc skończyć już raz z panem de Cante-Croix. Mówiąc to objął Luizę spojrzeniem, w którym malowała się namiętność dojrzała do czynu.

Przerażona postępami, jakie świeża miłość czyniła w niej samej i w jej poecie. Luiza przypomniła mu wiersz przyrzeczony na pierwszą stronicę albumu, szukając przedmiotu do sprzeczki w opieszałości, z jaką Lucjan spełnia jej życzenia. Jakichż uczuć doznała od czytując te dwie stances, które wydały się jej oczywiście piękniejsze od najlepszych strof poety arystokracji. Canalisa¹⁷?

Nie zawsze tęczę magicznych kolorów
Wśród welinowej igraszki Amorów
Rozsnuwać będą swe nici;

Oddechu lubej pieśń moja spragniona,
Wszystkie radości i smutki jej łona
Z ust najmilejszych pochwyci.

A gdy pobledną wspomnienia i głoski,
Niech ją te karty w marzenia bez troski
Jak białe żagle powiodą

Przez krajobrazy spełnionych już losów.
W szczęśliwą przeszłość jak lazur niebiosów,
Przeczystą lśniących pogodą¹⁸

— Czy to naprawdę ja ci podyktowałam?—spytała.

To podejrzenie płynące z zalotności kobiety, której igranie z ogniem sprawia rozkosz, napełniło łzami oczy Lucjana: ukoila go składając po raz pierwszy pocałunek na jego czoło. Lucjan stał się w jej oczach wielkim człowiekiem. Zapragnęła go kształcić; zamierzała go nauczyć włoskiego i niemieckiego języka udoskonalić jego ułożenie: znalazła w tym cały szereg pretekstów, aby go trzymać nieustannie przy sobie, pod nosem swych nudnych dworzan. Cóż za urok w jej życiu! Zabrała się na nowo do muzyki dla swego poety, któremu odsłoniła świat tonów; zagrała mu kilka pięknych utworów Beethovena i olśniła go; szczęśliwa z jego radości, mawiała obłudnie, widząc go wpółomdłym:

¹⁷ Pod mianem Canalisa Balzac mierzył, najczęściej sarkastycznie, w Lamartine'a, którego widocznie nie lubił. Niektóre wydania niniejszej powieści kładły w tym miejscu wprost nazwisko Lamartine'a. (Przyp.tłum.)

¹⁸ Przekład Edward Leszczyńskiego.

— Czyż nie można zadowolić się takim szczęściem? A biedny poeta był na tyle głuputki, iż odpowiadał:

— Tak.

Wreszcie rzeczy posunęły się tak daleko, iż Luiza zaprosiła Lucjana na obiad, we troje z panem de Bargeton.

Mimo tej ostrożności całe miasto wiedziało o tym zdarzeniu, które wydało się czymś tak niesłychanym, iż każdy pytał sam siebie, czy to może być prawdą. Poruszenie było straszliwe. W oczach wielu osób zdawało się, iż społeczeństwo znajduje się w przededniu przewrotu. Inni wykrzyknęli:

— Oto owoc dzisiejszego liberalizmu!

Zawistny du Chatelet dowiedział się wówczas, że pani Szarlota, trudniąca się zawodowo pielęgnowaniem położnic, jest nie kim innym jak panią Chardon, matką „Chateaubrianda z Houmeau”, jak mawiał. Epitet ten obiegił miasto niby na j świetniejszy dowcip. Pani de Chandour przybiegła pierwsza do pani de Bargeton.

— Czy wiesz, droga Nais, o czym mówi całe Angouleme?

— rzekła. — Matką tego małego wierszoklety jest pani Szarlota, która przed dwoma miesiącami pielęgnowała moją bratową w połogu.

— Moja droga — rzekła pani de Bargeton przybierając królewską minę — cóż w tym tak nadzwyczajnego? Czyż nie jest wdową po aptekarzu? Zapewne, smutny to los dla panny de Rubempre. Przypuśćmy, że która z nas znalazłaby się bez grosza przy duszy... i cóż robiłybyśmy, aby żyć? Jakżebyś wyżywiła swoje dzieci?

Zimna krew pani de Bargeton położyła koniec biadaniom noblesy. Wielkie dusze zawsze są skłonne podnieść nieszczęścia do wyżyn cnoty. Przy tym wytrwałość w dobrym uczynku wbrew ludzkim potępieniom ma niewysłowione uroki: rzecz w zasadzie niewinna nabiera powabów występku. Tego wieczora salon pani de Bargeton napęłnił się przyjaciółmi, którzy przybyli, aby przemawiać jej do rozsądku. Rozwinęła całą swą ciętość: rzekła, iż skoro szlachta nie jest zdolna wydać ani Moliere'a, ani Racine'a, ani Woltera, ani Massillona, ani Beaumarchais'go, ani Diderota, trzeba się pogodzić z istnieniem tapicerów, zegarmistrzów, nożowników, których synowie zostają wielkimi ludźmi.

Rzekła, iż geniusz zawsze jest patentem szlachectwa. Zmyła głowę szlachcicom, że tak mało mają zrozumienia swoich prawdziwych interesów. Słowem, wytoczyła mnóstwo nie-dorzeczności, które byłyby oświeciły ludzi mniej ograniczonych, ale tutaj przyniosły zaszczyt jej oryginalności.

W ten sposób burza została zażegnana strzałami armatnimi. Kiedy Lucjan, wezwany przez panią de Bargeton, zjawił się pierwszy raz w starym spłowiałym salonie, w którym grano przy czterech stolikach w wista, przyjęła go z wyszukaną uprzejmością i przedstawiła go tonem królowej, która życzy sobie, aby ją słuchano. Nazwała dyrektora podatków panem C h a t e l e t i zmiażdżyła go dając do zrozumienia, że nie jest dla niej tajemnicą improwizowane pochodzenie jego szlacheckiego przydomka. Od tego tedy wieczora Lucjan został przymocowany do towarzystwa pani de Bargeton; przyjęto go jednakże jak jakąś jadowitą substancję, którą kiedy przyrzekał sobie uprzętnąć poddając odczynnikom impertynencji. Mimo tego triumfu panowanie Nais zachwiało się: znaleźli się odszczepieńcy, którzy próbowali się buntować idąc za radą pana du Chatelet. Amelia, inaczej pani de Chandour, postanowiła przeciwstawić ołtarzowi nowy ołtarz, otwierając u siebie przyjęcia we środy. Pani de Bargeton przyjmowała co dzień: ci, którzy bywali u niej, byli tak w to włożeni, tak nawykli spotykać się przy tych samych stolikach, tym samym trikotku, oglądać te same twarze, te same świeczniki, składać płaszcze, kalosze i kapelusze w tym samym korytarzu, że byli przywiązani do stopni na schodach w tej samej mierze, co do gospodyni domu. Wszyscy pogodzili się z narzuconym im „szczygłem ze świętego gaju”¹⁹, wedle kon-

¹⁹ Szczygieł – po francusku: *le chardonneret*: w oryginale gra słów, aluzja do nazwiska Lucjana Chardon.

ceptu Aleksandra de Brebian. Wreszcie prezes Towarzystwa Rolniczego uśmierzył wzburzenie uwagą:

— Przed wybuchem rewolucji — powiedział — najwięksi panowie przyjmowali u siebie Duclosa, Grimma, Crebillona, ludzi, którzy tak samo jak ten gryziopiórek z Houmeau byli niczym; żaden za to nie wpuściłby do domu poborcy, jakim jest, koniec końców, Chatelet.

Du Chatelet zapłacił za Chardona, wszyscy poczęli go traktować z pewną oziębłością. Czując się zagrożony, dyrektor podatków, który od chwili gdy pani de Bargeton nazwała go tylko Chateletem, poprzysiął sobie w duchu, że musi mieć tę kobietę, wszedł na pozór w intencje pani domu, stanął po stronie młodego poety głosząc się jego przyjacielem. Ten wielki dyplomata, którego cesarz tak lekkomyślnie postradał, zręcznie przyciągnął do siebie Lucjana okazując mu jawną życzliwość. Aby wprowadzić w świat poetę, wydał obiad, na którym znaleźli się prefekt, naczelnik skarbowości, pułkownik miejscowego garnizonu, dyrektor szkoły marynarskiej, prezydent trybunału, słowem wszyscy rządowi dygnitarze. Biednego poetę fetowano tak wspaniale, że kto bądź inny niż dwudziestoletni chłopiec byłby silnie podejrzewał jakąś mistyfikację w pochwałach, którymi zasypywano mu oczy. Przy deserze du Chatelet nakłonił rywala do wygłoszenia „Ody umierającego Sardanapala”, jego ostatniego arcydzieła. Słyszając ten utwór, dyrektor kolegium, mimo iż z natury flegmatyk począł klaskać w ręce utrzymując, że Jan Baptysta Rousseau²⁰ nigdy nie napisał nic lepszego. Baron Sykstus du Chatelet pomyślał, że młody wierszokleta zadławi się prędzej czy później w tej cieplarni pochwał i zachwyków lub w upojeniu przedwczesnej sławy pozwoli sobie na jakąś śmiałość, która go zepchnie z powrotem w dawną nicość. Oczekując na rychły zgon tego geniusza, dożył, na pozór z całym wyrzeczeniem się, dawne pretensje u stóp pani de Bargeton; jednakże z wytrawnością bywalca ukartował plan i ze strategiczną bacznością śledził postępy pary kochanków, upatrując chwili, w której będzie mógł zgubić Lucjana. Od tej pory począł się rozchodzić po Angouleme i okolicy głuchy szmer, zwiastujący pojawienie się w mieście wielkiego człowieka. Powszechnie chwalono panią de Bargeton za troskliwość, jaką otacza to młode orłę. Raz zdobywszy uznanie swego postępowania, pani de Bargeton zapragnęła uzyskać generalną sankcję. Obębniła w całym departamencie proszony wieczór z lodami, ciastkami i herbatą, wielką nowość w mieście, w którym herbatę sprzedawano jeszcze w aptekach jako kordiał przeciw niestrawności. Zaproszono kwiat arystokracji na wysłuchanie wielkiego dzieła, które miał odczytać Lucjan.

Luiza zataiła przed młodym przyjacielem trudności, które zwyciężyła, lecz wspomniała mu w kilku słowach o sprzysiężeniu uknutym przeciw niemu przez „towarzystwo”. Nie chciała go zostawić nieświadomym ciernistej drogi otwierającej się przed geniuszami i najeżonej przeszkodami nie do zwalczenia dla ludzi pospolitych. Pragnęła wyciągnąć dlań naukę z odniesionego zwycięstwa. Białą ręką ukazała mu sławę okupowaną nieustannym cierpieniem, mówiła o stosie męczeńskim, przez który trzeba mu się przedrzeć, słowem przyrządziła swoje najpiękniejsze „tartynki” i ukwieciła je najpompatyczniejszymi wyrażeniami. Była to kopia owej frazeologii, która tak szpeci „Korynnę” pani de Stael. Luiza uczuła się tak wielką swą wymową, iż tym więcej pokochała beniaminka, który stał się źródłem jej natchnienia; poradziła mu odważnie zaprzeczyć się ojca przybierając szlachetne miano de Rubempre, bez względu na krzyki, jakie wywoła ta zmiana, którą zresztą król ulegalizuje. Będąc kuzynką margrabiny d'Espard z domu de Blamont-Chauvry, mającej ogromne wpływy u dworu, podejmowała się wyjednać tę łaskę. Te słowa „król”, „margrabina d'Espard”, „dwór” podziały na Lucjana niby widok wspaniałego fajerwerku; konieczność tego chrztu stała się dlań oczywista.

²⁰ (1670-1741) – pseudoklasyczny poeta francuski.

— Drogi mały — rzekła Luiza tonem tkliwego zrzęczenia — im wcześniej to nastąpi, tym wcześniej uzyska sankcję.

Przebiegła jedną po drugiej warstwy społeczeństwa, dając pocie policzyć wszystkie stopnie, które przeskakuje od razu dzięki tej zręcznej determinacji. W tej jednej chwili skłoniła Lucjana do zaparcia się gminnych poglądów o urojonej równości z r. 1793, obudziła w nim żądzę wyróżnień, zdławioną dzięki trzeźwemu rozsądkowi Dawida, i wskazała mu wyższe afery jako jedyną widownię, której powinien się trzymać. Zajadły liberał zmienił się w monarchistę *m petto*²¹. Lucjan skosztował jabłka arystokratycznego zbytku i sławy. Poprzysiągł przynieść do stóp swej damy wieniec chociażby krwią zbroczony; zdobędzie go za jaką bądź cenę, *quibuscumque viis*²². Aby dać dowód własnego męstwa, opowiedział obecne niedole, które ukrywał przed Luizą, wiedziony ową nieokreśloną wstydlivością związaną z pierwszym uczuciem i wzbraniającą młodemu człowiekowi wyjawić swe wewnętrzne bogactwa; tak miło mu jest widzieć, jak się ocenia jego duszę mimo jego *incognito*. Odmalował cierpienia hardo znoszonej nędzy, swoją pracę u Dawida, noce obracane na studia. Ten młodzieńczy zapal przypominał pani de Bargeton dwudziestosześcioletniego pułkownika; w spojrzeniu jej zamigotało coś miękkiego. Widząc, że imponująca dama jego serca poddaje się swej słabości, Lucjan chwycił rękę, której mu nie wzbrowniono, i ucałował ją z całym ogniem poety, młodego człowieka, kochanka. Luiza posunęła się tak daleko, iż zezwoliła, *aby syn aptekarza dosięgnął jej czoła i przycisnął do niego drżące wargi*.

— Dziecko! Dziecko! Gdyby nas ktoś zobaczył, wyglądałabym bardzo śmiesznie — rzekła budząc się z upajającego omdlenia.

W ciągu tego wieczora wymowa pani de Bargeton uczyniła wielkie spustoszenie w tym, co ona nazywała przesadami Lucjana. Wedle jej słów genialni ludzie nie mają braci ani sióstr, ojca ani matki; olbrzymie dzieła, które mają wydać na świat, nakazują im bezwzględny egoizm, każąc poświęcić wszystko dla swej wielkości. Jeżeli rodzina cierpi zrazu od tego drapieżnego łupiestwa, jakiemu poddaje ją mózg tytana, zbiera później stokrotną nagrodę wszelkich poświęceń wymaganych przez pierwsze jego walki z przeciwnościami, dzieląc owe zwycięstwa. Geniusz zawisły jest jedynie od siebie: on tylko jest sędzią środków, którymi się posługuje, gdyż on tylko zna swoje cele. Powołany do przetworzenia praw, winien umieć postawić się nad nimi; zresztą, kto umie zawładnąć swą epoką, może po wszystko wyciągnąć rękę, na wszystko się ważyć, bo wszystko należy do niego. Przytaczała początki Bernarda de Palissy, Ludwika XI, Foxa, Napoleona, Krzysztofa Kolumba, Cezara, wszystkich owych wielkich graczy, zrazu przygniecionych długami lub nędzą, niezrozumianych, uważanych za szaleńców, za złych synów, złych ojców, złych braci, a później stających się dumą rodziny, kraju, całego świata.

Te rozumowania trafiały w sedno ukrytych wad Lucjana i przyspieszały skażenie jego serca: w gorączce pożądań dopuszczał a *priori* wszystkie środki. Ale chybić sukcesu jest zbrodnią obrazy majestatu społeczeństwa. Czyż zwyciężony nie zdeptał wówczas wszystkich domowych cnót, na których wspiera się to społeczeństwo, ze wstrętem pędzące precz Mariuszów siadających na ruinach²³? Lucjan, który nie wiedział, iż znajduje się pomiędzy hańbą katorgi a wieńcem geniusza, bujał ponad górą Synaj proroków, nie widząc w dole Morza Martwego, straszliwego całunu Gomory.

Luiza tak skutecznie wyzwoliła ducha swego poety z powijaków, w jakie omotała go prowincja, iż Lucjan zapragnął doświadczyć pani de Bargeton, aby się przekonać, czy może, bez narażenia się na wstyd odmowy, pokusić się o tę królewską zdobycz. Zapowiedzia-

²¹ (wł.) — w głębi serca, w duchu.

²² (łac.) — jakimikolwiek drogami.

²³ Mariusz (156-86 przed n.e.) — rzymski wódz, stał na czele partii ludowej; zwyciężony przez stronnictwo arystokratyczne, schronił się w ruinach Kartaginy.

ny wieczór dal mu sposobność odważenia się na próbę. Ambicja wplotła się w jego miłość. Kochał i chciał się wspiąć w górę: pragnienie bardzo naturalne u młodych ludzi, których serce jest równie zgłodniałe jak próżność. Zapraszając dziś wszystkie swe dzieci do jednej uczty, społeczeństwo budzi ich ambicje od samego zarania życia. Odziera młodość z jej powabów i kazi jej szlachetne uczucia zaprawiając je rachunkiem. Poezja chciałaby to osłonić;

ale fakty zbyt często zadają kłam fikcji, w którą by się chciało wierzyć, aby można sobie pozwolić na przedstawienie młodego chłopca innym, niż jest w XIX wieku. Rachuba Lucjana wydała mu się dziełem pięknego uczucia, przyjaźni dla Dawida.

Lucjan napisał długi list do Luizy, czuł się bowiem śmielszy w piórze niż w słowach. Na dwunastu, trzy razy przepisanych, ćwiartkach opowiedział dzieje geniuszu swego ojca, jego straconych nadziei i straszliwej nędzy, na jaką on sam jest wydany. Odmalował swą ukochaną siostrę jako anioła, Dawida jako przyszłego Cuviera, który, nim będzie wielkim człowiekiem, jest dlań ojcem, bratem, przyjacielem; uważałby się za niegodnego miłości Luizy, swej pierwszej chwały, gdyby nie żądał od niej dla Dawida tej samej ofiary, jaką czyni dla niego. Raczej wyrzekłby się wszystkiego, niżby miał zdradzić Dawida Sechard; chce, aby Dawid był przy jego triumfie. Napisał jeden z owych szalonych listów, w których młodzi ludzie grożą pistoletem w razie odmowy, w których kołuje kazuistyka dzieciństwa, gdzie mówi nieopatrzna logika pięknych dusz, rozkosz gadulstwa zahaftowana owymi naiwnymi wyznaniem, wydzierającymi się z serca bez wiedzy piszącego i tak miłymi kobietom. Oddawszy list pannie służącej Lucjan strawił cały dzień na przeglądaniu korekt, doglądaniu jakichś prac, porządkowaniu drobnych spraw w drukarni, nią mówiąc nic Dawidowi. W porze gdy serce jest jeszcze dziecinne, młodzi ludzie miewają owe szczytne dyskrekcje. Zresztą może Lucjan zaczynał się lękać siekiery Focjona²⁴, jaką umiał władać Dawid; może lękał się jasnego spojrzenia, które wnika w samą głębię duszy. Po lekturze Cheniera tajemnica spłynęła mu z serca na wargi, sięgnięta wymówką, którą odczuł niby palec lekarza położony na ranę.

A teraz ogarnijcie myśli, jakie musiały oblegać Lucjana, gdy schodził z Angouleme do Houmeau. Czy jego wielka dama obraziła się? Czy zaprosi Dawida? Czy nie strąca ambitnego śmiałka do jego dziury, do Houmeau? Mimo że przed pocałunkiem Luizy w czoło Lucjan mógł zmierzyć oddalenie dzielące królową od faworyta, nie rzekł sobie, iż Dawid nie może przebywać w mgnieniu oka przepaści, z którą on sam porał się pięć miesięcy. Nie znając bezwzględności ostracyzmu ścigającego ludzi ich sfery, nie pojmował, że druga tego rodzaju próba byłaby zgubą dla pani de Bargeton. Oskarżona i przekonana o „pospolitowanie się”, Luiza musiałaby opuścić miasto lub też kasta jej uciekłaby przed nią, tak jak w średnich wiekach uciekano przed trędowatym. Cały klan arystokratyczny, a nawet kler broniłby Nais wobec i przeciw wszystkim, w razie gdyby sobie pozwoliła na fałszywy krok; ale zbrodni zniesienia się do z ł e g o towarzystwa nie darowano by jej nigdy; albowiem, o ile rozgrzesza się błędy władzy, potępia się je po abdykacji. Otóż przyjąć Dawida — czyż nie znaczyło abdykować? Jeżeli Lucjan nie ogarniał tej strony kwestii, jego instynkt arystokratyczny dawał mu przeczuć wiele innych trudności, które go przerażały. Szlachetność uczuć niekoniecznie daje szlachetność form. Jeżeli Racine miał wygląd najbardziej „urodzonego” dworaka, Corneille podobny był wielce do handlarza wołów. Descartes wyglądał na pocziwego holenderskiego kupca. Często, spotykając Monteskiusza z motyką na ramieniu i w szlafmocy, goście przybywający do La Brede brali go za ogrodnika. Formy światowe, o ile nie są darem urodzenia, wiedzą wyssaną z mlekiem lub przekazaną z krwią, stanowią przedmiot edukacji, którą los musi wspomagać pewną wytwornością kształtów, dystynkcją rysów, dźwiękiem głosu. Wszystkich tych ważnych drobiazgów

²⁴ Siekiera Focjona – Focjon (400-317 p.n.e.), wódz i polityk ateński, przeciwnik polityczny wielkiego mówcy Demostenesa, który nazwał go „siekierą swych przemówień”, tj. przeciwnikiem brutalnym i bezwzględnym.

zbywało Dawidowi, gdy natura obdarzyła nimi jego towarzysza. Wraz ze szlachectwem wziął Lucjan po matce wysoko sklepioną stopę Franka, gdy Dawid Sechard miał płaskie nogi Welsza i kark ojca swego, rzemieślnika. Lucjan słyszał szyderstwa sypiące się na Dawida; zdało mu się, że widzi mimowolny i dyskretny uśmiech pani de Bargeton. Słowem, nie odczuwając wprost wstydu za swego brata, przyrzekał sobie na przyszłość nie poddawać się już w ten sposób pierwszemu popędowi i rozważyć go wprzód. Tak więc po godzinie poezji i poświęcenia, po czytaniu, które świeżo ukazało dwóm przyjaciółom oświetlone nowym słońcem gleby literackie, godzina polityki i jej rachub wybiła dla Lucjana. Wracając do Houmeau żałował swego listu. byłby go pragnął cofnąć: dostrzegał bowiem — niby przez szczelinę — nieubłagane prawa świata. Odgadując, jak skutecznie wspomaga ambicję zdobyta fortuna, doznawał ciężkiego uczucia na myśl, iż trzeba mu będzie może cofnąć nogę z pierwszego szczebla drabiny, po której miał się piąć ku wyżynom. Z kolei, obrazy spokojnego i prostego życia, strojnego świeżymi kwiatami uczucia — ten Dawid tak genialny, a który wspierał go tak szlachetnie, który by oddał dlań w potrzebie życie, matka, tak wielka dama w swoim poniżeniu, przypisująca mu tyleż dobroci, ile miał talentów, siostra, dziewczyna uroczą w swej rezygnacji, dzieciństwo jego tak czyste, sumienie tak jeszcze nie skalane, nadzieje, których nie wysmagał żaden wichur — wszystko odkwitało w jego wspomnieniu. Powiadał sobie wówczas, że piękniej jest przebić zwarte bataliony arystokratycznej lub mieszczańskiej ciżby siłą powodzenia niż wybić się dzięki faworom kobiety. Geniusz jego zabłyśnie wcześniej czy później, jak geniusz tyłu poprzedników, którzy opanowali społeczeństwo; wówczas kobiety będą go kochały! Przykład Napoleona, tak fatalny dla XIX wieku przez pretensje, które roznieca w tyłu miernotach, ukazał się Lucjanowi; odtrącił przez swoje rachuby, wyrzucając je sobie. Taki był charakter Lucjana: przechodził od złego do dobrego, od dobrego do złego z jednakową łatwością. Zamiast miłości, jaką ma uczony dla swego schronienia, Lucjan doświadczał od miesiąca uczucia wstydu widząc sklep, nad którym jaśniał, żółtymi literami na zielonym tle, napis: POSTEL — DAWNEJ CHARDON. Apteka.

Nazwisko ojca widniejące w miejscu, gdzie przejeżdżały wszystkie powozy, raniło jego wzrok. Owego wieczora, w którym przekroczył bramę ozdobioną lichą kratą w złym guście, aby się pokazać w Beaulieu między najwykwintniejszą młodzieżą w y ż n e g o m i a s t a, podając ramię pani de Bargeton, odczuł osobliwie boleśnie rozdźwięk między tym domem a swoim sukcesem miłosnym.

„Kochać panią de Bargeton, posiadać ją może niebawem i mieszkać w tej jamie — mówił sobie dążąc korytarzykiem do małego dziedzińca, gdzie liczne pakiety wygotowanych ziół suszyły się wzdłuż muru, gdzie uczeń czyścił kociołki apteczne, gdzie pan Postel, opasany laboratoryjnym fartuchem, z retortą w dłoni, badał jakiś produkt chemiczny, równocześnie rzucając okiem w kierunku sklepu; o ile zaś przyglądał się zbyt bacznie preparatowi, ucho miał wyteżone na dzwonek.

Zapach rumianku, mięty, destylatu rozlicznych ziół napełniał dziedziniec oraz skromny apartament, dokąd wchodziło się po schodkach stromych jak w młynie, posiadających zamiast poręczy dwa sznury. Jeszcze wyżej znajdował się strych oraz jedyna izdebka, gdzie mieszkał Lucjan.

— Jak się masz, urwisie — rzekł Postel, prawdziwy typ prowincjonalnego sklepikarza. — Jakże tam szacowne zdrówko? Co do mnie, właśnie skończyłem doświadczenie nad melasą, ale trzeba by na to waszego ojca, aby znaleźć to, czego szukam. To był człowiek całą gębą, świeć Panie, nad jego duszą! Gdybym znał jego sekret na podagrę, obaj jeździlibyśmy dziś karetami!

Nie zdarzył się tydzień, aby aptekarz, równie głupi jak pocziwy, nie zadał pchnięcia sztyletem Lucjanowi, wspominając o nieszczęsnej dyskrecji, jaką ojciec jego zachował w kwestii swego odkrycia.

— To wielkie nieszczęście — odparł krótko Lucjan, któremu ojcowski elew zaczynał się wydawać straszliwie pospolity, mimo iż błogosławił go często:

niejednokrotnie bowiem zacny Postel wspomagał wdowę i dzieci swego mistrza.

— Cóż tobie? — spytał Postel kładąc epruwetkę na stole laboratoryjnym.

— Czy nie było listu do mnie?

— Ale owszem, i pachniał jak balsam! Leży tam koło pulpitu, na ladzie.

List pani de Bargeton między słojami aptecznymi! Lucjan rzucił się w głąb sklepu.

— Spiesz się, Lucjanie! Obiad czeka od godziny, wystygnie zupełnie — zawołał miły, słodki głosik przez otwarte okno. Lucjan nie słyszał.

— Pani brat coś nie tego, panno Ewo — rzekł

Postel podnosząc głowę i przytykając znacząco palec do czoła.

Stary kawaler, dość podobny z postaci do baryłki z wódką, na której fantazja malarza pomieściłaby szeroką, czerwoną i ospowatą facjatę, przybrał spoglądając na Ewę minę ceremonialną i słodką, dowodzącą, iż nosi się z myślą zaślubienia córki swego poprzednika, nie mogąc się wszelako uporać z walką, jaką miłość i interes staczały w jego sercu. Toteż często powtarzał Lucjanowi to zdanie, które rzucił mu obecnie, kiedy młody człowiek przechodził mimo:

— Ależ śliczna twoja siostrzyczka! Tobie też nic nie brakuje! Ojczulek wszystko robił galanto.

Ewa, słuszną brunetkę, miała przy czarnych włosach niebieskie oczy. Mimo znamion męskiego charakteru była łagodna, tkliwa i skłonna do poświęceń. Jej niewinność, naiwność, spokojna rezygnacja, z jaką znosiła życie pochłonięte pracą, cnota jej, na którą nie targnęła się żadna obmowa, musiały oczarować Dawida Sechard. Toteż od pierwszego widzenia wykwitła

między nimi niema, cicha i prosta miłość, na sposób niemiecki, bez gwałtownych objawów i niecierpliwych wyznań. Każde myślało tajemnie o drugim, jak gdyby ich rozdzielał jakiś zazdrosny mąż, dla którego to uczucie byłoby zniewagą. Oboje kryli się przed Lucjanem, tak jakby mu wyrządzili jakąś krzywdę. Dawid obawiał się, iż nie spodoba się Ewie, którą znowuż trawiły skrupuły związane z ubóstwem. Prawdziwa wyrobnica umiałaby być śmiałą, ale dziecko starannie wychowane i zubożałe dostrajało się do swego smutnego losu. Skromna z pozoru, w rzeczywistości dumna, Ewa nie chciała się upędnąć za człowiekiem, który uchodził za bogatego. W tej chwili ludzie świadomi rosnącej wartości ziemi szacowali przeszło na osiemdziesiąt tysięcy folwarczek w Mar-sac, nie licząc gruntów, którymi stary Sechard, zbogacony oszczędnościami, szczęśliwy w zbiorach, zręczny w sprzedaży, miał zamiar go zaokrąglić, polując na sposobność. Dawid był może jedynym człowiekiem, który nie miał pojęcia o majątku ojca. Dla niego Marsac było nabytą w 1810 r. za kilkanaście tysięcy franków folwarczyną, gdzie bywał raz na rok w czasie winobrania i gdzie ojciec prowadził go po winnicach chwalać zbiory, których drukarz nie widział nigdy i o które troszczył się bardzo mało. Miłość uczzonego nawykłego do samotności powiększała jeszcze uczucie, przesadzając mu własną nicość; miłość ta potrzebowała zachęty, dla Dawida bowiem Ewa była kobietą bardziej imponującą niż wielka dama dla jakiegoś gryzipiórka. Niezgrabny i niespokojny w obliczu swego bóstwa, tuż po przybyciu gotujący się do odejścia, drukarz powściągał swą miłość zamiast ją wyrazić. Często wieczorem, ukuwszy jakiś pozór, aby się poradzić Lucjana, siedł z placu du Murier przez bramę Palet aż do Houmeau; ale dochodząc do zielonej bramy uciekał lękając się, iż przybywa zbyt późno lub że wyda się natrętnym Ewie, która z pewnością już udała się na spoczynek. Chociaż ta wielka miłość wyrażała się jedynie w drobiazgach, Ewa rozumiała ją dobrze; czuła się mile ujęta — mimo że bez pychy — widząc się przedmiotem głębokiej czci zawartej w spojrzeniach, słowach, obejściu Dawida; ale największym powabem drukarza był jego fanatyzm dla Lucjana: odgadł najlepszy sposób spodobania się Ewie. Aby wyrazić, w czym

nieme słodczyce tego uczucia różniły się od burzliwych namietności, trzeba by je porównać do wiejskiego kwiecia, w przeciwstawieniu do świetnych ogrodowych kwiatów. Były to spojrzenia słodkie i delikatne niby pływające po wodzie niebieskie lotosy, wyrazy ulotne jak słaby zapach eglantyny, melancholie tklive jak aksamit mchów: kwiaty dwojga pięknych dusz, które rodzą się z bogatej, żyznej, niezmiennej ziemi. Ewa niejednokrotnie już odgadła siłę ukrytą pod tą słabością; czuła tyle wdzięczności dla Dawida za jego nieśmiałość, że najłżejsze wydarzenie mogło spowodować bliższe zespolenie serc.

Lucjan zastał Ewę w otwartych drzwiach i nic nie mówiąc usiadł przy prostym drewnianym stole bez obrusa, na którym stało jego nakrycie. Biedne to gospodarstwo posiadało jedynie trzy srebrne nakrycia i Ewa używała ich wyłącznie dla ukochanego brata.

— Cóż ty tam czytasz? — rzekła podając półmisek zdjęty z ognia i zgasiwszy uprzednio swoją przenośną kuchenkę.

Lucjan nie odpowiedział, Ewa wzięła talerzyk wdzięcznie obłożony winnymi liśćmi i postawiła go na stole wraz z garnuszkiem śmietanki.

— Patrz, Lucjanie, dostałam dla ciebie poziomek. Lucjan tak zatopiony był w czytaniu, że nie słyszał. Wówczas Ewa siadła koło niego bez najłżejszej urazy:

czułość bowiem siostrzana znajduje niezmierną przyjemność w braterskiej bezceremonialności.

— *Ale co* tobie? — wykrzyknęła widząc łzy błyszczące w oczach brata.

— Nic, nic Ewuś — rzekł ujmując siostrę wpół, przyciągając ją do siebie z dziwną czułością, całując jej czoło, włosy, szyję.

— Kryjesz się przede mną?

— Więc słuchaj, kocha mnie!

— Wiedziałam, że to nie dla mnie te pocałunki — rzekła z dąsom biedna siostra rumieniąc się.

— Będziemy wszyscy szczęśliwi — wykrzyknął Lucjan łykając zupę wielkimi łyżkami.

— Będziemy? — powtórzyła Ewa. Tknięta tym samym przecuciem, które ogarnęło Dawida, dodała:

— Będziesz nas mniej kochał!

— Jeśli mnie znasz, jak możesz to przypuszczać? Ewa wyciągnęła doń rękę żywo; następnie sprzątnęła próżny talerz oraz glinianą ważkę i przysunęła potrawę przyrządzoną własnymi rękami. Zamiast jeść. Lucjan odczytał list pani de Bargeton, na który dyskretna Ewa nie spojrzała, tyle miała szacunku i względów dla brata: jeśli chciał go jej udzielić, winna była czekać; jeżeli nie, czyż mogła wymagać? Czekwała. Oto ów list:

Drogi mój Lucjanie, czemu miałabym odmówić Twemu duchowemu bratu poparcia, którego użyczyłam Tobie? W moich oczach talenty mają równe prawa; ale znasz przesady osób stanowiących moje towarzystwo. Tych, którzy tworzą arystokrację nieuctwa, nie skłonimy do uznania szlachectwa ducha. Jeżeli nie będę miała dość władzy, aby im narzucić pana Sechard, uczynię Ci chętnie ofiarę z tego mizernego świata. Będzie to niby starożytna hekatomba. Ale, drogi Lucjanie, nie chciałbyś zapewne zmusić mnie, abym przebywała w towarzystwie osoby, której umysł albo obojętnie mogłoby mi się nie podobać. Twoje pochlebstwa pouczyły mnie, jak łatwo przyjaźń Cię zaślepia! Czy będziesz miał do mnie urazę, jeżeli przydam jedno zastrzeżenie do mej zgody? Chcę widzieć Twego przyjaciela, osądzić go, przekonać się osobiście, w interesie Twojej przyszłości, czy się nie łudzi. Czy nie jest to jedno z owych macierzyńskich starań, które winna mieć dla Ciebie, mój drogi poeto — Luiza de Negrepelisse?

Lucjan nie wiedział, z jakim *artyzmem* używa się w świecie słówka tak, aby dojść do nie, a nie do sprowadzenia t a k. Ten list był dlań triumfem Dawid pójdzie do pani de Bargeton, błysnie tam majestatem geniuszu. W upojeniu, jakie sprawiało mu zwycięstwo dające mu wiarę w potęgę jego wpływu, przybrał postawę tak dumną, tyle nadziei odbijało się

na jego twarzy opromieniając ją blaskiem, że siostra nie mogła się wstrzymać od powiedzenia mu, że jest piękny.

— Jeżeli taka jest jak mówisz, ta pani musi cię bardzo kochać! W takim razie czeka ją dziś przykry wieczór, bo wszystkie kobiety będą cię wydzierały sobie. Piękny będziesz, Lucjanie, kiedy będziesz czytał swego „Świętego Jana na Patmos”! Chciałabym być myszką, aby się tam wśliznąć! Chodź, przygotowałam ci ubranie w pokoiku mamy.

Pokój ten nosił cechy schludnej i godnej nędzy. Było tam orzechowe łóżko z białymi firaneczkami, u którego stóp rozciągał się chudy zielony dywanik. Komoda z drewnianym blatem, stojące na niej lustro oraz kilka orzechowych krzeseł dopełniały umeblowania. Na kominku zegar przypominał dni minionego dostatku. Okno zdobiły białe firanki. Ściany obite były szarą tapetą w szare kwiatki. Podłoga, zapuszczona i farbowana przez Ewę, lśniła czystością. Na środku pokoju stał stoliczek, gdzie na czerwonej tacy ze złożonymi różyczkami znajdowały się trzy filiżanki i cukierniczka z limuzyńskiej porcelany. Ewa spała w przyległej alkówce, która mieściła wąskie łóżko, starą berżerkę i stolik do roboty pod oknem. Szczupłość tej okrętowej kajuty wymagała, aby oszklone drzwi były wciąż otwarte dla powietrza. Mimo nędzy, widniejącej w tych szczegółach, całość oddychała skromnością pracowitego życia. Dla tych, którzy znali matkę i dwoje dzieci, obraz ten przedstawiał wzruszającą harmonię.

Lucjan wiązał krawat, kiedy kroki Dawida rozległy się w dziedzińcu; równocześnie nieomal pojawił się drukarz z miną człowieka, któremu spieszno *przybyć*.

— Zwycięstwo. Dawidzie — krzyknął ambitny chłopak — triumfujemy! Kocha mnie! Pójdiesz do niej.

— Nie — rzekł drukarz z zakłopotaniem — przychodzę ci podziękować za ten dowód przyjaźni, który mnie pobudził do poważnych dumań. Moje życie, Lucjanie jest wytyczone. Jestem Dawid Sechard, drukarz w Angouleme, którego nazwisko widnieje na wszystkich murach u spodu afiszów. Dla tej kasty jestem rękodzielnikiem, przemysłowcem, jeżeli wolisz, słowem: kupcem zagwożdżonym w sklepie przy ulicy de Beaulieu, na rogu placu du Murier. Nie mam jeszcze ani majątku takiego Kellera, ani sławy Despleina: oto dwa rodzaje potęgi, której szlachta usiłuje *jeszcze* przeczyć i która — godzę się w tym z poglądami szlachty — niczym jest bez umiejętności życia i wykwintnej formy. Czym mogę usprawiedliwić ten nagły krok w górę? Stałbym się przedmiotem szyderstwa zarówno dla mieszczan, jak szlachty. Co do ciebie, ty jesteś w odmiennym położeniu. Prot nie jest obowiązany do niczego. Pracujesz nad zdobyciem wiadomości niezbędnych dla twoich dzieł, możesz wytłumaczyć obecne zatrudnienie swoją przyszłością. Zresztą możesz jutro chwycić się czego innego, studiów prawnych, dyplomacji, urzędu. Słowem nie jesteś ani zarejestrowany, ani opatrzony etykietą. Korzystaj z tej swobody, kroc sam i sięgaj po zaszczyty. Kosztuj radośnie wszystkich rozkoszy, nawet tych, które daje próżność. Bądź szczęśliwy, ja będę się cieszył twoim powodzeniem, będziesz drugim mną. Tak, myśl moja pozwoli mi żyć twoim życiem. Dla ciebie uczyty, blaski świata i chybkie sprężyny jego intryg. Dla mnie surowe, mozolne życie przemysłowca i powolne prace nauki. Ty będziesz naszą arystokracją — rzekł spoglądając na Ewę. — Kiedy będziesz się chwiały, znajdziesz moje ramie, aby cię podeprzeć. Jeżeli przyjdzie ci uznać się na jaką zdradę, będziesz się mógł skryć w nasze serca, znajdziesz tam niezmienną miłość.

Protekcja, fawory, dobra wola, podzielone na dwie głowy, mogłyby się wyczerpać, szkodzilibyśmy sobie wzajem; idź przodem, będziesz mnie holował, *gdy* zajdzie potrzeba. Nie zazdroszczę ci zgoła, poświęcam się tobie. To, coś zrobił dla mnie, ryzykując, iż stracisz swą dobrodziejkę, kochankę może, raczej niżbyś mnie miał opuścić, niżbyś się miał mnie zaprzeczyć, ta prosta rzecz tak wielka, wiesz, Lucjanie, na zawsze związałaby mnie z tobą, gdybyśmy nie byli już braćmi! Nie miej ani wyrzutów, ani zgryzoty, iż na pozór bie-

rzecz lepszą część. Po myśli mi jest taki podział. Wreszcie gdybyś mi nawet zadał nieco utrapień, kto wie, czy nie będę zawsze twoim dłużnikiem?

Mówiąc te słowa rzucił trwożliwe spojrzenie na Ewę, której oczy napełniły się łzami, zgadywała wszystko.

— Wreszcie — rzekł do zdumionego Lucjana — ty jesteś zgrabny, masz ładną figurę, umiesz się ładnie ubrać, wyglądasz na panicza w swoim niebieskim fraczku z żółtymi guzikami i prostych nankinowych spodenkach; ja wyglądałbym wśród tych ludzi na wyrobnika, byłbym niezgrabny, skrzepowany, mówiłbym głupstwa albo w ogóle nic. Ty, aby uczynić zadość przesądowi nazwiska, możesz przybrać nazwisko matki, zwać się Lucjanem de Rubempre; ja jestem i będę zawsze Dawidem Sechard. Wszystko ci sprzyja, a wszystko mnie szkodzi w tym świecie. Stworzony jesteś, aby w nim zdobyć miejsce. Kobiety będą ubóstwiać twą anielską twarz. Nieprawdaż, panno Ewo?

Lucjan skoczył Dawidowi na szyję i uściśkał go. Ta skromność przecinała wiele wątpliwości, kłopotów. W jakim sposób nie zdwoiłby swej czułości dla człowieka, który przez przyjaźń doszedł do tych samych refleksji, jakie jemu podyktowała ambicja? Obaj czuli, iż droga się wygładziła, serce ambitnego chłopca oraz jego przyjaciela wzbiało radością. Był to jeden z owych rzadkich momentów w życiu, kiedy wszystkie siły są łagodnie napięte, wszystkie struny drgają wydając pełne tony. Ale ten rozsądek pięknej duszy potęgował jeszcze w Lucjanie skłonność sprawiającą, iż człowiek wszystko odnosi do siebie. Wszyscy powiadamy, mniej albo więcej, jak Ludwik XIV: „Państwo to ja”.

Bezwzględna czułość matki i siostry, poświęcenie Dawida, przyzwyczajenia, jakich nabrał widząc się przedmiotem tajemnych wysiłków trojga istot, dawały Lucjanowi wszystkie wady rozpieszczonego panicza. rodziły w nim ów egoizm, który żre wysokie sfery społeczne. Pani de Bargeton podsycała ten egoizm zachęcając Lucjana, by zapomniał swoich zobowiązań wobec matki, siostry i Dawida. Jeszcze się to nie stało; ale czyż nie należało się lękać, iż rozszerzając krąg swej ambicji będzie musiał myśleć tylko o sobie, aby się w nim utrzymać?

Skoro minęło wzruszenie. Dawid zwrócił uwagę Lucjana, że jego poemat „Święty Jan na Patmos” jest może zbyt biblijny, aby go czytać wobec ludzi mało obytych z apokaliptyczną poezją. Lucjan, który miał wystąpić wobec najtrudniejszej publiczności departamentu, był niespokojny. Dawid poradził mu, aby wziął Andrzeja Chenier i wątpliwą przyjemność zastąpił pewną rozkoszą. Lucjan czyta doskonale, spodoba się z pewnością i okaże skromność, którą mu wezmą za dobre. Jak większość młodych ludzi, obaj przypisywali ludziom swą inteligencję i swoje przymioty. Jeżeli młodość, która jeszcze nie zgrzeszyła, twarda jest dla błędów drugich, używa im wzajem swoich wspaniałych wierzeń. Trzeba w istocie dobrze doświadczyć życia, nim się uzna, iż wedle pięknego powiedzenia Rafaela, zrozumieć to znaczy dorównać. Na ogół zmysł poezji rzadki jest we Francji, gdzie inteligencja wysusza rychło źródło świętych łez ekstazy, gdzie nikt nie chce podjąć trudu uprawiania rzeczy wzniosłych, zgłębienia ich, zapuszczenia wzroku w nieskończoność. Lucjan miał zetknąć się pierwszy raz z tępotą i chłodem świata. Wstąpił do Dawida, aby wziąć tomik Andrzeja Chenier.

Skoro kochankowie zostali sami, Dawid uczuł się bardziej zakłopotany niż kiedykolwiek. Zdany na pastwę tysiącznych obaw, pragnął i obawiał się pochwały: byłby chciał uciec; i wstydlivość bowiem posiada swą kokieterię! Biedny kochanek nie śmiał powiedzieć słowa, które by trąciło przymówką o podziękę; każdy wyraz zdawał mu się niebezpieczny; milczał tedy z miną zbrodniarza. Ewa, która odgadywała tortury tej skromności, bawiła się przedłużając milczenie; ale kiedy Dawid skrzył kapelusz w dłoni chcąc się pożegnać, uśmiechnęła się.

— Panie Dawidzie — rzekła — skoro pan wzgardził Wieczorem u pani de Bargeton, moglibyśmy go spędzić razem. Ładnie jest; chce pan przejść się trochę nad Charentą? Pomówimy o Lucjanie.

Dawid miał ochotę paść do stóp uroczej dziewczyny. Ewa zamknęła w głosie nieoczekiwane nagrody; tkliwością akcentu rozwiązała trudności sytuacji; propozycja jej była więcej niż pochwałą; był to pierwszy dar miłości.

— Tylko — rzekła widząc gest Dawida — niech mi pan użyczy kilka minut na przebranie się.

Dawid, który w życiu nie wiedział, co to piosenka, wyszedł nucąc, co zdziwiło zacnego Postela i wzbudziło w nim silne podejrzenie co do stosunków Ewy i drukarza.

Najdrobniejsze okoliczności tego wieczoru wyrwały niezatarty ślad w sercu Lucjana, tak czułym na pierwsze wrażenia. Jak wszyscy niedoświadczeni kochankowie zjawiał się tak wcześniej, że Luizy jeszcze nie było w salonie, pan de Bargeton znajdował się sam. Lucjan rozpoczął już pierwsze kroki w tej szkole drobnych podłostek, którymi kochanek zameężnej kobiety kupuje swoje szczęście, a które dają kobietom miarę tego, co mogą odeń uzyskać; nigdy jednakże dotąd nie znalazł się oko w oko z panem de Bargeton.

Szlachcic ów odznaczał się ubóstwem myśli wahającym się pomiędzy nieszkodliwą nicością, która jest jeszcze w stanie coś zrozumieć, a wyniosłą głupotą, która nie chce niczego uznać ani niczemu dać się przekonać. Przejęty ważnością towarzyskich obyczajów i pragnąc dla wszystkich być uprzejmy, przybrał, jako jedyną wymowę, nie schodzący mu z twarzy uśmiech. W dobrym czy złym humorze, niezmiennie się uśmiechał. Uśmiechał się zarówno słysząc najsmutniejszą wiadomość, jak również gdy ktoś mu zwiastował szczęśliwe wydarzenie. Uśmiech ten starczył wszystkiemu, stosownie do wyrazu, jaki mu nadawał pan de Bargeton. Jeśli trzeba było koniecznie bezpośredniego uznania, wzmacniał uśmiech uprzejmym, głośnym śmiechem, decydując się na wydanie z siebie słowa jedynie w ostatniej konieczności. Pozostanie z kimś sam na sam przyprawiało go o jedyną troskę, jaka mąciła spokój jego roślinnego życia; wówczas bowiem zmuszony był szukać czegoś w bezmiarze swej wewnętrznej próżni. Najczęściej ratował się z kłopotu wracając do nawywnych obyczajów dzieciństwa: po prostu myślał głośno, wtajemniczał słuchacza w najdrobniejsze szczegóły swego życia; wypowiadał swoje potrzeby, swoje wrażenia, które dla niego były czymś na kształt myśli. Nie mówił o deszczu ani o pogodzie; nie wpadał w owe pospolite ogólniki, które stanowią ucieczkę głupców, przeciwnie, poruszał najpoufniejsze sprawy istnienia. — Żona namówiła mnie dziś rano na cielęcinę, którą sama bardzo lubi. i dziwnie mi teraz nieswojo na żołądku. Wiem, że tak będzie, a zawsze dam się złapać; niech mi pan wytłumaczy coś podobnego? — Albo: — Miałem właśnie zadzwonić, aby mi podano szklankę wody z cukrem. może i pan sobie życzy za jednym zachodem? — Albo: — Jutro przejadę się konno, wybiorę się do teścia. — Te związane zdanka, które nie dawały tematu do dyskusji, wyrzywały krótkie tak lub nie z ust gościa, po czym rozmowa padała na płask. Wówczas pan de Bargeton zebrał pomocy interlokutora zwracając ku niemu swój nos dychawicznego mopsa: wytrzeszczał nań tępe oczy, każde innej barwy, w sposób mający oznaczać: „I cóż pan powie?” Nudziarzy lubiących rozprawiać o sobie ubóstwiał po prostu; przysłuchiwał się im z wyteżoną i delikatną uwagą, która czyniła go w ich oczach tak cennym partnerem rozmowy, że gaduły z Angouleme przypisywały mu tajoną inteligencję i dopatrywały się niesprawiedliwości w powszechnym o nim sądzie. Toteż skoro im już brakło słuchaczy, szli kończyć swoje opowiadania lub wywody przed pocziwym szlachcicem, pewni, że spotkają się z pełnym uznania uśmiechem. W salonie żony, co dzień pełnym gości, czuł się pan de Bargeton wyśmienicie. Zajmował się najdrobniejszymi szczegółami: patrzył, kto wchodzi, witał nowo przybyłego z uśmiechem i prowadził go do żony; śledził tych, którzy mieli się do odejścia, i odprowadzał ich do drzwi, odwzajemniając ukłon swoim wieczystym uśmiechem. Gdy wieczór był ożywiony i gdy już widział, iż

każdy jest przy swym zajęciu, wówczas, szczęśliwy w swojej niemocie, wystawał jak bocian na długich nogach, udając, iż przysłuchuje się politycznej rozmowie, lub też przyglądał się kartom któregoś z graczy, nic nie rozumiejąc, bo nie miał pojęcia o żadnej grze; wreszcie przechadzał się zażywając tabakę i oddając się szczęśliwemu trawieniu. Anais stanowiła wdzięk jego życia, dawała mu niesłychane rozkosze. Gdy robiła horrory w salonie, wyciągał się w berzerce podziwiając ją, ponieważ zdejmowała zeń ciężar rozmowy. Sprawiało mu przyjemność odgadywać sens jej odezwań; że zaś często chwycił go aż w długi czas po wygłoszeniu zdania, pozwalał sobie na śmiechy, które strzelały niby zagrzebane w ziemi i potracone nogą granaty. Szacunek jego dla żony graniczył z ubóstwieniem; a czyż ubóstwienie czegokolwiek nie starczy na szczęście całego życia? Jako rozumna i szlachetna osoba, Anais nie nadużywała swej przewagi, odgadłszy w mężu ową łatwą naturę dziecka, które niczego innego nie pragnie, jak tylko, aby nim kierowano. Nauczyła się dbać o niego tak, jak się dba na przykład o płaszcz; utrzymywała męża czysto, czesała, karmiła, pielęgnowała; czując tę dbałość, pan de Bargeton nabrał dla żony psiego wprost przywiązania. Tak łatwo jest dawać szczęście, które nic nie kosztuje! Pani de Bargeton, nie widząc u męża innej słabości prócz dobrego stołu, dawała mu znakomite obiady; miała dlań współczucie; nigdy się na niego nie skarżyła, tak iż ten i ów, nie rozumiejąc, że źródłem milczenia jest jej duma, przypisywał panu de Bargeton jakieś ukryte przymioty. Ułożyła go zresztą niemal po żołniersku, tak iż człowiek ten ślepo poddawał się we wszystkim woli żony. Mówiła mu: — Musisz iść z wizytą do pana X lub pani Y — i szedł natychmiast, jak żołnierz na posterunek. W jej obecności trzymał się nieruchomo, jakby prezentując broń. W tej chwili była mowa o tym, aby przeprowadzić wybór tego milczka na posła. Lucjan bywał w tym domu zbyt krótko, aby uchylić zasłonę, pod którą ukrywał się ów nieprawdopodobny charakter. Pan de Bargeton, zatopiony w swojej berzerce i zdający się wszystko widzieć i rozumieć, otulony w godność milczenia, zdawał mu się imponującą osobistością. Zamiast go uważać za kamienny słupek, Lucjan uczynił zeń groźnego Sfinksa, mocą tej skłonności, która ludziom obdarzonym wyobraźnią każe wszystko powiększać i wszystkiemu dawać życie; uważał tedy za potrzebne zabiegać o jego łaski.

— Zjawiam się pierwszy — rzekł kłaniając się z dozą uszanowania nieco większą od tej, do jakiej poczciewicz był przyzwyczajony.

— To dosyć naturalne — odpowiedział pan de Bargeton. Lucjan przyjął te słowa jako zjadliwość zazdrosnego męża, zaczerwienił się i spojrzął w lustro dla kontenansu.

— Pan mieszka w Houmeau — rzekł pan de Bargeton — a osoby, które mieszkają dalej, przybywają zawsze wcześniej niż te, które mieszkają blisko.

— Na czym to polega? — zapytał Lucjan przybierając uprzejmą minę.

— Nie wiem — odparł pan de Bargeton, który już zapadł w swą nieruchomość.

— Nie chciał pan nad tym pomyśleć — dodał Lucjan. — Człowiek zdolny uczynić spostrzeżenie łatwo znalazłby jego przyczynę.

— Ach — rzekł pan de Bargeton — przyczyny finalne. He he!...

Lucjan począł wysilać mózg, aby podtrzymać rozmowę, która po tych słowach upadła.

— Pani de Bargeton zapewne się ubiera? — rzekł ze drżeniem, zawstydzony głupotą tego zapytania.

— Tak, ubiera się — odparł mąż najnaturalniej. Lucjan podniósł oczy ku belkom sufitu pomalowanym na szaro, nie mogąc znaleźć dalszego frazesu; zarazem spostrzegł, nie bez przestachu, że mały wiszący świecznik ze starymi wisiorami z kryształu uwolniono z gazy i opatrzone świecami. Meble były bez pokrowców; na czerwonym adamaszku widniały spłowiałe kwiaty. Te przygotowania zwiastowały, iż zebranie będzie niezwykle. W duszy poety poczęła się budzić wątpliwość co do własnego kostiumu: był w butach. Ze zdumieniem połączonym z obawą podszedł obejrzeć wazon japoński, zdobiony konsolką z girlandami, z czasów Ludwika XV; po czym przeląkł się, iż narazi się mężowi nie starając się o

jego względy, i postanowił próbować, czy pocziwiec nie ma jakiego konika, na którego by go można wsadzić.

— Pan rzadko wyjeżdża — rzekł do pana de Bargeton podchodząc ku niemu.

— Rzadko.

Znowu milczenie. Pan de Bargeton śledził jak podejrzliwa kotka najmniejsze poruszenie Lucjana, który mącił jego spokój. Każdy z nich lękał się drugiego.

„Czyż miałby podejrzenia co do moich częstych wizyt? — pomyślał Lucjan. — Wydaje się jakiś bardzo nieżyczliwy!”

W tej chwili, szczęśliwie dla Lucjana, z trudnością wytrzymującego niespokojne spojrzenia, jakimi pan de Bargeton obrzucał go przechadzając się tam i z powrotem, stary służący, dzisiaj przybrany w liberię, oznajmił pana du Chatelet. Baron wszedł z całą swobodą, przywitał się poufale z de Bargetonem, Lucjana zaś obdarzył lekkim skinieniem głowy, które wówczas było w modzie, lecz które Lucjanowi wydało się lekceważące. Du Chatelet miał pantalon olśniewającej białości, ze strzemiączkami, które utrzymywały je w formie. Trzewiki cienkie i lśniące, wykwintne niciane pończochy. Na białej kamizelce zwieszał się czarny sznureczek od lorynetki. Krój i fason czarnego fraka świadczyły o ich paryskim pochodzeniu. Cała postać usprawiedliwiała reputację pięknisia i zdobywcy; ale wiek obarczył go już małym brzuszkiem, którego okrągłość z trudem dała się wcisnąć w granice elegancji. Baron malował włosy i faworyty, posiwiałe w trudach podróży; to dawało coś twardego jego fizjonomii. Cera, niegdyś bardzo delikatna, przybrała miedziany odcień, właściwy ludziom wracającym z Indii; bądź co bądź, cała postać, choć nieco śmieszna przez nie starzejące się pretensje, zdradzała jednak przystojnego sekretarza do szczególnych poruczeń Jej Cesarskiej Wysokości. Ujął palcami lorynetkę, obrzucił spojrzeniem nankinowe spodnie Lucjana, buty, kamizelkę, niebieski fraczek miejscowego chowu, słowem, całą osobę rywala. Następnie schował z flegmą lorynetkę do kamizelki, jakby chciał powiedzieć: „Jestem zadowolony”. Zmiażdżony zrazu elegancją finansisty, Lucjan pomyślał, iż przyjdzie dlań chwila odwetu, gdy ukaże całemu zebraniu swą twarz ożywioną tchnieniem poezji, niemniej jednak doświadczył w duszy żywego cierpienia, które wzmoгло jeszcze wewnętrzną niepewność, płynącą z mniemanej niechęci pana de Bargeton. Baron wyraźnie pragnął przygnieść Lucjana całym ciężarem społecznej wyższości, aby tym bardziej upokorzyć jego nędzę. Pan de Bargeton, który liczył na to, iż teraz nie będzie się już potrzebował odezwać ani słowem, stropił się milczeniem, jakie zachowali obaj rywale badając się wzrokiem, ale gdy już się znalazł w ostatecznym kłopotcie, miał jedno pytanie, które chował jako deskę ratunku i które uznał za stosowne wyrzucić, przybierając minę pełną zainteresowania:

— I cóż, drogi panie — rzekł do pana du Chatelet — cóż tam nowego? Co mówią w świecie?

— Ależ — odparł ze złośliwą intencją dyrektor podatków — coś nowego to pan Chardon. Niech się pan zwróci do niego. Czy przynosi nam pan jaki ładny poemacik? — zapytał swobodnie baron poprawiając pukiel starannie ułożonych włosów.

— Aby się przekonać, czy jest coś wart, powinien bym go przedłożyć pańskiej ocenie — odparł Lucjan. — Pan baron uprawiał poezję wcześniej ode mnie.

— Ba, kilka niezłych kupletów skleconych dla rozrywki, jakieś okolicznościowe piosenki, romance, z których dopiero muzyka coś robiła, wreszcie sążniowa epistoła do jednej z sióstr Buonapartego (niewdzięcznik!!), to jeszcze nie są tytuły do sławy!

W tej chwili pani de Bargeton ukazała się w całym blasku starannie wypielęgnowanej toalety. Na głowie miała żydowski zawój ozdobiony wschodnią agrałą; gazowa szarfa, pod która błyszczały kamee naszyjnika. okręcała się wdzięcznie koło szyi; suknia z wzorzyste malowanego muślinu, o krótkich rękawach, pozwalała jej odsłonić szereg bransolet piętrzących się na białych ramionach. Ten teatralny strój oczarował Lucjana. Pan du Chatelet

posunął się w stronę królowej zasypując ją ckliwymi komplementami, które wywołały na twarzy Luizy uśmiech, tak szczęśliwa była, że te pochwały spotykają ją w obecności Lucjana. Wymieniła tylko jedno spojrzenie z drogim poetą i odpowiedziała dyrektorowi podatków raniąc go grzecznością, która odtrącała go na sto kroków.

Równocześnie poczęli się zjawiać zaproszeni goście. Najpierw ukazali się biskup i wielki wikariusz, dwie godne i uroczyste postaci, które tworzyły wybitny kontrast. Jego Dostojność był wysoki i chudy, towarzysz jego krótki i tłusty. Obaj mieli błyszczące oczy, jednakże biskup był blady, policzki zaś wielkiego wikariusza tryskały rumieńcem zdrowia. Obaj odznaczał się umiarkowaniem gestów i poruszeń, wydawali się bardzo ostrożni; wstrzemięźliwość ich i milczenie miały w sobie coś onieśmiałającego; uchodzili w okolicy za bardzo tęgie głowy.

Tuż za księżmi wkroczyli oboje państwo de Chandour, niezwykle postaci, które mogłyby się wydać czystym wymysłem ludziom nie znającym prowincji. Mąż Amelii, kobiety, która występowała jako antagonistka pani de Bargeton, pan de Chandour, nazywany krótko Stanisławem, był to młody (niegdyś) człowiek, jeszcze szczupły w czterdziestym piątym roku, o twarzy podziurkowanej jak sito. Krawat miał zawsze zawiązany w ten sposób, iż przedstawiał dwa groźnie sterczące ostrza, jedno na wysokości prawego ucha, drugie pochylone ku czerwonej wstążeczce legii. Poły u fraka były szeroko odgięte. Kamizelka, bardzo otwarta, odsłaniała koszulę wzdętą, nakrochmaloną, zapiętą o wiele za bogatymi i ciężkimi broszami. Słowem, cały strój odznaczał się przesadą, która czyniła zeń coś tak karykaturalnego, iż widząc go obcy nie mogli się wstrzymać od śmiechu. Stanisław spoglądał wciąż po sobie od góry do dołu z pewnym zadowoleniem, sprawdzając liczbę guzików u kamizelki, śledząc faliste linie obcisłych majtek, pieszcząc swoje łydki spojrzeniem, które zatrzymywało się miłośnie na końcach bucików. Gdy przestawał się tak oglądać, oczy jego szukały lustra; badał, czy włosy są dość starannie ułożone, spoglądał po kobietach okiem pełnym zadowolenia, wkładając palec do kieszeni od kamizelki i przeginając się w tył. Wszystkie te kogucie pozy zapewniały mu powodzenie w arystokratycznym towarzystwie, gdzie uchodził za wzór męskiej piękności. Rozmowa jego naszpikowana była przeważnie pieprznymi aluzjami, modą XVIII wieku. Ten nieznośny styl czynił go dość mile widzianym w towarzystwie kobiet: bawiły je te koncepta. Pan du Chatelet zaczynał budzić w nim pewien niepokój. W istocie, zaintrygowane obojętnością pięknego podatkowca, pobudzone minami dającymi do zrozumienia, iż darmo kusiłoby się wyprowadzić go z obojętności, podrażnione wreszcie pozami znudzonego sułtana, kobiety zabiegały o niego żywiej jeszcze niż zaraz po przybyciu, odkąd pani de Bargeton zajęta była swym angulemskim Byronem.

Amelia była to nieduża kobietka o niezręcznie komedianckich tonach, pulchna, biała, z czarnymi włosami, przesadna, głośna, z pretensjonalną główką obładowaną piórami w lecie, kwiatami w zimie; lubująca się w wymowie, którą wszelako przerywał swym akompaniamentem gwizd starannie tajonej astmy.

Pan de Saintot, nazywany Astolfem, prezes Towarzystwa Rolniczego, rumiany, wysoki i zażywny, wkroczył prowadzony przez żonę, dość podobną do zasuszonej paproci; zwano ją Lili, skrócenie Elizy. Imię to, nasuwające pojęcie czegoś dziecinnego, kłóciło się z usposobieniem i wzięciem pani de Saintot, kobiety uroczystej, dewotki oraz zgryźliwej i namiętnej karcarki. Astolf uchodził za pierwszorzędną głowę naukową. Mimo iż ignorant dziewiętej próby, wypocił wszelako artykuły „Cukier” i „Spirytus” w słowniku rolniczym, które to płody swego ducha złupił po kawałku we wszystkich artykułach dziennikarskich oraz dawnych dziełach, gdzie była mowa o tych produktach. Cały departament wierzył, iż pracuje on nad traktatem o nowożytnej uprawie roli. Mimo iż spędzał całe rano w gabinecie, nie napisał jeszcze w ciągu dwunastu lat ani dwóch stronic. Jeżeli ktoś go zaszedł, przyjmował gościa przewracając w papierach, szukając zarzuconej notatki lub też zacina-

jąc pióro; ale czas spędzany w gabinecie schodził mu na głupstwach: czytał pomału dziennik, wycinał scyzorykiem figurki z korka, rysował fantastyczne wzory na bibule; przerzucał Cycerona, aby zeń wyłowić jakieś zdanie lub ustęp, którego treść dałaby się zastosować do bieżących wypadków, następnie, wieczór, siłił się sprowadzić rozmowę na przedmiot pozwalający mu powiedzieć: — Jest w Cyceronie stronica, o której można by myśleć, iż napisał ją z myślą o tym, co się dzieje dzisiaj. — Za czym recytował ustęp, ku wielkiemu zdumieniu słuchaczy, którzy powtarzali między sobą: — Doprawdy, Astolf to istna studnia wiedzy. — Osobliwy fakt obiegał całe miasto i podtrzymywał pochlebne sądy o panu de Saintot.

Po tej parze wszedł pan de Bartas, zwany Adrianem, posiadacz basowego głosu i mający ogromne pretensje do muzyki. Miłość własna uczyniła go niewolnikiem solfedzia: zaczął od podziwiania własnego śpiewu, następnie jął rozprawiać o muzyce, a w końcu wyłączenie się nią zajmować. Sztuka muzyczna stała się u niego rodzajem monomanii; ożywiał się jedynie mówiąc o muzyce; będąc gdzieś na wieczorze przechodził mękę, póki go nie poproszono, aby zaśpiewał. Z chwilą gdy raz odryczał swą arię zaczynało się dlań życie: nadymał się, prostował, przyjmując komplementy robił skromne minki; mimo to przechodził od grupy do grupy, aby uszczknąć daninę pochwał: następnie, skoro temat się wyczerpał, wracał do muzyki, podnosząc trudności swej arii lub wychwalając kompozytora.

Aleksander de Brebian, mistrz sepii, rysownik, który zanieczyszczał pokoje przyjaciół niezdarnymi płodami i zapaskudzał albumy całego departamentu, wszedł z panem de Bartas. Każdy z nich prowadził pod rękę żonę przyjaciela. Wedle relacyj miejscowej kroniki skandalicznej transpozycja ta była zupełna. Dwie kobiety, Lolotka (Karolina de Brebian) i Fifinka (Józefina de Bartas), w jednakim stopniu pochłonięte problemami chusteczki, garnituru, doboru kłócących się kolorów, pragnęły za wszelką cenę uchodzić za paryżanki i zaniedbywały dom, gdzie wszystko szło bez ładu i składu. O ile obie żony, wciśnięte jak lalki w sporządzone tanim kosztem suknie, stanowiły obraz krzyczących jaskrawo kolorów, mężowie ich, w charakterze artystów, pozwalali sobie na prowincjonalne zaniedbanie, które czyniło z nich istotnie osobliwe zjawisko. Zużyte i pomięte ubrania dawały im wygląd komparsów, jacy w podrzędnych teatrzykach przedstawiają wytworne towarzystwo sproszone na wesele.

Miedzy figurami, które wpłynęły do salonu, jedną z najoryginalniejszych była postać hrabiego de Senonches, arystokratycznie zwanego Jakubem. Był to wielki myśliwiec, wysoki, chudy, o ogorzałej cerze, ujmujący jak niedźwiedź, nieufny jak wenecjanin, zazdrośny jak Maur i żyjący w doskonałej przyjaźni z panem du Hautoy, inaczej zwanym Francis, przyjacielem domu.

Pani de Senonches (Zefiryna) była to osoba postawna i ładna, ale o twarzy już pocętkowanej ostrością krwi, dzięki której uchodziła za kobietę wymagającą. Wiotka jej kibić, delikatne kształty pozwalały jej przybierać omdlewające pozy, które trąciły afekcją, ale które stanowiły świadectwo zawsze zadowolonych kaprysów pieszczonej osoby Francis był to dość dystyngowany mężczyzna, który rzucił konsulat w Walencji i nadzieję dyplomatycznej kariery, aby się zagrzebać w Angouleme obok Zefiryny, inaczej zwanej Zizi. Eks-konsul troszczył się o dom, zajmował się wychowaniem dzieci, uczył je obcych języków, zarządzał majątkiem państwa de Senonches z bezwzględny poświęceniem. Angouleme pańskie, Angouleme urzędowe, Angouleme mieszczańskie długo komentowały tę doskonałą harmonię stadła w trzech osobach; ale z biegiem czasu owa tajemnica trójcy małżeńskiej wydała się tak rzadka i ładna, iż pan du Hautoy ściągnąłby na siebie opinię głęboko niemoralnego człowieka, gdyby objawił chęć ożenienia się. Poza tym zaczęto podejrzewać niepokojące tajemnice w nadzwyczajnym przywiązaniu pani de Senonches do chrześniaczki, noszącej nazwisko de la Haye, która bawiła przy niej jako panna do towarzystwa, i mimo pozornej niezgodności dat znajdowano uderzające podobieństwo pomię-

dzy Franciszką de la Haye a panem Franciszkiem du Hautoy. Kiedy Jakub polował w okolicy, każdy pytał go o Frania, on zaś opowiadał o drobnych niedomaganiach swego dobrowolnego intendenta, okazując większą pieczołowitość o niego niż o żonę. Zaślepienie to wydawało się u człowieka zazdrosnego z natury tak osobliwe, że najlepsi przyjaciele pana de Senonches bawili się wyciąganiem go na słówka, objaśniając rzecz tym, którzy nie znali tajemnicy, aby im dostarczyć zabawy. Pan du Hautoy był to wymuskany dandys, u którego dbałość o własną osobę wyrodziła się w mizdrzenie i dzieciństwo. Zajmował się swoim kaszlem, snem, trawieniem. Zefiryna doprowadziła swoje *factotum* do tego, iż naprawdę zrobił się chorowity; otulała go w watę, spowijała, opychała lekarstwami, karmiła go wyszukanymi damami jak salonowego pieska; nakazywała mu taką lub inną potrawę albo, przeciwnie, zabraniała; haftowała mu kamizelki, fontazie i chustki do nosa; przyzwyczaiła go w końcu do noszenia tak ładnych rzeczy, iż przekształciła go w rodzaj japońskiego bożka. Harmonia między tą parą była bez najlżejszej chmurki: Zizi spoglądała co chwila na Frania, Franio zdawał się czerpać myśli w oczach Zizi.

Ganili, uśmiechali się razem, zdawali się porozumiewać z sobą dla powiedzenia najprostszego „dzień dobry”.

Najbogatszy właściciel ziemski w okolicy, człowiek będący przedmiotem powszechnej zazdrości, margrabia de Pimentel, i jego żona, którzy we dwoje reprezentowali czterdzieści tysięcy franków renty i spędzali zimę w Paryżu, przybyli ze wsi karetą wraz ze swymi sąsiadami, baronostwem de Rastignac. Tym ostatnim towarzyszyła ciotka oraz córki, dwie urocze młode osoby, doskonale wychowane, biedne, ale ubrane z ową prostotą, która tak podnosi naturalną urodę. Wejściu tych osób, stanowiących niewątpliwie elitę zebrania, towarzyszyło chłodne milczenie i pełne zazdrości uszanowanie, zwłaszcza gdy każdy zauważył niezwykle czułe powitanie, jakim przyjęła ich pani de Bargeton. Te dwie rodziny należały do niewielkiej ilości ludzi, którzy na prowincji trzymają się powyżej plotek, nie mieszają się do żadnej koterii, żyją na uboczu i zachowują godność nakazującą szacunek. Panów de Pimentel i de Rastignac nazywano ich tytułem; żadna poufałość nie łączyła ich żon ani córek z wielkim światem Angouleme; nadto blisko znajdowali się arystokracji dworu, aby się zniżyć do prowincjonalnych małostek.

Prefekt i generał zjawili się na końcu w towarzystwie wiejskiego szlachcica, który tego rana przyniósł Dawidowi swój memoriał o jedwabnikach. Był to z pewnością mer jakiegoś powiatu, człowiek zamożny i poważany; ale strój jego i wzięcie zdradzały, iż zupełnie odwykł od towarzystwa. Czuł się skępowany w swoim fraku, nie wiedział, co zrobić z rękami, mówiąc kręcił się dokoła interlokutora, podnosił się z krzesła i siadał odpowiadając na pytanie, zdawał się gotów do oddania posług domowych; był kolejno natrętny, niespokojny, poważny, skwapliwie śmiał się z każdego żartu, słuchał ze służalczym nabożeństwem, to znów przybierał wyraz podejrzliwy, myśląc, że sobie drwią z niego. Kilka razy w ciągu wieczora, rozpierany swym memoriałem, usiłował mówić o jedwabnikach; ale nieszczęśliwie trafił na pana de Bartas który mu odpalił muzyką, i na pana de Saintot, który mu przytoczył Cyclerona. Gdzieś w połowie wieczoru biedny mer doszedł w końcu do porozumienia z jakąś wdową i jej córką, paniami du Brossard, nie najmniej interesującymi figurami tego zebrania. Jedno słowo określi wszystko: były równie ubogie, jak dobrze urodzone. Ubiór ich zdradzał ową pretensję do stroju, która osłaniała tajoną nędzę. Pani du Brossard wychwalała bardzo niezręcznie i przy każdej sposobności swoją roslą i pulchną córeczkę, liczącą dwadzieścia siedem lat, która jakoby grała biegle na fortepianie; stroiła ją oficjalnie we wszystkie upodobania ludzi mogących być kandydatami do małżeństwa. W żądzy ustalenia losu kochanej Kamilli twierdziła, jednego i tego samego wieczoru, że Kamilla lubi koczowniczy tryb garnizonów i spokojne życie gospodarza wiejskiego, pilnującego zagrody. Obie zachowywały obrażoną słodko-kwaśną godność osób, nad którymi każdy z przyjemnością ubolewa, którymi ludzie interesują się przez egoizm i które zgłębiły

puszkę pocieszających słówek, jakimi świat lubi częstować nieszczęśliwych. Pan de Severac miał pięćdziesiąt dziewięć lat, był wdowcem i bezdzietnym; matka i córka słuchały tedy z nabożnym podziwem szczegółów, jakich im udzielał co do swej hodowli jedwabników.

— Córka zawsze lubiła zwierzęta — rzekła matka. — Toteż, ponieważ jedwab, który wyrabiają te małe bydłatka, interesuje kobiety, poproszę pana o pozwolenie odwiedzenia go w Severac dla pokazania Kamilli, w jaki sposób to się zbiera. Kamilla jest tak inteligentna, że w jednej chwili zrozumie wszystko, co pan jej powie. Przecież ona kiedyś rozumiała odwrotny stosunek kwadratu odległości!

Zdanie to zakończyło chlubnie rozmowę między panem de Severac a panią du Brossard, po lekturze Lucjana.

Kilku codziennych gości wmieszało się swobodnie w zgromadzenie; przybyło i paru młodych obywatelskich synków, nieśmiałych, milczących, wystrojonych jak monstrancje, szczęśliwych, iż zaproszono ich na tę literacką uroczystość. Najśmielszy z nich rozzuchwalił się tak dalece, iż wdał się w dłuższą rozmowę z panną de la Haye. Kobiety zasiadły poważnie kołem, za którym stali mężczyźni. To zebranie ekscentrycznych osobistości, w na j różnorodnie j szych kostiumach, o grubo malowanych twarzach, wydało się bardzo imponujące Lucjanowi, którego serce poczęło bić, gdy uczuł się przedmiotem tylu spojrzeń. Jakkolwiek z natury śmiały, niełatwo wytrzymał tę pierwszą próbę, mimo zachęty ze strony swej uwielbianej, która rozwinęła całe bogactwo ukłonów i najwyszukańszych gracji, przyjmując te dostojne szczyty angulemskiego towarzystwa. Gnębiące uczucie zakłopotania wzmogła jeszcze okoliczność, łatwa do przewidzenia, ale która musiała zmrozić młodego człowieka, jeszcze nie obytego z taktyką świata. Lucjan, cały zmieniony we wzrok i słuch, słyszał, iż Luiza, pan de Bargeton, biskup i kilku zaufanych pani domu nazywają go panem de Rubempre, reszta zaś owej tak groźnej publiczności — panem Charodon. Onieśmielony pytającymi spojrzeniami ciekawych, przeczuwał dźwięk swego mieszczańskiego nazwiska po samym ruchu warg; odgadywał sądy, jakie wydawano o nim z ową prowincjonalną szczerością, często nazbyt bliską grubiaństwa.

Te niespodziane a ciągle ukłucia uczyniły go jeszcze bardziej nieswoim. Cekał niecierpliwie rozpoczęcia lektury, która by uśmierzyła jego wewnętrzną torturę; ale Jakub opowiadał pani de Pimentel przygody ostatniego polowania; Adrian zapuścił się z panną Laurą de Rastignac w rozmowę o nowej gwiazdzie muzycznej, Rossinim; Astolf, który nauczył się z dziennika na pamięć opisu nowego pługa, wykladał go baronowi. Nie wiedział Lucjan, biedny poeta, iż żaden z tych mózgów, wyjąwszy pani de Bargeton, nie był zdolny zrozumieć poezji. Wszystkie te osoby, pozbawione wrażeń, zbiegły się tu łudząc się same co do widowiska, jakie je czekało. Istnieją słowa, które na kształt trąb i cymbałów budy jarmarcznej zawsze przyciągają publiczność. Słowa piękno, sława, poezja mają czar, który działa nawet na najgrubsze umysły. Skoro wszyscy się zebrali, kiedy ustały rozmowy nie bez mnóstwa upomnień rozdzielanych niesfornym przez pana de Bargeton, którego żona wysiała niby szwajcara bijącego w kościele laską o posadzkę, Lucjan zasiadł przy okrągłym stole, w pobliżu pani de Bargeton, z uczuciem gwałtownego wstrząśnienia duszy. Oznajmił niepewnym głosem, iż aby nie zawieść niczyjego oczekiwania, odczyta świeżo odnalezione arcydzieła nieznanego wielkiego poety. Mimo iż poezje Andrzeja Chenier ukazały się w r. 1819, nikt w Angouleme nie słyszał jeszcze tego nazwiska. Każdy dopatrywał się w tej zapowiedzi sztuczki wymyślonej przez panią de Bargeton dla oszczędzenia miłości własnej poety i zostawienia swobody słuchaczom. Lucjan przeczytał najpierw „Młodego chorego”, przyjętego pochlebny szmerem; następnie „Ślepcę”, który to poemat wydał się owym tępym duszom zbyt długi. Podczas czytania Lucjan doznawał owej piekielnej męczarni, rozumiał w całej pełni jedynie wybitnym artystom lub tym, których siła entuzjazmu oraz wysoka inteligencja wznoszą na poziom tamtych. Aby poezję oddać

głosem, a także aby ją odczuć, trzeba na to religijnego skupienia. Musi się wytworzyć między czytającym a słuchaczami porozumienie, bez którego elektryczne zetknięcie uczuć nie jest możliwe. Jeśli brakuje tego zespolenia, wówczas poeta znajduje się w położeniu anioła, który próbuje śpiewać hymn niebiański wśród chichotu piekieł. Owóż w sferze, w której rozwijają się ich zdolności, bogato obdarzeni ludzie posiadają ów okrężny wzrok ślimaka, węch psa i ucho kreta; widzą, czują, rozumieją wszystko dokoła siebie. Muzyk i poeta równie szybko odczuwają podziw lub brak zrozumienia, jak roślina usycha lub odżywa w przyjaznej lub wrogiej atmosferze. Szmer mężczyźni, którzy przybyli jedynie przez wzgląd na swoje damy i którzy szeptali z sobą o interesach, odbijały się w uszach Lucjana mocą tej specjalnej akustyki, tak samo jak widział zachęcające czeluście szczęk rozwartych ziewaniem i urągających mu szeregiem zębów. Kiedy, podobny do owego gołębia w czas potopu, szukał przyjaznego kącika, gdzieby jego spojrzenie mogło się zatrzymać, spotykał zniecierpliwione oczy ludzi, którzy mieli widocznie zamiar skorzystać z tego zebrania, aby pomówić z sobą o jakichś konkretnych sprawach. Z wyjątkiem Laury de Rastignac, paru młodych ludzi i biskupa, wszyscy obecni nudzili się. Niewątpliwie ci, którzy rozumieją poezję, starają się rozwinąć w duszy to, co autor pomieścił w zarodku w swych wierszach; ale d. lodowaci słuchacze, dalecy od wdychania duszy poety, nie słuchali nawet jego głosu. Lucjan uczuł tak głębokie zniechęcenie, iż zimny pot oblał mu koszulę. Płomienne spojrzenie, rzucone przez Luizę, w stronę której się obrócił, dało mu siłę dokończyć, ale serce poety krwawiło się tysiącem ran.

— Cóż, bardzo się bawisz, Fifi? — rzekła do sąsiadki chuda Lili, która oczekiwała, zdaje się, sztuk łamanych.

— Nie pytaj, duszko; kiedy słyszę czytanie, zaraz mi się oczy kleją.

— Mam nadzieję, że Nais nie zechce nas zbyt często karmić wierszami wieczorem — rzekł Franio. — Kiedy słucham czytania po obiedzie, to wyężenie uwagi fatalnie wpływa na moje trawienie.

— Biedny kiciuś — rzekła po cichu Zefiryna — napij się wody z cukrem.

— Dobrze recytuje — rzekł Aleksander — ale i tak wolę wista.

Słyszając tę uwagę, którą przyjęto jako dowcip ze względu na angielskie znaczenie słowa²⁵, zwolenniczki kart zauważyły, iż deklamator potrzebuje wypoczynku. Pod tym pretekstem jedna czy dwie pary wymknęły się do buduaru. Lucjan, ubłagany przez Luizę, przez uroczą Laurę de Rastignac i przez biskupa, obudził uwagę słuchaczy dzięki werwie kontrrewolucyjnych „Jambów”, które wiele osób, porwanych ciepłem deklamacji, okłaskiwało nie rozumiejąc. Na takich ludzi działa podniesiony głos, jak na grube podniebienia mocny trunek. Gdy podawano lody Zefiryna posłała Frania, aby obejrzał tomik, i udzieliła sąsiadce swej, Amelii, wiadomości, że wiersze, które czytał Lucjan, są drukowane.

— Ależ — odparła Amelia z widoczną błogością — to bardzo proste, przecież pan de Rubempre pracuje u drukarza. To tak — rzekła spoglądając na Lolotę — jak gdyby ładna kobieta sama sobie szyła suknie.

— Sam wydrukował swoje poezje! — obiegło szeptem wśród kobiet.

— Czemuż nosi tedy nazwisko de Rubempre? — spytał Jakub. — Skoro szlachcic pracuje własnymi rękami, powinien wówczas rzec się nazwiska.

— On też w istocie porzucił swoje, które było gminne — rzekła Zizi — i przybrał nazwisko matki, szlachcianki z domu.

— Skoro jego wiersze — rzekł Astolf — są drukowane, możemy je przeczytać i sami.

Na tych niedorzecznościach utknęła rozmowa, aż wreszcie pan du Chatelet raczył objaśnić to zebranie nieuków, iż zapowiedź nie była retoryczną osłonką i że te piękne poezje są to utwory zmarłego rojalisty, brata republikanina Józefa Marii Chenier. Zebrani, z wyjątkiem biskupa, pani de Rastignac i jej córek, którzy odczuli tę wielką poezję — uważali, iż

²⁵ Whist – po angielsku znaczy: milczenie.

padli ofiarą mistyfikacji, i wzięli ten podstęp za obrazę. Głuchy szmer podniósł się wkoło, ale Lucjan go nie słyszał. Odosobniony od tego wstrętnego świata upojeniem, jakie budziła w nim wewnętrzna melodia, silił się ją oddać i widział ludzi niby przez mgłę. Odczytał posępną elegię o samobójstwie, tę w stylu starożytności, tchnącą cudowną melancholią; później tę, która zawiera ów wiersz:

Słodkie są wiersze twoje, powtarzam je rada.

Wreszcie zakończył uroczą sielanką zatytułowaną „Neera”. Zatopiona w rozkosznym marzeniu, z ręką w puklach włosów, które rozplotła nie wiedząc o tym, z drugą ręką zwiśla bezwładnie, z roztargnionymi oczyma, sama w pośrodku salonu, pani de Bargeton czuła się pierwszy raz w życiu przeniesiona we właściwą sferę. Osądźcie, jak niemile zbudziła ją Amelia, która podjęła się wyrazić jej życzenia całego zgromadzenia.

— Nais, przyszedłszy tutaj, aby usłyszeć poezje pana Cbardon, a ty nam dajesz wiersze drukowane. Mimo iż te kawałki są bardzo ładne, te panie przez patriotyzm, wołałyby wino swojego chowu.

— Czy nie znajduje pan, że język francuski niezbyt nadaje się do poezji? — rzekł Astolf do dyrektora podatków. — Proza Cyserona jest dla mnie tysiąc razy poetyczniejsza.

— Prawdziwa poezja francuska to poezja lekka;

piosenka — odparł du Chatelet.

— Piosenka dowodzi, że nasz język jest bardzo muzykalny — rzekł Adrian.

— Chciałabym bardzo poznać wierszyki, które doprowadziły Nais do zguby — rzekła Zefiryna — ale sądząc po sposobie, w jaki przyjęła prośbę Amelii, nie ma zdaje się, ochoty uczęstować nas próbką.

— Winna jest samej sobie, aby mu kazać zadeklamować coś swojego — odparł Francis — wszak talent tego jegomościa stanowi jej usprawiedliwienie.

— Pan, który byłeś w dyplomacji, uzyskaj to dla nas — rzekła Amelia do pana du Chatelet.

— Nic łatwiejszego — odparł baron.

Eks-sekretarz do szczególnych poruczeń, przyzwyczajony do tych intryzek, podszedł do biskupa i zrećnie wysunął go naprzód. Zagadnięta przez duchowną osobę, Nais musiała poprosić Lucjana o jakiś utwór, który umie na pamięć. Szybki triumf barona w ten negocjacji zyskał mu powłóczyście spojrzenie Amelii.

— Stanowczo, ten baron jest bardzo sprytny — rzekła do Loloty.

Lolota pamiętała słodko-kwaśną uwagę Amelii o kobietach, które same sobie robią suknie.

— Odkądże to uznajesz baronów Cesarstwa? — odparła z uśmiechem.

Lucjan próbował przebóstwić swoją ukochaną w odzie, którą poświęcił jej pod tytułem wynalezionym przez wszystkich młodych ludzi na wyjściu z kolegium. Oda ta, pieszczona z takim umiłowaniem, upiększona całą miłością, Jaką nosił w sercu, wydała mu się jedynym dziełem, zdolnym walczyć z poezją Cheniera. Rzucił dość zdobywcze spojrzenie w stronę pani de Bargeton, wymawiając tytuł: „Do niej”! Następnie upozował się dumnie dla wygłoszenia tego ambitnego utworu, autorska bowiem miłość własna czuła się pewniejsza za spódniczką pani de Bargeton. W tej chwili Nais pozwoliła oczom kobiet podchwycić swój sekret. Mimo iż przyzwyczajona górować nad tym światem całą wysokością swej inteligencji, nie mogła się wstrzymać, aby nie drżeć za Lucjana. Zachowanie jej było niepewne, spojrzenia prosiły niejako o pobjaźanie; następnie zmuszona była siedzieć ze spuszczonej oczyma i ukrywać zadowolenie, w miarę jak rozwijały się następujące strofy:

DO NIEJ

Z promiennych blasków fali lazuruwej,
Kędy aniołów smętnych brać skrzydlata
Powtarza szeptem u tronu Jehowy
Skargi wszechświata,

Często cherubin, dziecię sfer podniebne,
Gasząc blask złoty, co mu stroi ciemę,
Zbывszy w błękitach piór okiście srebrne,
Schodzi na ziemię.

Spieszy, gdzie czoła w zadumie się kłonia,
Geniusza w pętach pokrzepia zawody
I starca smutki koi miękką dłonią
Dzieweczki młodej.

Zbiera łzy żalu posępnych zbrodniarzy,
Matce strapionej szepcze: „Miej otuchę!”
Z radosnym sercem na swej szali waży
Miłość i skrucę.

Jeden z tych posłów wśród nas tutaj bawi,
Litośnie dzieląc ziemskie nasze losy,
I patrzy okiem, co we łzach się pławi,
W jasne niebiosy.

Nie czoła jego zaduma wpółsenna
Boskości jego sekret mi zdradziła
Ni głosu słodycz, ani ta płomienna
Ócz jego siła;

Lecz gdy niebacznie biedne serce moje
Na tyle czarów dłoń ściągnęło drżącą,
Spotkało straszną archaniola zbroję,
Chłodną i lśniąca...

Naucz mnie, naucz, cudny serafinie,
Magicznej pieśni ziemi, nieb i morza,
Ma jaźń niech z tobą na wieki popłynie
W modre przestworza!

Niech zespolone bratnie nasze duchy,
Pośród szaleństwa nadobłocznej jazdy,
Sieją ku ziemi marzeń swych okruchy,
Niknące gwiazdy...

— Czy rozumie pan tę szaradę? — rzekła Amelia do pana du Chatel'tl zwracając nań zalotne spojrzeń.

— Phi! Wiersze, jakie fabrykowaliśmy mniej lub więcej wszyscy w kolegium — odparł baron ze znudzoną miną, trzymając się roli sędziego, któremu nic nie imponuje. — Daw-

niej błędziliśmy w mgłach osjanicznych: Malwiny, Fingale,²⁶ mgliste zjawiska, rycerze, którzy wstawali z grobów z gwiazdami płonącymi nad czołem. Dzisiaj tę poetycką tandetę zastąpił Jehowa, sfery, anioły, pióra serafinów, cała rajska garderoba odświeżona i połączona za pomocą słów takich, jak nieskończoność, bezmiar, samotność, jaźń. Mamy jeziora, słowa boże, rodzaj uchryścianizowanego panteizmu, wzbogaconego rymem rzadkim, a mozolnie szukanym. Jak szmaragd i katarakt, kirys i Irys, etc. Słowem, zmieniliśmy szerokość geograficzną: zamiast bawić na Północy, jesteśmy na Wschodzie, ale ciemności zostały równie gęste.

— Jeśli oda jest ciemna — rzekła Zefiryna — oświadczyń wydają mi się bardzo jasne.

— A zbroja archanioła jest bardzo lekką suknią muślinową — rzekł Franio.

Wprawdzie grzeczność nakazywała zachwycać się ostentacyjnie odą ze względu na panią de Bargeton, damy, wściekle, iż nie mają w swoich służbach poety, co mieniliby je aniołami, wstały jak gdyby znudzone, szepcząc lodowato: bardzo ładne, niezłe, śliczne.

— Jeśli mnie kochasz, nie będziesz komplementował ani autora, ani jego anielicy — rzekła do swego drogiego Adriana Lolota despotycznym tonem, którego nie ważył się nie usłuchać.

— Ostatecznie, to tylko frazesy — rzekła Zefiryna do Frania — miłość zaś jest to poezja w czynie.

— Wiesz, Zizi, pomyślałem zupełnie to samo, ale nie byłbym umiał tego tak ładnie wyrazić — odparł Stanisław muskając się od stóp do głowy pieszczotliwym spojrzeniem.

— Nie wiem, co bym dała — rzekła Amelia do pana du Chatelet — aby doczekać się upokorzenia Nais, która każe sobie świadczyć od archaniołów, jak gdyby była czymś lepszym od nas, a nam każe się pospolitować z synem aptekarza i akuszerki, którego siostra jest gryzetską, a który sam pracuje u drukarza.

— Wstępuje w ślady ojca, bo to, czym nas uczył —

to istne ziółka — rzekł Stanisław przybierając jedną ze swoich wyzywających póz. — Dobrze są czasem te ziółka, ale ostatecznie wolałbym już co innego.

W jednej chwili całe towarzystwo jak gdyby się zmówiło, aby upokorzyć Lucjana jakimś żądłem arystokratycznej ironii. Nabożna Liii upatrywała sposobność do chrześcijańskiego uczynku mówiąc, iż czas oświecić Nais, bliską popełnienia szaleństwa. Dyplomata Franio podjął się przeprowadzić głupi spisek, którym wszystkie te małe dusze zainteresowały się jak rozwiązaniem dramatu i w którym zaświtała im plotka do obnoszenia nazajutrz. Dawny konsul, nie mający wcale ochoty na pojedynek z młodym poetą, który w obecności ukochanej wpadłby w szal za pierwszym obelżywym słowem, zrozumiał, iż trzeba zamordować Lucjana poświęcanym żelazem, wobec którego zemsta byłaby niemożliwa. Poszedł za przykładem, jaki mu dał zręczny du Chatelet, kiedy chodziło o to, aby skłonić Lucjana do wygłoszenia wierszy. Podsunął się do biskupa, udając, iż podziela zachwyt Jego Wielbności; następnie zmistyfikował go objaśniając, iż matka Lucjana jest to kobieta wyższego umysłu, niezmiernie skromna, która dostarcza synowi tematu do wszystkich utworów. Największą (mówił) radością dla Lucjana jest, gdy widzi, iż ktoś odaje sprawiedliwość jego matce, którą ubóstwia.

Raz zaszczepiwszy tę myśl biskupowi, Franio zdał się na traf konwersacji, aby sprowadzić zabójcze słowo, które umyślił wymierzyć ustami Jego Wielbności. Kiedy Franio z biskupem wrócili do koła, w którego środku znajdował się Lucjan, uwaga zaostrzyła się wśród osób, które mu już dawały pić małymi łykami cykutę. Zupełnie obcy salonowym manewrom, biedny poeta umiał tylko patrzeć na panią de Bargeton i głupio odpowiadać na głupie pytania, które mu zadawano. Nie znał nazwisk i tytułów większości obecnych, nie wiedział, jak się odzywać do kobiet prawiających brednie, za które mu było wstyd. Czuł się

²⁶ Malwina, Fingal – bohaterowie „Pieśni Osjana”, napisanych przez Szkota Macphersona (1736-1793) na podstawie starych szkockich tekstów ludowych.

zresztą odepchniętym o tysiąc mil od tych angulemskich bożyszczy, słysząc, jak go nazywają to panem Chardon, to panem de Rubempre, podczas gdy między sobą wołają się Lolotą, Adrianem, Astolfem, Liii, Fifi. Zmieszanie jego doszło do szczytu, kiedy wzięwszy „Liii” za imię męskie nazwał panem Liii brutalnego pana de Senonches. Nemrod przerwał Lucjanowi „panem L u l u?”, które przyprawiło panią de Bargeton o rumieniec po same białka.

— Trzeba być bardzo zaślepioną, aby wpuszczać tutaj i przedstawiać nam tego smarkacza! — rzekł półgłosem.

— Pani margrabino — rzekła Zefiryna do pani de Pimentel po cichu, ale w ten sposób, aby ją słyszano — czy nie znajduje pani wielkiego podobieństwa między panem Chardon a panem de Cante--Croix?

— Podobieństwo idealne — odparła z uśmiechem pani de Pimentel.

— Sława ma swoje uroki, do których wolno się przyznać — rzekła pani de Bargeton do margrabiny. — Są kobiety, które pociąga wielkość, jak inne małość — dodała spoglądając na Frania.

Zefiryna nie zrozumiała, konsul zdawał się jej bardzo wielki; ale margrabina przeszła na stronę Nais, podkreślając śmiechem przycinek.

— Panie drogi, pan jesteś bardzo szczęśliwy — rzekł do Lucjana pan de Pimentel, który, nazwawszy go wprzód panem Chardon, poprawił się na de Rubempre — pan musi się nigdy nie nudzić.

— Czy pan szybko pracuje? — spytała Lolotą tonem, jakim się mówi do stolarza: „Czy długo potrwa robota takiej skrzynki?”

Lucjan stał jak ogłuszony pod tym ciosem maczugi, ale podniósł głowę słysząc, jak pani de Bargeton odpowiada z uśmiechem:

— Moja droga, poezja nie rośnie w głowie pana de Rubempre tak jak trawa na naszych dziedzińcach.

— Pani — rzekł biskup do Loloty — niepodobna mieć nadto szacunku dla tych szlachetnych duchów, w które Bóg tchnął promyk swego światła. Tak, poezja jest rzeczą świętą. Kto mówi: poezja, mówi: cierpienie. Ileż milczących nocy kosztowały te strofy, które podziwiamy! Skłońcie się z umiłowaniem przed poetą, który pędzi prawie zawsze życie nieszczęśliwe i któremu Bóg z pewnością zachował miejsce w niebie, między prorokami. Ten młody człowiek jest poetą — dodał kładąc rękę na głowie Lucjana — czy nie widzicie jakiejś fatalności wypisanej na tym pięknym czole?

Shczęśliwy z tak szlachetnej obrony, Lucjan podziękował biskupowi tklwym wzrokiem, nie wiedząc, iż zacny prałat stanie się jego katem.

Pani de Bargeton rzuciła na obóz nieprzyjacielski spojrzenia pełne triumfu, które wbiły się, niby tyleż grotów, w serca rywalek zdwajając ich wściekłość.

— Och, Wasza Wielbność — odparł poeta spodziewając się ugodzić te głowy głupców swoim złotym berłem — tłum nie posiada rozumu ani serca Waszej Wielbności. Nasze cierpienia nie są nikomu znane, nieznana też nasza praca. Górnikowi z mniejszym trudem przychodzi dobywać złoto ze swej miny niż nam wyrywać obrazy z wnętrzości najnie wdzięczniejszego pod słońcem języka. Jeżeli celem poezji jest doprowadzać myśl do punktu, w którym każdy może ją widzieć i odczuwać, poeta musi przebiegać wciąż drabinę ludzkich inteligencji, aby uczynić zadość wszystkim; musi pod najżywszymi barwami ukrywać logikę i uczucie, dwie wrogie potęgi. Trzeba mu zamykać cały świat myśli w jednym okresie, streszczając całe filozofie w jednym obrazie. Słowem, wiersze jego są jak nasiona, których kwiaty powinny się rozwinąć w sercach, szukając w nich bruzd wyżłobionych własnymi uczuciami. Czy nie trzeba wszystkiego wycierpieć, aby wszystko oddać? A czuć całą mocą. czy nie znaczy cierpieć? Toteż poezję poczyną się jedynie po ciężkich podróżach podjętych w rozległe krainy myśli i społeczeństwa. Czyż nie są nieśmiertelne tru-

dy, będące rodzicielami tworów, których życie staje się bardziej istotne niż osób żyjących naprawdę, jak Klaryssa Richardsona, Kamilla Cheniera, Delia Tibulla, Angelika Ariosta, Francesca Dantego, Alcest Moliera, Figaro Beaumarchais'go,

Rebeka Walter Scotta i Don Kiszot Cervan-tesa!

— I które nam pan stworzysz...? — zapytał du Chatelet.

— Zapowiadać takie twory — odparł Lucjan — czyż nie znaczy dawać sobie dekret geniuszu? Zresztą. tego rodzaju poczynania wymagają długiej znajomości świata, studium namiętności i interesów. studium, którego nie mogłem jeszcze dokonać; ale zaczynam! — rzekł z goryczą, rzucając spojrzenie nabrzmiałe odwetem po tym kręgu. — Mózg nosi swój plód długo...

— Poród będzie mozolny — wtrącił pan du Hautoy.

— Pańska nieoszaczowana matka przyjdzie panu z pomocą — rzekł biskup.

To tak zręcznie przygotowane słówko, ta wyczekiwana zemsta zapaliła we wszystkich oczach błysk radości. Po wszystkich ustach przebiegł uśmiezek arystokratycznego zadowolenia, podkreślony przez tępotę pana de Bargeton, który po dobrej chwili zaczął się głośno śmiać.

— Wasza Wielebność jest trochę zbyt dowcipny dla nas w tej chwili, te panie nie rozumieją Waszej Eminencji — rzekła pani de Bargeton, która tym jednym słowem sparaliżowała śmieszki i ściągnęła na siebie zdumione spojrzenia. — Poeta, który czerpie wszystkie natchnienia w Biblii, posiada w Kościele prawdziwą matkę. Panie de Rubempre, zechciej nam powiedzieć „Świętego Jana na Patmos” albo „Ucztę Baltazara”, aby pokazać Eminencji, że Rzym jest zawsze *Magna parens* Wergiliusza²⁷.

Kobiety wymieniły uśmiešky słysząc w ustach Nais łacińskie wyrazy.

W zaraniu życia najdzielniejsi ludzie nie są wolni od chwil omdlenia. Cios ten zepchnął od razu Lucjana na dno otchłani, ale tupnął o nie nogą i wypłynął na powierzchnię, przysięgając sobie, iż zapanuje nad tym światem. Jak byk skłuty tysiącem strzał, *podniósł* się wściekły i posłuszny głosowi Luizy, miał wygłosić „Świętego Jana na Patmos”, ale po największej części zielone stoliki znęciły już partnerów; ciągnęli do kieratu swoich przyzwyczajęń znajdując w nich przyjemność, której nie dała im poezja. Przy TYM zemsta za tyle podrażnionych ambicji nie byłaby zupełna bez owej biernej wzgardy, którą okazano rodzimej poezji opuszczając Lucjana i panią de Bargeton.

Każdy okazał się nagle bardzo zajęty: ten wdał się w rozmowę z prefektem o drodze powiatowej: ta poddała, aby urozmaicić wieczór trochę muzyki. Śmietanka miejscowa, czując się lichym sędzią w rzeczach poezji, była przede wszystkim ciekawa opinii Rastignaków i Pimentelów i skupiła się dokoła nich. Przemożny wpływ, jaki te dwie rodziny wywierały w całym departamencie, objawiał się zwłaszcza w wielkich okolicznościach; każdy zazdrościł im i zabiegał o nie, każdy bowiem przewidywał, że może potrzebować ich poparcia.

— Jak pani znajduje poetę i poezję? — spytał Jakub margrabiny, u której często polował.

— Och, jak na wiersze pisane na prowincji — rzekła z uśmiechem — wcale nieźle; zresztą tak ładny poeta nie może nic robić źle.

Wyrok wydał się wszystkim czarujący; zaczęli go obnosić przypisując mu więcej złośliwości, niż to leżało w intencjach margrabiny. Za czym uproszono pana du Chatelet o zaakompaniowanie panu de Bartas, który zmasakrował wielką arię Figara. Z chwilą gdy raz otwarły się wrota dla muzyki, trzeba było wysłuchać romancy rycerskiej napisanej za Cesarstwa przez Chateaubrianda, a odśpiewanej przez pana du Chatelet. Następnie przyszły

²⁷ Magna parens (łac.) – wielka rodzicielka: tak nazywa Rzym w swych „Georgikach” poeta łaciński Wergiliusz (70-19 p.n.e.).

„kawałki” młodych dziewczątek na cztery ręce, na żądanie pani du Brossard, która chciała błysnąć talentem Kamilli przed panem de Severac.

Pani de Bargeton, zraniona lekceważeniem, jakie okazywano jej poecie, oddała wzgardę za wzgardę, usuwając się do buduaru na czas, przez który muzykowano. Za nią podążył biskup. Wielki wikariusz wytłumaczył Eminencji głęboką ironię Jej mimowolnego epigramu; biskup pragnął go tedy naprawić. Panna de Rastignac, którą poezja rozmarzyła, wsunęła się do buduaru nie postrzeżona przez matkę. Siadając na kanapie, na którą pociągnęła Lucjana, Luiza mogła, nie słyszana i nie widziana przez nikogo, szepnąć mu do ucha:

— Drogi aniele, nie zrozumieli cię! ale

Słodkie są twoje wiersze, powtarzam je rada...

Lucjan, pocieszony pochlebstwem, zapomniał na chwilę swoich cierpień.

— Nie ma sławy tanio nabytej — rzekła pani de Bargeton ujmując go za rękę i ściskając ją. — Cierp, cierp, drogi mój; będziesz wielki, cierpienia są ceną twojej nieśmiertelności. Rada byłabym umieć znosić wysiłki walki! Niech cię Bóg strzeże od życia martwego i bez bojów, gdzie orle skrzydła nie znajdują dosyć przestrzeni! Zazdroszczę ci twoich cierpień: ty przynajmniej żyjesz! Rozwiniesz siły, możesz żyć nadzieją zwycięstwa! Walka, która de czeka, będzie chlubną. Kiedy dosięgniesz królewskiej sfery, w której błyszczą wielkie inteligencje, wspomnij sobie biedne istoty wydziedziczone przez los, których dusza dławi się pod uciskiem moralnego azotu i które giną mając świadomość, czym jest życie, a nie mogąc żyć, które mają oczy zdolne do jasnego widzenia, a nic nie widziały, które posiadały delikatne powonienie, a nic nie czuły prócz zapowietrzonych kwiatów. Wyśpiewaj wówczas losy rośliny, która usycha w głębi lasu, zduszona przez liany, przez rośliny łakome, bujne, nie upieszczona nigdy przez słońce, i która umiera nie zakwitnawszy nigdy! Nie byłaby to poemat pełen straszliwej melancholii, temat wręcz fantastyczny? Cóż za cudowna kompozycja, taki obraz młodej dziewczyny zrodzonej pod niebem Azji albo jakiej córki pustyni przeniesionej w zimny kraj Zachodu, wzywającej swoje ukochane słońce, umierającej z niezrozumiałego cierpienia, dławionej zarówno chłodem, jak miłością! Byłby to obraz wielu istnień.

— Odmalujesz w nim duszę, która zachowała pamięć nieba — rzekł biskup. — Poemat taki musiał niegdyś powstać, skłonny jestem widzieć jego fragment w „Pieśni nad Pieśniami”.

— Niech pan to napisze — rzekła Laura de Rastignac wyrażając naiwną wiarę w geniusz, Lucjana.

— Brakuje Francji wielkiego świętego poematu — rzekł biskup. — Wierź mi, chwała i fortuna staną się udziałem człowieka z talentem, który zechce pracować dla religii.

— On to podejmie, Wasza Wielebność — rzekła pani de Bargeton z emfazą. — Czy Eminencja nie widzi idei żarzącej się już niby blask jutrzeński w jego oczach?

— Nais poczyną sobie z nami dość szczególnie — rzekła Fifi. — Co ona robi?

— Nie widzisz? Harcuje oklep na wielkich słowach bez sensu.

Amelia, Fifi, Adrian i Franio ukazali się w drzwiach buduaru, towarzysząc pani de Rastignac, która szukała córki gotując się do odjazdu, — Nais — rzekły obie panie, zachwycone, iż mogą zakłócić buduarowe aparté — byłabyś bardzo uprzejma, gdybyś chciała zagrać jakiś kawałek.

— Moje drogie dziecko — odparła pani de Bargeton — pan de Rubempre powie nam swego „Świętego Jana na Patmos”, wspaniały poemat biblijny.

— Biblijny! — powtórzyła Fifi ze zdumieniem. Amelia i Fifi wróciły do salonu unosząc to słowo jako nowy żer dla drwinek. Lucjan wymówił się od deklamacji tłumacząc się brakiem pamięci. Kiedy się znów pojawił w salonie, nie budził już żadnego zainteresowa-

nia; każdy zajęty był rozmową lub grą. Poeta zbył się JUŻ wszystkich promieni; właściciele ziemscy nie widzieli w nim nic; ludzie z pretensjami obawiali się go jako elementu niebezpiecznego dla ich ignorancji: kobiety, zazdrosne o panią de Bargeton, Beatrycę tego nowego Danta, wedle wyrażenia generalnego wikariusza, rzucały mu zimne i wzgardliwe spojrzenia.

— Oto świat! — powtarzał sobie Lucjan wracając do Houmeau okreśnionymi drogami; są bowiem chwile w życiu, w których człowiek chętnie obiera najdalszą drogę, aby przedłużyć bieg myśli, w których łonie i z których falą chce płynąć.

Zamiast podciąć w nim odwagę, wściekłość odrzuconej ambicji, dawała Lucjanowi nową energię. Jak wszyscy ludzie pociągnięci instynktem w podniosłą sferę, w którą weszli, zanim mają siłę się w niej utrzymać, obiecywał sobie wszystko poświęcić, byle pozostać w arystokratycznym świecie. Idąc rozbierał kolejno zatrute strzały, którymi go ugodzono: mówił głośno sam do siebie, miażdżył głupców, z którymi miał do czynienia; znajdował cięte odpowiedzi na ich głupie pytania i wściekał się, że dowcip przychodzi mu tak poniewczasie. Skoro zbliżył się do gościńca ku Bordeaux, wijącego się u stóp góry i ocierającego się o brzegi Charenty, zdało mu się, iż w świetle księżyca spostrzega Ewę i Dawida siedzących na pniu nad rzeką, opodal fabryki; zszedł ku nim małą ścieżynką.

Podczas gdy Lucjan biegł po swoje udręczenia do pani de Bargeton, siostra włożyła perkalową suknię w drobne paseczki, słomkowy kapelusz, lekki jedwabny szal: ubiór prosty, ale który robił wrażenie strojności, jak bywa u osób, których naturalny wykwint podnosi najmniejsze przybory. Toteż kiedy porzucała strój robotnicy, Ewa nadzwyczaj onieśmielała Dawida. Mimo iż drukarz zdecydowany był mówić o swej sprawie, kiedy podał rękę pięknej Ewie, aby ją prowadzić przez Houmeau, niezdolny był wykrztusić słowa. Miłość lubuje się w owych pełnych czci onieśmieleniach, podobnych uczuciu, jakie wspaniałość Boga budzi w wiernych. Młoda para kroczyła w milczeniu ku mostowi, aby się dostać na lewy brzeg Charenty. Ewa, którą milczenie to wprawiło w zakłopotanie, zatrzymała się w połowie mostu, aby popatrzeć na wodę. Od tego punktu aż do miejsca, gdzie budowano prochownię, rzeka tworzy niby długą łąkę, na której zachodzące słońce kładło w tej chwili radosne smugi.

— Ładny wieczór! — rzekła szukając tematu. — Powietrze ciepłe a świeże, kwiaty pachną, niebo wspaniałe.

— Wszystko przemawia do serca — odparł Dawid próbując dopłynąć do swej miłości przez analogię. — Jakąż rozkoszą dla kochających ludzi jest odnajdywać w szczegółach krajobrazu, w przejrzystości powietrza, zapachu ziemi poezję, którą mają w duszy. Natura mówi za nich.

— I rozwiązuje im język — rzekła Ewa śmiejąc się. — Był pan bardzo milczący, kiedyśmy szli przez Houmeau. Wie pan, że czułam się zakłopotana!...

— Była pani tak piękna, że oniemiałem z podziwu! — odparł naiwnie Dawid.

— Jestem więc mniej piękna w tej chwili? — spytała.

— Nie, ale czuję się tak szczęśliwy, iż przechadzamy się tak we dwoje, że...

Zatrzymał się zakłopotany, tocząc wzrok po wzgórzach, po których zbiega droga do Saintes.

— Jeśli pan znajduje jakąś przyjemność w tej przechadzce, cieszy mnie to niezmiernie; czuję się w obowiązku odpłacić panu wieczór, który pan dla mnie poświęcił. Odmawiając pójścia do pani de Bargeton, był pan równie szlachetny jak Lucjan, gdy narażał się na jej gniew swą prośbą.

— Nie szlachetny, ale rozsądny — odparł Dawid. — Skoro jesteśmy sami pod tym niebem, bez innych świadków prócz trzin i krzaków okalających Charentę, pozwól mi, droga panno Ewo, abym ci się zwierzył z niepokoju, jaki budzi we mnie obecne życie Lucjana. Po tym, co mu powiedziałem, obawy moje wydadzą się pani z pewnością przeculeniem

przyjaźni. Ty, panno Ewo, i twoja matka uczyniłyście wszystko, aby go wynieść wyżej jego stanu; ale podsycając jego ambicję, czyście go nie pchnęły niebacznie na drogę wielkich cierpień? W jaki sposób zdoła się utrzymać w świecie, w który ciągną go upodobania? Znam go! Należy on do natur lubiących zbiory bez pracy. Obowiązki towarzyskie pochłoną mu czas, a czas to jedyny kapitał ludzi, którzy mają za cały majątek swą inteligencję; lubi błyszczeć, świat będzie drażnił jego pragnienia, których żadna suma nie zdoła zaspokoić, będzie wydawał pieniądze zamiast zarabiać. Wreszcie przyzwyczaiłyście go do wielkiego rozumienia o sobie; ale nim świat uzna jakąś wyższość, żąda wprzód świetnych rezultatów. Otóż triumfy literackie zdobywa się jedynie w samotności, wytrwałą pracą. Co da pani de Bargeton twemu bratu w zamian za tyle dni spędzonych u jej stóp? Lucjan jest zbyt dumny, aby przyjąć jej pomoc, a my wiemy, że jest zbyt ubogi, aby nadal przebywać w otoczeniu, które jest dlań podwójnie rujnujące. Wcześniej czy później, ta kobieta rzuci Lucjana zabiwszy w nim miłość pracy, rozwiniawszy skłonność do zbytku, lekceważenie naszego skromnego żyda, *smaak* rozrywek, żylkę próżniactwa, tej rozpusty poetycznych dusz. Tak, drżę o to, aby ta wielka pani nie uczyniła sobie zabawki z Lucjana; albo kocha szczerze i doprowadzi go do zapomnienia wszystkiego, albo nie kocha i unieszczęśliwi go, bo on za nią szaleje.

— Mrozi mi pan serce — rzekła Ewa zatrzymując się przy barierze nad Charentą. — Ale póki matka będzie miała siłę wykonywać swe uciążliwe rzemiosło, póki ja będę żyła, owoce naszej pracy starczą może na wydatki Lucjana i pozwolą mu czekać chwili, w której zacznie się jego dobra dola. Nigdy nie braknie mi sił; myśl, że się pracuje dla ukochanej istoty — rzekła Ewa z zapalem — odejmuje pracy całą gorycz i wszystkie jej przykrości. Czuję się szczęśliwa myśląc, dla kogo zadaję sobie tyle męki, jeżeli w ogóle to jest męka. Tak, nie obawiaj się pan, zarobimy tyle, ile trzeba, aby Lucjan mógł bywać w wielkim świecie. Tam jego los.

— Tam także jego zguba — odparł Dawid. — Posłuchaj mnie, droga Ewo. Powolne tworzenie genialnych dzieł wymaga znacznej, już gotowej fortuny albo też szczytnej abnegacji ubóstwa. Wierzaj! Lucjan ma taki wstręt do braków i nędzy, z taką rozkoszą wdycha w siebie woń uczt świata, kadzidło powodzenia, jego miłość własna tak rozrosła się w buduarze

pani de Bargeton, iż raczej pokusi się o wszystko, niżby miał zstąpić z tych wyżyn; owoce zaś waszej pracy nigdy nie zdołają nastarczyć jego potrzebom.

— Więc i pan jesteś fałszywym przyjacielem! — wykrzyknęła Ewa, zrozpaczona. — Inaczej nie odbierałbyś nam odwagi w ten sposób.

— Ewo! Ewo! — odparł Dawid — chciałbym być bratem Lucjana. Ty jedna możesz mi dać ten tytuł, który pozwoliłby mu wszystko przyjąć ode mnie, który dałby mi prawo poświęcenia mu się z tą świętą miłością, jaką ty wnosisz w swoje poświęcenia, ale z rozwagą opartą na rachunku. Ewo, drogie, ukochane dziecko, spraw, aby Lucjan zyskał skarb, w którym mógłby czerpać bez wstydu! Sakiewka brata czyż nie będzie jego własną? Gdybyś знаła wszystkie refleksje, które mi nasunęła nowa pozycja Lucjana! Jeśli chce bywać u pani de Bargeton, biedny chłopiec nie może być dłużej moim protehem, nie może nadal mieszkać w Houmeau, ty nie powinnaś być robotnicą, matka nie powinna wykonywać swego rzemiosła. Gdybyś zgodziła się zostać mą żoną, ułożyłoby się wszystko: Lucjan mógłby mieszkać u mnie na pięttrze, tymczasem zaś wybudowałbym mu mieszkanko nad oficyną, o ile by ojciec nie zechciał wystawić drugiego piętra. Urządzilibyśmy mu w ten sposób życie bez trosk, niezależne. Pragnienie pomożenia Lucjanowi doda mi chęci z bogacenia się, jakiej bym nie miał, gdyby chodziło tylko o mnie; ale od ciebie zależy dać mi prawo do tego poświęcenia. Może kiedyś uda się do Paryża, jedynej widowni, na jakiej może zabłysnąć i gdzie talenty jego znajdą ocenę i nagrodę. Życie w Paryżu jest drogie: nie będzie nadto nas trojga, aby go tam wspomagać. Zresztą i tobie, i twojej matce czy nie będzie potrzeba

oparcia? Droga Ewo, oddaj mi rękę przez miłość dla Lucjana. Później pokochasz mnie może widząc wysiłki, jakie czynię, aby mu pomóc i aby ciebie uczynić szczęśliwą. Jesteśmy oboje ludźmi skromnych upodobań, starczy nam niewiele; szczęście Lucjana będzie naszym wielkim celem, a jego serce będzie skarbonką, w którą włożymy nasze mienie, uczucia, wzruszenia, wszystko!

— Względy świata rozdzielają nas — rzekła Ewa wzruszona tym, jak wielka miłość czyni ją małą. — Pan jest bogaty, a ja biedna. Trzeba bardzo kochać, aby zamknąć oczy na trudności tego rodzaju.

— Nie kochasz mnie więc jeszcze dosyć? — wykrzyknął Dawid, zrozpaczony,

— Ojciec pański sprzeciwiłby się może...

— Dobrze, dobrze — odparł Dawid — jeżeli chodzi tylko o zgodę ojca, będziesz moją żoną. Ewo, droga Ewo, uczyniłaś mi życie bardzo lekkim od tej chwili. Miałem, ach! serce bardzo ciężkie brzemieniem uczuć, których nie mogłem ani nie umiałem wyrazić. Powiedz tylko, że kochasz trochę, a znajdę odwagę, by mówić o reszcie.

— W istocie — rzekła — zniewala mnie pan. abym musiała się wstydzić, ale skoro mówimy szczerze, powiem, iż nigdy w życiu moim nie myślałam o innym niż o panu. Wiedziałam w panu jednego z owych ludzi, z których uczucia kobieta może czuć się dumną. i nie śmiałam marzyć dla siebie, biednej robotnicy bez przyszłości, o tak wielkim losie.

— Dosyć, dosyć — rzekł przysiadając na barierze. do której wrócili, chodzili bowiem tam i z powrotem jak szaleńcy, przebiegając wciąż tę samą drogę.

— Co panu? — rzekła dając po raz pierwszy wyraz owemu uroczemu niepokojowi, jakiego kobiety doświadczają o istotę będącą ich własnością.

— Samo dobre — odparł. — Widząc przed sobą szczęście całego życia, umysł jest jakby olśniony, dusza nie może ochłónąć. Czemu ja jestem bardziej szczęśliwy? — rzekł z wyrazem melancholii. — Ale wiem.

Ewa spojrzała na Dawida z zalotną i pytającą minką, która żądała wyjaśnienia.

— Droga Ewo, otrzymuję więcej, niż daję. Dlatego będę cię kochał zawsze lepiej niż ty mnie, mam bowiem więcej przyczyn kochać ciebie; ty jesteś aniołem, ja człowiekiem.

— Nie umiem tak ładnie mówić — odparła Ewa z uśmiechem. — Kocham pana z serca...

— Tyle co Lucjana? — przerwał.

— Dość, aby zostać twą żoną, aby poświęcić się tobie i starać się nie sprawić ci żadnej przykrości w życiu, z początku nieco trudnym, jakie nas czeka.

— Czy spostrzegłaś, droga Ewo, że pokochałem cię od pierwszego dnia; kiedy cię ujrzałem?

— Któż kobieta nie czuje, że jest kochaną? — spytała.

— Pozwól mi rozproszyc skrupuły, jakie w tobie budzi mój rzekomy majątek. Jestem biedny, droga Ewo. Tak, ojciec uczynił sobie przyjemność z tego, aby mnie zrujnować; uczynił przedmiot spekulacji z mej pracy; zrobił tak jak wielu mniemanych dobroczyńców z obdarowywanymi. Jeśli stanę się bogaty, to dzięki tobie. To nie jest frazes zakochanego, ale refleksja myślącego człowieka. Muszę d. wyjaśnić moje wady, a są one ogromne jak dla kogoś, kto ma stworzyć swój los. Charakter mój, nawyki, zajęcia, które mi się podobają, czynią mnie niezdatnym do wszystkiego, co jest handlem i spekulacją, a jedynie chwycenie się jakiegoś przemysłu może nam dać bogactwo. Jestem może zdolny odkryć kopalnię złota, ale osobiście niezręczny do eksploataowania jej. Ale ty, która przez miłość dla brata zniżyłaś się do najdrobniejszych szczegółów, która masz geniusz oszczędności. cierpliwą zdolność czekania, tak cenną dla prawdziwego przemysłowca, ty zbierzesz ziarno, które ja posieję. Nasze położenie (od dawna wszak czuję się członkiem waszej rodziny) trapi mnie tak bardzo, iż trawiłem dnie i noce na szukaniu drogi do majątku. Znaj-

mość chemii i obserwacja potrzeb handlu naprowadziły mnie na drogę zyskownego odkrycia. Nie mogę ci jeszcze nic powiedzieć, przewiduję zbyt powolną drogę. Będziemy cierpieć, może kilka lat; ale w końcu uda mi się odkryć metody techniczne, na których tropie nie jestem ja sam; jeśli dojdę do celu pierwszy, staniemy się panami wielkiego majątku. Nie powiedziałem nic Lucjanowi, jego gorące usposobienie zepsułoby wszystko; przekształciłby moje nadzieje w rzeczywistość, żyłby jak wielki pan, zadłużyłby się może. Dlatego zachowaj sekret. Twoje słodkie i drogie towarzystwo samo jedno zdoła mi być pociechą w ciągu tych długich prób, tak jak pragnienie uczynienia cię bogatą, ciebie i Lucjana, doda mi wytrwałości i hartu...

— Odgadłam również — rzekła Ewa przerywając — że jesteś jednym z owych wynalazców, którym trzeba, jak memu biednemu ojcu, kobiety zdolnej opiekować się nimi.

— Kochasz mnie tedy! Och, powiedz bez obawy, mnie, który w imieniu twoim widziałem symbol twojej miłości. Ewa była jedyną kobietą istniejącą na świecie i to, co było materialnie prawdą dla Adama, moralnie stało się nią dla mnie. Mój Boże! Kochasz mnie?

— Tak — rzekła przedłużając tę prostą sylabę, sposobem, w jaki ją wymówiła, jakby chcąc odmalować rozciągłość swego uczucia.

— Dobrze więc, siądźmy — rzekł prowadząc Ewę za rękę ku długim balom drzewa, które się tam znajdowały poniżej kół papierni. — Pozwól mi oddychać powietrzem wieczoru, wsłuchiwać się w nawoływania ptasząt, podziwiać promienie księżyca odbijające się w wodzie; pozwól mi napawać się tą naturą, w której każdym szczegółem widzę wypisane swoje szczęście i która ukazuje mi się pierwszy raz w swoim przepychu, oświetlona miłością, upiękaszona przez ciebie. Ewo, ukochana moja, oto pierwsza chwila niezmaconej radości, jaką los mi dał w życiu! Wątpię, aby Lucjan był kiedy tak szczęśliwy, jak ja w tej chwili. Czując wilgotną i drżącą w jego dłoni rękę Ewy, Dawid uronił na nią łzę.

— Nie mogę wiedzieć sekretu?... — rzekła Ewa pieszczotliwym głosem.

— Masz nawet prawo do tego, gdyż ojciec twój zajmował się tą kwestią, która niebawem stanie się poważną. Oto czemu: upadek Cesarstwa przyczyni się do rozpowszechnienia płócien bawełnianych z przyczyny taniości tej materii w stosunku do płótna lnianego. W tej chwili papier robią jeszcze ze szmat konopnych i lnianych, ale ten produkt jest drogi, a koszt jego opóźnia olbrzymi rozwój, do jakiego siłą *rzeczy* idzie prasa francuska. Otóż nie można zwiększyć produkcji gałganów. Gałgany są rezultatem zużycia bielizny, ludność danego kraju dostarcza tylko ograniczoną ich ilość, a ilość może się wzmoczyć jedynie przez przyrost urodzeń. Aby osiągnąć widoczną różnicę przyrostu ludności, kraj potrzebuje ćwierć wieku i wielkich przeobrażeń obyczajów, handlu i rolnictwa. Jeżeli zatem potrzeby naszych papierni przerosną ilość gałganów dostarczanych przez Francję, czy to w stosunku podwójnym, czy potrójnym, trzeba będzie dla utrzymania papieru w niskiej cenie wprowadzić w jego wyrób inny czynnik. To rozumowanie opiera się na fakcie, na który patrzymy własnymi oczami. Papiernie tutejsze, ostatnie, w których będzie się wyrabiało papier ze szmat nicianych, widzą, jak bawełna zalewa masę w stosunku wprost zastraszającym.

Na zapytanie młodej robotnicy, która nie wiedziała, co znaczy masa, Dawid udzielił jej w kwestii papiernictwa nieco wyjaśnień. Nie będą one może na miejscu w dziele, które swoje materialne istnienie zawdzięcza zarówno papierowi, jak tłoczni drukarskiej, ale ten długi nawias między zakochaną parą zyska może, jeśli się go po prostu streści.

Papier, wynalazek nie mniej cudowny od druku, któremu służy za podstawę, istniał od dawna w Chinach; stamtąd podziemnymi chodnikami handlu dotarł do Azji Mniejszej, gdzie, wedle tradycji, około r. 750 posługiwano się papierem z bawełny zmielonej i rozgotowanej na masę. Potrzeba zastąpienia pergaminu, który był niezmiernie kosztowny, doprowadziła przez naśladownictwo papieru bombajskiego (nazwa bawełnianego papieru na Wschodzie) do wynalazku papieru szmacianego; jedni twierdzą, iż dokonali tego w Bazyli w r. 1170 jacyś zbiegowie greccy, drudzy utrzymują, iż pierwszy osiągnął to w Padwie,

w r. 1301, Włoch imieniem Pax. Papier ów doskonalił się powoli i bez rozgłosu; ale pewne jest, iż JUŻ za Karola VI wyrabiano w Paryżu z masy papierowej karty do gry. Kiedy nieśmiertelni Faust, Coster i Gutenberg wynaleźli KSIAŻKĘ, rękodzielnicy nieznani, jak tytu wielkich artystów owej epoki, zastosowali piernictwo do potrzeb sztuki drukarskiej. W owym XV wieku, tak tęgim a tak naiwnym, nazwy rozmaitych formatów papieru, tak samo jak nazwy dawane czcionkom, noszą piętno naiwności epoki. Jakoż mamy rozmaite nazwy papieru: Raisin, Jesus, Colombier, Papier Pot, Ecu, Coquille, Couronne, a wywodzą się one od winnego grona, wizerunku Zbawiciela, gołębnika, garnka, tarczy, muszli czy wieńca, słowem znaku wodnego, który tłoczono pośrodku arkusza — tak samo jak później, za Napoleona, umieszczano tam orła: stąd papier zwany Grand-aigle. Podobnie nazywano czcionki: cycero, Saint-Augustin, kanon — od książek liturgicznych, dzieł teologicznych i traktatów Cycerona, którymi to charakterami drukowano rzeczne pisma. Italikę wynalazł Aldo Mancjusz, weneccjanin — i stąd jej miano. Przed wynalazkiem papieru fabrycznego, o nieograniczonej długości, największe formaty były: Wielki Jezus lub Wielki Colombier; ten służył jedynie do atlasów albo rycin. W istocie rozmiary papieru drukarskiego zastosowane były do rozmiarów marmurowej płyty w prasie. W chwili gdy rozgrywa się ta historia, istnienie papieru ciągłego wydawało się chimerą we Francji, mimo że już Dionizy Robert d'Essonne, około r. 1799, wynalazł do tego celu maszynę, którą później Didot-Saint-Leger próbował udoskonalić. Papier welinowy, wynaleziony przez Ambrożego Didot, datuje się od r. 1780. Ten pobieżny rzut oka wykazuje niezbicie, że wszystkie te wielkie zdobycze przemysłu i inteligencji powstawały niezmiernie powoli, drogą niedostrzegalnego rozwoju, zupełnie tak jak postępuje przyroda. Aby dojść do swej doskonałości, pismo, a może i mowa, potrzebowały tego samego szukania po omacku, co typografia i piernictwo.

— Gałganiarze zbierają w całej Europie szmaty, starą bieliznę i kupują szczątki wszelkich tkanin — rzeki drukarz kończąc wykład. — Te szczątki przebrane i posortowane gromadzą się u handlarzy szmat, hurtowników, którzy zaopatrują piernie. Aby dać pani wyobrażenie o tym przemyśle, powiem, że w roku 1814 bankier Cardon, właściciel pierni w Buges i w Langlee, gdzie Leorier de l'Isle usiłował od roku 1776 rozwiązać problem, który pochłaniał pani ojca, procesował się z niejakim Proustem — chodziło zaś o pomyłkę wynikłą przy wadze gałganów, w rachunku, który opiewał na dziesięć milionów liwów, to jest około czterech milionów dzisiejszych franków. Fabrykant płucze szmaty i osiąga z nich jasny wywar, który się cedzi (zupełnie tak samo, jak kucharka cedzi sos przez sito) przez żelazne krosna zwane formą, której wewnątrz wyłożone jest metalową plecionką mającą pośrodku znak wodny: od niego to właśnie pochodzi nazwa papieru. Od wielkości formy zależy tedy wielkość papieru. W epoce, gdy byłem u Didotów, zajmowano się już tą kwestią i zajmują się nią dziś jeszcze: udoskonalenie, którego szukał twój ojciec, jest jedną z najbardziej palących dzisiejszych konieczności. Oto czemu. Trwałość płótna w porównaniu z trwałością bawełny czyni w rezultacie nić lnianą tańszą od bawełnianej; mimo to, ponieważ większość klientów to są biedacy, dla których zawsze odgrywa rolę doraźna suma, wolą dać mniej niż więcej i w imię zasady *Vae victis!* ponoszą olbrzymie straty. Klasa mieszczańska czyni tak jak biedni. Toteż szmat płóciennych brakuje. W Anglii, gdzie bawełna zastąpiła płótno u czterech piątych ludności, fabrykują już tylko papier bawełniany. Papier ten, który ma przede wszystkim tę wadę, iż przeciera się i łamie, rozpuszcza się w wodzie tak łatwo, iż książka z bawełnianego papieru zmieniałaby się po kwadransie moczenia w papkę, gdy stara książka nie zniszczyłaby się nawet zanurzona na dwie godziny. Starą książkę dałoby się wysuszyć i mimo iż pożółkłaby i zbladła, czcionki byłyby jeszcze czytelne, dzieło nie uległoby zniweczeniu. Zbliżamy się do czasu, w którym, wobec zmniejszenia majątków przez ich wyrównanie, wszystko zubożeje; będziemy chcieli bielizny i książek tanich, jak dziś żąda się małych obrazów z braku miejsca na du-

że. Koszule i książki staną się mniej trwale, to wszystko. Rzetelność wytworów zanika na całej linii. Problem, jaki się nastęrcza, jest najwyższej wagi dla piśmiennictwa, nauki i polityki. Toczyła się też kiedyś w moim gabinecie żywa dyskusja nad ingrediencjami, jakimi posługują się Chiny przy wyrobie papieru. Tam, dzięki gatunkowi surowca, papiernictwo od samego początku osiągnęło niedoścignioną dla nas doskonałość. Zajmowano się wówczas wiele papierem chińskim, który przez swą lekkość i delikatność stoi o wiele wyżej od naszego, gdyż te cenne własności nie umniejszają jego mocy i nawet przy największej cienkości nie jest nic a nic przeźroczysty. Pewien bardzo wykształcony korektor (w Paryżu spotyka się uczonych pośród korektorów: Fourier i Piotr Leroux są w tej chwili korektorami u Lachevardiere'a!)... zatem hrabia de Saint-Simon, wówczas korektor, zaszedł do nas w pełni dyskusji. Powiedział nam, iż wedle Kempfera i du Halde'a podstawę papieru u Chińczyków stanowi *brussonatia*, produkt czysto roślinny, jak nasze. Inny korektor twierdził, że papier chiński fabrykują głównie z materii zwierzęcej, z jedwabiu, tak obfitego w Chinach. Uczyniono zakład. Ponieważ Didotowie są drukarzami Instytutu, poddano oczywiście spór członkom tego uczonego zgromadzenia. Pan Marcel, eks-dyrektor Drukarni Cesarskiej, ustanowiony sędzią, odesłał obu korektorów do księdza Grozier, bibliotekarza w Arsenale. Wedle księdza Grozier, obaj korektorzy przegrali zakład: papieru chińskiego nie robią ani z jedwabiu, ani z *brussonatia*; miazga jego pochodzi z utartych na proch włókien bambusowych. Ksiądz Grozier posiadał książkę chińską, zarazem monografię i dzieło technologiczne, gdzie znajdowały się liczne ryciny przedstawiające fabrykację papieru we wszystkich fazach, i pokazał nam łodygi bambusa wymalowane w całych pękach w kącie wspaniale narysowanej fabryki papieru. Kiedy Lucjan powiedział mi, że ojciec wasz, drogą jakiejś intuicji właściwej ludziom genialnym, przeczuł sposób zastąpienia szczątków białizny za pomocą nader pospolitego materiału czerpanego wprost z ziemi (tak jak Chińczycy posługują się włóknistymi łodygami), rozpatrzyłem wszystkie próby dokonane przez poprzedników i przystąpiłem do badania kwestii. Bambus jest trziną, naturalną tedy drogą pomyślałem o trzinach krajowych. Cena pracy ręcznej nie odgrywa w Chinach żadnej roli, dzień pracy kosztuje tam trzy su, toteż Chińczycy mogą po wyjęciu z formy rozciągać swój papier, arkusz po arkuszu, między dwiema rozgrzanymi płytami z białej porcelany, za pomocą których prasują go i dają mu ów blask, trwałość, lekkość, ową miękkość atłasu, które czynią zeń pierwszy papier w świecie. Otóż trzeba zastąpić sposoby Chińczyków jakąś maszyną. Za pomocą maszyn można rozwiązać problem taniości, którą daje Chińczykom niska cena pracy ręcznej. Gdybyśmy zdołali wyrabiać tanio papier o własnościach takich jak papier chiński, zmniejszylibyśmy przeszło o połowę wagę i grubość książek. Wolter oprawny, który na naszych welinach waży dwieście pięćdziesiąt funtów, nie ważyłby na papierze chińskim ani pięćdziesięciu. Niewątpliwa zdobycz. Miejsce potrzebne w bibliotekach będzie z pewnością kwestią coraz to trudniejszą w epoce, w której powszechne zmniejszenie rzeczy i ludzi dosięga wszystkiego, nawet mieszkań. W Paryżu wielkie pałace, wielkie apartamenta ulegną prędzej czy później zburzeniu; nie będzie fortun na miarę budowli naszych ojców. Jakież wstyd dla naszej epoki wyrabiać książki nietrwałe! Jeszcze dziesięć lat, a papier holenderski, to znaczy papier ze szmat płóciennych, będzie zupełnie niemożliwy. Otóż brat twój udzielił mi myśli, jaką miał wasz ojciec, aby użyć pewnych włóknistych roślin do fabrykacji papieru; widzisz tedy, iż jeśli mi się powiedzie, macie prawo do... W tej chwili Lucjan zbliżył się do siostry i przerwał szlachetną deklarację Dawida.

— Nie wiem — rzekł — czy wam się wydał ten wieczór ładny, ale dla mnie był okrutny.

— Mój biedny Lucjanie, cóż się stało? — rzekła Ewa zauważywszy wzburzenie na twarzy brata.

Podrażniony poeta opowiedział swoje męki, wylewając w przyjacielskie serca fale myśli, które go nurtowały. Ewa i Dawid słuchali w milczeniu, ze smutkiem patrząc na ten potok boleści, ujawniający tyleż wielkości, co małostek.

— Pan de Bargeton — kończył Lucjan — to starzec, który niebawem pożegna się ze światem sprzątnięty jakąś niestrawnością: wówczas zapanuję nad tą dumną kastą: zaślubię panią de Bargeton! Czytałem tego wieczora w jej oczach miłość równą mojej. Tak, ona odczuła moje rany; uśmierzyła me cierpienia: jest równie szlachetna i wielka, jak piękna i pełna uroku! Nie, ona mnie nie zdradzi nigdy!

— Czy nie jest pora, aby mu stworzyć spokojną egzystencję? — rzekł z cicha Dawid do Ewy.

Ewa przycisnęła w milczeniu ramię Dawida, który, zrozumiałwszy jej myśl, skwapliwie opowiedział Lucjanowi swoje plany. Zakochana para była tak pełna siebie samych, jak Lucjan siebie — tak iż Ewa i Dawid, żądni aprobaty własnego szczęścia, nie spostrzegli odruchu zdumienia, który się wymknął ulubieńcowi pani de Bargeton, skoro się dowiedział o zamierzonym małżeństwie siostry. Lucjan, który marzył o tym, aby znaleźć dla Ewy świetną partię, gdy sam dojdzie do wysokiej pozycji, i w ten sposób stworzyć szersze podstawy dla swej ambicji wiążąc się z jakąś potężną rodziną, z rozpaczą ujrzał w tym związku jedną przeszkodę więcej dla swych światowych sukcesów.

„Jeżeli pani de Bargeton zgodzi się zostać panią de Rubempre, nigdy nie zechce być bratową Dawida Sechard!” To zdanie zawierało jasną i ścisłą formułę myśli, które szarpały sercem Lucjana. „Luiza ma słuszość! Ludzie przyszłości nigdy nie znajdują zrozumienia w rodzinie” — pomyślał z goryczą.

Gdyby Lucjan otrzymał wiadomość o tym związku kiedy indziej niż w chwili, gdy w wyobraźni uśmiercił właśnie pana de Bargeton, byłby ją z pewnością przyjął z najżywszą radością. Zastanawiając się nad swym obecnym położeniem, nad losem dziewczyny pięknej a bez majątku, patrzyłby na to małżeństwo jak na nieoczekiwane szczęście. Ale on bujał właśnie w jednym z owych złotych snów, w których młodzi ludzie, dosiadłszy słówka „gdyby”, przeskakują wszystkie zapory. W tej chwili widział siebie panującego nad światem; jako prawdziwy poeta cierpiał, iż tak rychło trzeba mu się osunąć w rzeczywistość. Ewa i Dawid myśleli, iż brat milczy przygnieciony tą wspaniałomyślnością. Dla tych dwóch pięknych dusz milczące przyjęcie było świadectwem prawdziwej przyjaźni. Drukarz począł z łagodną i serdeczną wymową malować szczęście, jakie czeka wszystkich czworo. Mimo protestów Ewy umeblował pierwsze piętorko z przepychem zakochanego; wybudował z naiwną dobrą wiarą drugie dla Lucjana, a dla pani Chardon, wobec której chciał rozwinąć wszelkie synowskie starania, przerobił poddasze nad oficyną. W końcu uczynił rodzinę tak szczęśliwą i brata swego tak niezależnym, iż Lucjan, oczarowany głosem Dawida i pieśzcotami Ewy, zapomniał, w cienistej alei nad spokojną i lśniącą Charentą, pod gwiaździstym sklepieniem i w atmosferze ciepłej nocy, o dotkliwej koronie z cierni, jaką społeczeństwo wtłoczyło mu na głowę. Pan de Rubempre ocenił wreszcie Dawida. Wrażliwość jego przeniosła go niebawem w czyste, pracowite i mieszczańskie życie, jakie wiódł wprzód; Dawid ukazał mu je piękniejsze jeszcze i wolne od trosk. Zgiełk arystokratycznego świata oddalał się coraz bardziej. Wreszcie, kiedy wstąpili na bruk Houmeau, ambitny młodzieniec uściśnął rękę brata i do- stroił się do szczęśliwej pary kochanków.

— Byle tylko twój ojciec się nie sprzeciwiał — rzekł do Dawida.

— Wiesz dobrze, ile on troszczy się o mnie! Żyje

sobie na własną rękę; ale pójdę go jutro odwiedzić w Marsac, choćby po to, aby użyć skać przebudowy, które nam są potrzebne.

Dawid odprowadził rodzeństwo aż do mieszkania pani Chardon, którą poprosił o rękę Ewy z pośpiechem człowieka nie chcącego dopuścić możliwości odwłoki. Matka ujęła rękę

kę córki, włożyła ją z radością w rękę Dawida, ośmielony zaś kochanek pocałował w czoło piękną narzeczoną, która uśmiechnęła się doń zarumieniona.

— Oto zaręczyny biednych ludzi — rzekła matka wznosząc oczy, jakby dla uproszenia błogosławieństwa Boga. — Odważny jesteś, moje dziecko — rzekła do Dawida — jesteś pod znakiem nieszczęścia i lękam się, aby ono nie było zaraźliwe.

— Będziemy bogaci i szczęśliwi — rzekł poważnie Dawid. — Na początek poniecha pani rzemiosła pielęgniarstwa i zamieszka z córką i Lucjanem w Angouleme.

Troje młodych zaczęło na wyprzódki opowiadać zdumionej matce śliczny projekt, zapuszczając się w jedną z owych gawęd rodzinnych, w których zgarnia się zawczasu wszystkie zasiewy i kosztuje z góry wszystkich radości. Trzeba było Dawida wypędzić z domu przemocą; byłby pragnął, aby ten wieczór trwał wiecznie. Biła pierwsza, kiedy Lucjan odprowadzał przyszłego szwagra do bramy Palet. Zaczyna pan Postel, zaniepokojony niezwykle ruchem, przycupnął za oknem; otworzył żaluzje i mówił sobie, widząc o tej porze oświetlone okienko Ewy:

— Go się tam dzieje u tych Chardonów? Mów, chłopcze — rzekł widząc wracającego Lucjana — co się stało u was? Może byłbym na coś potrzebny?

— Nie, panie — odparł poeta — ale ponieważ jest pan przyjacielem rodziny, mogę powiedzieć, o co chodzi: matka oddała Dawidowi Sechard rękę Ewy.

Za całą odpowiedź Postel zamknął gwałtownie okno, w rozpaczy, iż nie oświadczył się o pannę Chardon.

Zamiast wrócić do Angouleme, Dawid skierował się do Marsac. Nie spiesząc się szedł przed siebie i właśnie w chwili gdy słońce wstawało, dotarł do ogródka okalającego dom. Kochanek ujrzał pod drzewem migdału głowę starego niedźwiedzia wznoszącą się nad żywopłotem.

— Dzień dobry, ojcie — rzekł Dawid.

— Jak to, to ty, mój chłopcze! Jakimż cudem znalazłeś się na gościńcu o tej porze? Chodźże tędy — rzekł winiarz wskazując furtkę. — Całe wino zakwitło cudownie, ani jeden szczepek nie przemarzł! Będzie więcej niż dwadzieścia beczek z morga tego roku: ale też ile nawozu!...

— Ojcie, pragnąłbym z tobą pomówić w ważnej sprawie.

— No i cóż, jakże nasze prasy? Musisz zarabiać góry złota?

— Będę zarabiał, ojcie, ale na tę chwilę nie jestem bogaty.

— Wszyscy powstają tu na mnie, że nawożę jak diabli — odparł ojciec. — Mieszczuchy, to znaczy pan margrabia, pan hrabia, pan taki i taki, utrzymują, że obniżam tym jakość wina. Na co zda się nauka? Żeby człowiekowi rozum zmącić! Posłuchaj! Ci panowie zbierają siedem, czasem osiem beczek z morga i sprzedają je po sześćdziesiąt franków, co daje najwyżej czterysta franków z morga w dobrym roku. Ja zbieram dwadzieścia beczek i sprzedaję je po trzydzieści franków, razem sześćset! Kto jest głupiec? Jakość! jakość! Cóż mnie obchodzi jakość, niech oni zachowają jakość dla siebie, panowie markizy. Dla mnie jakość to talary. Jak powiadasz?...

— Mój ojcie, żenię się, przychodzę prosić...

— Prosić? Och, nic a nic, mój chłopcze. Żeń się, owszem; ale żebym ci miał dać cośkolwiek... Jestem w tej chwili bez grosza. Wkłady zrujnowały mnie! Od dwóch lat wkładam i wkładam; do tego podatki, koszta wszelkiego rodzaju; rząd bierze wszystko, co najlepsze idzie w kieszeń rządu! Oto już dwa lata, jak biedni właściciele winnic nie mają nic. Ten rok przedstawia się nieźle i oto szelmy beczki już są po jedenaście franków! Pracuje się na bednarza. Po co ci się żenić przed winobraniami?...

— Ojcie, przychodzę prosić tylko o pozwolenie.

— Och, to... to inna inność! A z kimże to chcesz się żenić, jeżeli wolno spytać?

— Z panną Ewą Chardon.

— Cóż to takiego? Co to za nasienie?

— Córnka nieboszczyka pana Chardon, aptekarza z Houmeau.

— Ty żenisz się z dziewczyną z Houmeau. ty, obywatel, ty, drukarz królewski w Angouleme! Oto owoce edukacji! Oddawajże tu dzieci do szkół! Musi być tedy bardzo bogata, mój chłopcze — rzekł stary winiarz zbliżając się do syna z pieścizotliwym wyrazem — jeżeli się żenisz z dziewczyną z Houmeau, musi chyba tego być wypchana złotem! Dobrze! Zapłacisz mi zaległe czynsze. Wiesz, chłopcze, że to już dwa lata i kwartał, jak zalegasz: razem dwa tysiące siedemset franków, które by mi w samą porę spadły na zapłacenie bednarza. Od każdego innego miałbym prawo domagać się procentów: ostatecznie, interes interesem; ale tobie daruję je. No więc, cóż ona ma?

— Ma to, co miała moja matka.

Stary winiarz już miał wykrzyknąć: „Tylko dziesięć tysięcy!”, ale przypomniał sobie, iż odmówił był zdania rachunków synowi, i wykrzyknął:

— Nie ma nic!

— Majątek matki stanowiły jej rozsądek i uroda.

— Idźże z tym na targ, zobaczysz, co ci dadzą za ten towar! Kroćset diabłów, biedni są ci ojcowie ze swymi dziećmi! Dawidzie, kiedy ja się żeniłem, miałem za cały majątek czapkę na głowie i tych dziesięć palców; byłem biednym drapichrustem; ale ty, z piękną drukarnią, którą ci dałem, z twoim fachem i nauką, masz prawo zaślubić obywatelkę, kobietę z jakimi trzydziestoma, czterdziestoma tysiącami franków. Zostaw swoje miłostki, a ja cię już wyswatam! Mamy o milę stąd trzydziestoletnią wdowę, młynarkę: ma sto tysięcy franków w doskonałej ziemi, to coś dla ciebie! Możesz połączyć jej majątek z gruntami w Marsac; stykają się. O, cóż za ładny kawał ziemi mielibyśmy wówczas, jakbym ja na nim gospodarował! Powiadają, że ma się wydać za pana Courtois, swego rządę, tożes ty więcej wart od niego! Ja bym prowadził młyn, gdy ona paradowałaby w Angouleme.

— Ojczy, dałem słowo...

— Dawidzie, ty nie masz pojęcia o handlu, idziesz do ruiny! Tak, jeśli się ożenisz z tą dziewczyną z Houmeau, ubezpieczę się wobec ciebie sądownie, pozwę cię o czynsze, bo nie przewiduję nic dobrego. O moje biedne prasy! Moje prasy! Ileż to trzeba było pieniędzy, aby was naoliwić, utrzymać, puścić w ruch! Jedynie dobry rok urodzaju mógłby mnie pocieszyć po tym, com usłyszał.

— Mój ojczy, zdaje mi się, że dotąd mało sprawiłem ci zgryzot...

— A jeszcze mniej płaciłeś czynszów — odparł stary.

— Przyszedłem cię prosić, prócz zezwolenia na małżeństwo, o to, abyś mi wybudował drugie piętro i wystawił mieszkanko nad oficyną.

— Figę z makiem, nie mam ani szeląga, wiesz o tym. Zresztą, to by były pieniądze rzucone do wody, cóż by mi to przyniosło? Ha, wstajesz o świcie, aby mnie nagabywać o budowlę zdolne zrujnować króla! Mimo że dano a na imię Dawid, ja nie posiadam. skarbów Salomona. Aleś ty oszalał! Zamieniono mi chyba moje dziecko u mamki! Ten zapowiada się solennie! — rzekł przerywając, aby pokazać Dawidowi szczep. — Oto dzieci, które nie zawodzą nadziei rodziców; nawieziesz je, przynoszą ci dochody. Oddałem cię do liceum, płaciłem ogromne sumy, aby z ciebie zrobić uczzonego, umieściłem cię u Didotów: wszystkie figle kończą się tym, iż wprowadzasz mi do domu dziewczynę z Houmeau bez grosza posagu! Gdybyś się nie uczył, gdybyś został pod moim okiem, byłbyś się prowadził wedle mej woli i ożeniłbyś się dziś z młynarką stutysieczną, nie licząc młyna. Więc tak, twoja mądrość służy na to, abyś sobie myślał, że ja cię wynagrodzę za te piękne uczucia budując ci pałace?... Powiedziała by kto, doprawdy, że od dwustu lat w twoim domu mieszkały tylko świni i że dziewczyna z Houmeau nie może się tam. przespać. Ejże. Czy to królowa francuska?

— Zatem, ojczu, wybuduję piętro własnym kosztem; niechże syn wzbogaci ojca. Mimo że to wywraca na opak porządek świata, zdarza się niekiedy.

— Jak to, chłopcze, masz na budowanie, a nie masz na czynsz? Spryciarzu, ty kręcisz z ojcem!

Kwestia tak postawiona stawiała się trudna do rozwiązania; stary uszczęśliwiony był, iż może synowi nic nie dać zachowując pozory ojcostwa. Toteż Dawid nie zdołał uzyskać od ojca nic więcej, jak tylko proste zezwolenie na małżeństwo oraz na dokonanie własnym kosztem w domu ojca potrzebnych przeróbek. Stary niedźwiedź, ów wzór ojców dawnej daty, uczynił synowi tę łaskę, że nie wymagał zaległych czynszów i nie obdzierał go z oszczędności, z jakimi syn niebacznie się zdradził. Dawid posmutniał, zrozumiał, że w razie nieszczęścia nie może liczyć na pomoc ojca.

W całym Angouleme gadano jedynie o koncepcie biskupa i odpowiedzi pani de Bargeton. Najmniejsze wydarzenia wypaczono, powiększono, upiększono niebawem tak, iż poeta stał się bohaterem chwili. Ze sfer wyższych, gdzie huczała ta burza plotek, spadło kilka kropel i w światek mieszczański. Kiedy Lucjan przechodził przez Beaulieu udając się do pani de Bargeton, zauważył zazdrosną baczość, z jaką przyglądało mu się wielu młodych ludzi, oraz pochwycił kilka zdań, które go wbiły w dumę.

— Oto szczęśliwy chłopak — rzekł dependent adwokacki nazwiskiem Petit-Claud, bardzo brzydki, kolega szkolny Lucjana, wobec którego ten przybierał protekcyjne miny.

— Nie ma gadania: ładny chłopiec, ma talent i pani de Bargeton szaleje za nim. — odparł jakiś obywatelski synek, który był obecny przy lekturze.

Lucjan niecierpliwie oczekiwał godziny, w której wiedział, iż zastanie Luizę samą; czuł potrzebę uzyskania jej zezwolenia na małżeństwo siostry. Pani de Bargeton stała się panią jego losów. Po wczorajszym wieczorze Luiza będzie może tkliwsza, a tklivość ta snadnie sprowadzi chwilę szczęścia... Nie omylił się: pani de Bargeton przyjęła go z emfazą uczucia, która temu nowicjuszowi w amorach wydała się wzruszającym postępem miłości. Poddała piękne złote włosy, ręce, głowę płomiennym pocałunkom poety, który przez wczorajszy wieczór tyle wycierpiał!

— Gdybyś widział swoją twarz, kiedy czytałeś! — rzekła; wczorajszego dnia bowiem doszli do owego „ty”, do tej pieszczoty słów, wówczas gdy na kanapie Luiza białą ręką otarła krople potu, zawczasu strojące perłami czoło, na które ona kładła wieniec. — Iskry sypały się z twych pięknych oczu! Zdało mi się, że widzę wychodzące z twoich ust złote łańcuchy, na jakich zawisają serca u warg poetów. Przeczytasz mi całego Cheniera, to poeta kochanków. Nie będziesz już cierpieć więcej, ja nie chcę! Tak, drogi aniele, stworzę ci oazę, w której będziesz żył pełnym życiem poety, na przemian czynnym, miękkim, leniwym, pracowitym, myślącym; ale nie zapominaj nigdy, że twoje laury mnie się należą z prawa, że to będzie dla mnie wspaniałe odszkodowanie za cierpienia, które mnie czekają. Biedny mój, drogi, ten świat nie oszczędzi mnie, jak ciebie nie oszczędził; mści się za każde szczęście, którego nie dzieli. Tak, będą mi zawsze zazdrościć; czy nie widziałeś wczoraj? Jak te muchy krwiożercze prędko się zbiegły, aby ssać ranki, które zadały! Ale byłam szczęśliwa! Żyłam! Już od tak dawna nie dźwięczały struny mego serca!

Łzy popłynęły po policzkach Luizy; Lucjan wziął ją za rękę i za całą odpowiedź wycisnął na niej długi pocałunek. Ta kobieta głaskała wszystkie próżności poety, tak samo jak matka, siostra, Dawid. Każdy dokoła niego pracował nad wywyższeniem urojonego piedestału, na którym się znalazł. Utrzymywany przez cały świat, zarówno przez przyjaciół, jak przez wściekłość nieprzyjaciół, w swoich ambitnych przeświadczeniach, kroczył w atmosferze zwodnych mirażów. Młoda wyobraźnia tak łatwo staje się współniczką tego rodzaju pochwał i myśli, wszystko tak kwapi się służyć pięknemu, pełnemu przyszłości młodzieńcowi, że trzeba więcej niż jednej gorzkiej i zimnej lekcji, aby rozproszyć takie czary.

— Chcesz zatem, uroczą Luizo, być moją Beatryczą, ale Beatryczą, która pozwala się kochać?

Podniosła piękne oczy, dotąd spuszczone, i rzekła przecząc słowom anielskim uśmiechem:

— Jeżeli zasłużysz... później! Czy nie jesteś szczęśliwy? Mieć oddane serce! Móc wszystko powiedzieć z tą pewnością, że się będzie rozumianym, czy to nie szczęście?

— Tak — odparł z miną dąsającego się kochanka.

— Dzieciaku! — rzekła przedrzeźniając go. — No, czy nie masz mi nic do powiedzenia? Wszedłeś jakby zaprzątnięty jakąś myślą, mój Lucjanie.

Lucjan zwierzył nieśmiało swej ukochanej wzajemną miłość Dawida i siostry, jak również zamierzone małżeństwo.

— Biedny Lucuś — rzekła — boi się, że go wybiją, połają, jakby to on sam się żenił! Ale cóż w tym widzisz złego? — dodała wodząc palcami po włosach Lucjana. — Co mnie obchodzi twoja rodzina, w której ty jesteś wyjątkiem? Gdyby mój ojciec zaślubił służącą, czy bardzo byś się troszczył o to? Drogie dziecko, kochankowie są sami dla siebie całą rodziną. Czy ja mam w świecie inną troskę prócz mego Lucjana? Bądź wielki, umiej zdobyć sławę, oto co nas obchodzi!

Słyszając tę egoistyczną odpowiedź Lucjan *czuł* się najszczęśliwszym człowiekiem. W chwili gdy słuchał szalonych racji, za pomocą których Luiza udowydniała mu, że są sami na świecie, wszedł pan de Bargeton. Lucjan zmarszczył brwi, zmieszany; Luiza dała mu znak i poprosiła, aby został na obiedzie, nakłaniając, aby jej poczytał Andrzeja Chenier, póki nie zejdą się gracze i goście wieczorni.

— Sprawi pan przyjemność nie tylko żonie — rzekł pan de Bargeton — ale i mnie. Nic mi nie robi tyle przyjemności, co słuchać czytania po obiedzie.

Karmiony słodyczami przez pana de Bargeton, pieszczony przez Luizę, obsługiwany przez lokai z owym szacunkiem, jaki mają dla faworytów państwa, Lucjan został w pałacu Bargetonów wzywając się we wszystkie rozkosze fortuny, do której używalności go dopuszczono. Kiedy salon napęłnił się ludźmi, uczuł się tak silny głupotą pana de Bargeton i miłością Luizy, że przybrał postawę zwycięzcy, w której piękna kochanka umacniała go jeszcze. Kosztował rozkoszy władzy zdobytej przez Nais, której sprawiało przyjemność z nim ją dzielić. Słowem, tego wieczora odgrywał w całej pełni rolę bohatera małego miasteczka. Widząc tę zmianę w zachowaniu Lucjana, niektóre osoby mniemały, że, wedle staroświeckiego wyrażenia, między nim a panią de Bargeton doszło do ostateczności. Amelia, przybyła w towarzystwie pana du Chatelet, ogłaszała tę katastrofę w kącie salonu, gdzie się skupili zazdrośni i zawistni.

— Nie wińcie Nais za wysoki próżności smarkacza nie posiadającego się z dumy, iż znalazł się w świecie, w którym nigdy nie spodziewał się stąpić nogą — rzekł du Chatelet. — Nie widzicie, że ten Chardon bierze uprzejmość światowej damy za awanse?

Nie umie jeszcze odróżnić milczenia, które cechuje prawdziwą miłość, od protekcyjnych grzeczności, jakie nań ściąga jego uroda, młodość i talent! Los kobiet byłby zbyt ciężki, gdyby odpowiadały za wszystkie pragnienia, które budzą. On jest zakochany, to pewne; ale co się tyczy Nais...

— Och! Nais — podjęła przewrotna Amelia — Nais jest bardzo szczęśliwa z tego uczucia. W jej wieku miłość młodego chłopca przedstawia tyle uroków! Kobieta odzyskuje wówczas młodość, staje się młodą dziewczyną, przybiera jej skrupuły, wzięcie, zapomina o śmieszności... Ot, patrz pan! Syn aptekarza przybiera tony władcy u pani de Bargeton!

— Miłość nie zna, co to stany — zanucił Adrian. Nazajutrz nie było ani jednego domu w całym Angouleme, gdzieby nie dyskutowano stopnia poufałości, w jakiej pozostaje pan Chardon, alias de Rubempre, z panią de Bargeton: parę tę, ledwie winną kilku pocałunków, świat obwiniął już o najbardziej zbrodnicze szczęście. Pani de Bargeton płaciła za

swoje panowanie. Wśród różnych dziwactw społeczeństwa czyście nie zauważyli kaprysu jego sądów i szaleństwa jego wymagań? Są osoby, którym wszystko wolno; mogą robić rzeczy najniewłaściwsze; u tych wszystko jest w porządku; ludzie na wyprzódki usprawiedliwiają wszystkie ich postęпки. Ale są inne osoby, wobec których świat okazuje niewiarygodną surowość: te powinny czynić wszystko dobrze, nigdy się nie mylić, nie błędzić, nie popełniać nawet najłżejszego głupstwa; rzeklibyście: posągi otoczone podziwem, które ściąga się z piedestału, z chwilą gdy mróz odkruszył im palec lub koniec nosa; nie pozwala się im na nic ludzkiego, mają obowiązek być ciągle boskie i doskonałe. Jedno spojrzenie pani de Bargeton na Lucjana równoważyło dwanaście lat słodczy Ziziny i Frania. Uścisk dłoni kochanków miał ściągnąć na nich wszystkie gromy Charenty.

Dawid przywiózł z Paryża sekretny zapasik, który przeznaczył na koszty małżeństwa oraz przybudówki na ojcowskim domu. Powiększyć ten dom — czyż nie znaczyło pracować na siebie? Prędzej czy później musiał on spaść na niego, ojciec miał siedemdziesiąt osiem lat. Drukarz kazał tedy wznieść w formie drewnianej nadbudowy mieszkanko Lucjana, aby nie przeciążać porysowanych murów starego domostwa. Z zapalem zabrał się do zdobienia, meblowania mieszkania na pierwszym piętrze, gdzie piękna Ewa miała spędzić życie. Był to dla dwóch przyjaciół czas wesela i niezmaconego szczęścia. Mimo iż znużony, ciasnotą prowincjonalnego żyda i nieznośnymi oszczędnościami, które czyniły z pięciu franków ogromną sumę, Lucjan zniósł bez skargi rachuby ubóstwa i jego prywacie. Posępna melancholia ustąpiła miejsca promiennej nadziei. Widział gwiazdę błyszczącą nad swą głową; marzył o świetnej egzystencji lokując swe szczęście na grobie pana de Bargeton, który od czasu do czasu miał trawienie nieco utrudnione oraz tę szczęśliwą manię, aby niestrawność poobiednią uważać za chorobę, na którą najlepszym lekarstwem jest obfita wieczerza.

Około początku września Lucjan nie był już prote, był panem de Rubempre, mieszkającym wspaniale w porównaniu do nędznego poddasza, jakie młody Chardon zajmował w Houmeau; nie był już „człowiekiem z Houmeau”, mieszkał w wyżnym Angouleme i bywał cztery razy na tydzień na obiedzie u pani de Bargeton. Zyskawszy łaskę biskupa, miał wstęp i do jego pałacu. Zatrudnienia jego stawiały go w rzędzie najwyżej położonych osób. Wreszcie miał kiedyś zająć miejsce między chwałami Francji. To pewna, iż przebiegając ładny salonik, uroczą sypialnię i gotownię pełną smaku mógł zapomnieć o przykrości, iż zagarnia trzydzieści franków na miesiąc z ciężkiego zarobku matki i siostry; widział bowiem dzień, kiedy romans historyczny, nad którym pracował od dwóch lat. „Gwardzista Karola IX”, i tomik poezyj zatytułowanych „Stokrocie” rozgłoszą jego imię w literaturze, przynosząc mu dość pieniędzy, aby się mógł wypłacić wobec matki, siostry i Dawida. Toteż czując, jak urasta, łowiąc uchem rozgłos swego nazwiska w przyszłości, przyjmował teraz te ofiary ze szlachetną ufnością; uśmiechał się ze swej niedoli, cieszył się ostatnimi chwilami swej nędzy. Ewa i Dawid kładli szczęście brata przed własnym. Ślub opóźnił się wskutek zwłoki, jakiej żądali robotnicy dla wykończenia mebli, obić, malowań pierwszego piętra, sprawy bowiem Lucjana szły przed innymi. Kto znał Lucjana, nie dziwiłby się temu poświęceniu: był tak uroczy! W obejściu miał tyle pieszczoty! Swą niecierpliwość i swoje pragnienia umiał objawiać z takim wdziękiem! Zawsze wygrał sprawę, nim się odezwał. Przez ten fatalny przywilej więcej młodych ludzi ginie, niż wypływa. Przyzwyczajeni do względów, jakie spotyka wszędzie urodziwa młodość, szczęśliwi z owego samolubnego poparcia, jakiego świat użycza istocie, która mu się podoba, tak jak daje jałmużnę żebrakowi, który budzi w nim współczucie, wiele tych wielkich dzieci cieszy się tą łaską, zamiast z niej korzystać. Łudząc się co do istoty sprężyn społecznych, spodziewają się *zawsze* spotkać ujmujące uśmiechy; ale dochodzą, nadzy, łysi, obdarci, bez wartości i mienia, do chwili, w której — niby stare kokietki i stare łachmany — świat porzuca ich u drzwi salonu lub na rogu ulicy.

Ewa zresztą sama chciała tego opóźnienia, pragnęła w oszczędny sposób zaopatrzyć dom w rzeczy potrzebne dla gospodarstwa. Czegóż mogła odmówić para kochanków bratu, który widząc, jak siostra pracuje, mówił z głębi serca: — Chciałbym umieć szyć! — Poważny i bacznie obserwujący Dawid stał się również współnikiem tego poświęcenia. Mimo wszystko, od czasu triumfów Lucjana u pani de Bargeton uczuwał lęk przed przeobrażeniem, jakie dokonywało się w chłopcu; lękał się, iż rozwinie się w nim wzdarga dla mieszczańskiej prostoty. Pragnąc doświadczyć brata, Dawid stawiał go niekiedy w konieczności wyboru między patriarchalnymi uciechami rodziny a rozkoszami wielkiego świata; aż widząc, że Lucjan chętnie nieraz poświęca dla rodziny swoje upodobania i próżnostki, wykrzyknął: — Nie zepsują go nam! — Często trójka przyjaciół i pani Chardon urządzali sobie wycieczki, ot, jak to na prowincji: puszczała się na przechadzkę w okoliczne lasy, ciągnące się wzdłuż Charenty; przyrzadzali na trawie śniadanie z zapasów, które uczeń Dawida przynosił we wskazane miejsce; następnie wracali wieczór, nieco znużeni, nie wydawszy ani trzech franków. W wielkich okolicznościach, kiedy puścili się za miasto na obiadek w tak zwanej restauracji — było to coś pośredniego między prowincjonalnym handelkiem a paryską knajpką — wydatek dochodził pięciu franków, które dzieliło się między Dawida a Chardonów. Dawid był nieskończenie wdzięczny Lucjanowi, iż umiał zapomnieć w tych sielskich dniach zadowoleń próżności, które znajdował u pani de Bargeton, oraz wspaniałych obiadów wielkiego świata. Każdy chciał wówczas fetować wielkiego człowieka z Angouleme.

W tym stanie rzeczy, w chwili gdy już niemal niczego nie brakło do przyszłego gospodarstwa, Dawid wybrał się do Marsac, aby uzyskać od ojca jego udział w ceremonii, w nadziei, iż starowina, rozbrojony urokiem synowej, przyczyni się do ogromnych wydatków spowodowanych urządzeniem domu. Otóż tego właśnie dnia zdarzył się jeden z owych wypadków, które w małym miasteczku zupełnie zmieniają postać rzeczy.

Lucjan i Luiza posiadali w panu du Chatelet domowego szpiega, który z wytrwałością nienawiści, łączonej z miłością i interesem, czatował na sposobność wywołania skandalu. Sykstus chciał zmusić panią de Bargeton do tak wyraźnego oświadczenia się za Lucjanem, aby się stała tym, co nazywają kobietą zgubioną. Przybrał rolę skromnego powiernika pani de Bargeton; ale o ile w jej domu rozpyływał się w zachwytach nad Lucjanem, pastwił się nad nim, ile mógł, gdzie indziej. Nieznacznie zdobył sobie wstęp o każdej godzinie do Nais, która pozbyła się nieufności do starego wielbiciela; ale baron zbyt wiele pokładał zaufania w kochankach, których miłość pozostawała wciąż platoniczną, ku wielkiej zresztą rozpaczycy Luizy i Lucjana. Bywają w istocie namiętności, które ruszyły z miejsca złą czy dobrą nogą, jak kto woli. Obie strony grzęzną w taktyce uczucia, mówią — miast działać i biją się w szczerym polu — zamiast podjąć obłężenie. Często zdarza się, iż sprzykrzą się sobie znużywszy swoje pragnienia w próżni. W takiej grze kochankowie zostawiają sobie czas na to, aby się zastanawiać, aby sądzić. Często namiętności, które wyruszyły w pole z rozwiniętymi sztandarami, dziarskie, z zapalem nie pohamowanym żadną zaporą, wracają w końcu do domu bez chwały, bez trofeów, zawstyżone, rozbrojone, ogłupiałe swym próżnym hałasem. Fatalności te dadzą się niekiedy wytłumaczyć nieśmiałością młodego wieku oraz targami, w jakich lubują się kobiety nowicjuszek, tego rodzaju bowiem wzajemne oszukaństwa nie zdarzają się ani wygom wytartym w praktyce życia, ani kokietkom przyzwyczajonym do miłosnych manewrów.

Życie prowincjonalne jest zresztą szczególnie wrogie zadowoleniom miłosnym i sprzyja intelektualnym bojom wielkich uczuć; przeszkody, jakie wszystko bez wyjątku stawia słodkiej poufałości, tak bardzo wiążącej kochanków, rzucają gorące dusze w ostateczne krańce. Życie to oparte jest na tak drobiazgowym szpiegostwie, na tak doskonałej przejrzystości wnętrza domu, tak mało dopuszcza serdecznego zbliżenia, które daje chwile szczęścia nie obrażając cnoty, najczystsze stosunki spotykają się z tak niedorzecznymi oskarże-

niami, że wiele kobiet dostaje się pod pręgierz mimo swej niewinności. Niejedna wyrzuca sobie również, iż nie zakosztowała słodczy błędu, którego dźwiga wszystkie ciężary. Społeczeństwo, które bez poważniejszego zbadania potępia lub krytykuje oczywiste fakty, jakimi kończą się długie, tajemne walki, jest w ten sposób w samym zaczątku współwinne tych wykroczeń; ale większość ludzi piorunujących przeciw rzekomemu zgorszeniu, do jakiego powód dają owe bez racji spotwarzane kobiety, nie zastanawia się nigdy nad przyczynami doprowadzającymi je do takiej publicznej rezolucji. Pani de Bargeton miała się znaleźć w tej dziwacznej sytuacji, jak znalazło się w niej wiele kobiet, które się zgubiły dopiero w następstwie niesłusznego oskarżenia.

W początkach namiętności przeszkody przerażają ludzi niedoświadczonych, te zaś, z którymi spotkała się para kochanków, były bardzo podobne do więzów, którymi Lilipuci skrzepowali Guliwera. Były to same „nic”, mnożące się w takiej ilości, iż czyniły każde poruszenie niemożliwym i unicestwiały najgwałtowniejsze pragnienia. I tak pani de Bargeton zawsze musiała być widzialna. Gdyby kazała zamknąć dla gości drzwi w godzinach, w których bywał Lucjan, byłoby to otwarte przyznanie: na jedno wyszłoby uciec po prostu z kochankiem. Przyjmowała go, to prawda, w buduarze, z którym był tak oswojony, iż czuł się w nim jak gdyby panem; ale drzwi były cały czas skrupulatnie otwarte. Wszystko odbywało się najcnotliwiej w świetle. Pan de Bargeton snuł się po domu jak chrząszczyk, nie przypuszczając, aby żona życzyła sobie zostać sam na sam z Lucjanem. Gdyby nie było innej zapyry prócz męża, Nais mogłaby doskonale wyprawić go lub zatrudnić; ale miała równocześnie pełno wizyt, a liczba odwiedzających rosła, w miarę jak wzrastał się pieprzyk ciekawości. Mieszkańcy prowincji są z natury przekorni, lubią przeszkadzać rodzącym się uczuciom. Służba łąziła po domu, nie wołana i nie pukając, wskutek od dawna przyjętych zwyczajów, którym kobieta nie mająca nic do ukrywania pozwoliła się zakorzenić. Zmieniać coś w porządku domu czyż nie byłoby jawnym przyznaniem się do miłości, co do której Angouleme było jeszcze w niepewności? Pani de Bargeton nie mogła uczynić kroku poza domem, żeby miasto całe nie wiedziało, dokąd się udaje. Przechadzać się sam na sam z Lucjanem za miastem byłoby postępkami zupełnie niedwuznacznym: mniej już niebezpieczne byłoby zamknąć się z nim u siebie w domu. Gdyby Lucjan został po północy u pani de Bargeton sam, gadano by o tym natychmiast nazajutrz. Tak więc, wewnątrz i zewnątrz, pani de Bargeton żyła ciągle na widowni. Te szczegóły malują całą prowincję: błędy są tam albo publiczne, albo niemożliwe.

Luiza — jak wszystkie kobiety porwane namiętnością, a nie mająca doświadczenia — ogarniała kolejno wszystkie trudności swego położenia: przerażały ją. Przestach jej odbijał się wówczas w owych miłosnych dyskusjach, które pochłaniają najpiękniejsze godziny sam na sam. Pani de Bargeton nie miała majątku ziemskiego, dokąd by mogła uwięzić swego kochanego poetę, jak czynią niekiedy kobiety, które pod zręcznie ułożonym pozorem zagrzebują się na jakiś czas na wsi. Znużona tym życiem ciągle na widowni, doprowadzona do ostateczności swą tyranią, której jarzmo nie równoważyło się ze słodczymi, jakich kosztowała, myślała o Escarbas i zamierzała wybrać się tam do starego ojca, tak dały się jej we znaki te nędzne zapyry.

Chatelet nie wierzył w tyle niewinności. Śledził godziny, w których Lucjan zjawiał się u pani de Bargeton, i wkraczał w kilka chwil później, zawsze w towarzystwie pana de Chandour, człowieka najniedyskretniejszego w całym kółku. Wchodząc puszczał go przodem, spodziewając się zawsze, iż przypadek pozwoli mu trafić na drażliwy moment. Rola jego i powodzenie planu były tym trudniejsze, iż sam musiał zostać neutralny, aby móc powodować aktorami planowanego dramatu. I tak, aby uspić Lucjana, dla którego udawał przyjaźń, oraz panią de Bargeton, nie pozbawioną przenikliwości, przybrał pozory człowieka, który się zaleca do zazdrosnej Amelii. Aby sobie zapewnić lepszą służbę szpiegowską dokoła Luizy i Lucjana, zdołał od kilku dni wszcząć z panem de Chandour spór na te-

mat zakochanej pary. Du Chatelet twierdził, iż pani de Bargeton żartuje sobie z Lucjana, że jest zbyt dumna, zbyt wysoko urodzona, aby się zniżyć do aptekarskiego synka. Ta rola niedowiarka odpowiadała planowi, jaki sobie zakresił: chciał uchodzić za obrońcę pani de Bargeton. Stanisław utrzymywał, że Lucjan nie jest trzymany tak krótko, Amelia podsycała dyskusję, chcąc dowiedzieć się prawdy. Każdy dawał swoje racje. Jak zdarza się w małych miasteczkach, często parę bliskich osób trafiało na moment rozmowy, gdy du Chatelet i Stanisław motywowali szeroko swoje opinie za pomocą nader bystrych uwag. Zrozumiałe jest, że każdy z przeciwników szukał partyzantów, zapytując pierwszego z brzegu: — A pan, jakie pańskie zdanie? — Ta kontrowersja czyniła panią de Bargeton i Lucjana przedmiotem nieustannej obserwacji.

Jednego dnia, w dyskusji, du Chatelet zwrócił uwagę, że ilekroć pan de Chandour i on zjawiają się u pani de Bargeton podczas wizyty Lucjana, żaden szczegół nie zdradza jakichś podejrzanых stosunków: drzwi są otwarte, służba wchodzi, wychodzi, nic tajemniczego nie zwiastuje uroczych występów miłości, etc. Stanisław, który miał porządną dawkę głupoty, postanowił nazajutrz wejść na palcach, w którym to zamiarze utwierdziła go przewrotna Amelia.

Owo „nazajutrz” był to u Lucjana dzień, w którym młodzi ludzie wrywają sobie kilka włosów, przysięgając sami sobie nie znosić dłużej głupiego stanowiska wzdychacza. Oswoił się ze swą pozycją. Poeta, który niegdyś tak trwożliwie ujmował krzesło w poświęcanym buduarze królowej Angouleme, przeobraził się w wymagającego kochanka. Pół roku wystarczyło, aby uwierzył, że jest równy Luizie, i oto chciał być jej panem. Wyszedł z domu postanawiając sobie popełnić wszystkie szaleństwa, postawić życie na kartę, użyć wszystkich środków płomiennej wymowy, powiedzieć, że obłąd go się chwyta, że niezdolny jest począć jednej myśli ani napisać jednego wiersza. Istnieje u niektórych kobiet wstręt do powziętych z góry postanowień: wstręt, który przynosi zaszczyt delikatności ich uczuć. Lubią ustępować porywowi, ale nie ukartowanym planom. Na ogół nikt nie chce przyjemności narzuconej. Pani de Bargeton zauważyła na czole Lucjana, w jego oczach, fizjonomii i wzięciu ów niepokój, świadczący o obmyślonym zamiarze; umyśliła sobie sparować go, trochę przez zmysł przekory, ale także przez szlachetne pojęcie miłości. Jako kobieta skłonna do przesady, przesadzała sobie wartość własnej osoby. W swoich oczach pani de Bargeton była niby królową, Beatryczą, Laurą. Zasiadła, niby w średnich wiekach, pod baldachimem literackiego turnieju; Lucjan winien był zasłużyć ją po wielu zwycięstwach; trzeba mu było zaćmić „boskie dziecię”²⁸, Lamartine'a, Walter Scotta, Byrona. Szlachetna istota uważała swą miłość za pierwiastek twórczy; pragnienie, które budziła w Lucjanie, winno być stać się dlań pobudką chwały. Ten donkiszotyzm kobiecy jest uczuciem, które niejako uświęca miłość, czyni ją użyteczną, większą, chlubniejszą. W intencji odgrywania roli Dulcynei w życiu Lucjana przez siedem do ośmiu lat, pani de Bargeton chciała, jak wiele kobiet na prowincji, kazać kupić swą osobę rodzajem lennictwa, okresem stałości, który by jej pozwolił wypróbować kochanka.

Kiedy Lucjan podjął walkę za pomocą owych dąsów, z których śmieją się kobiety wolne jeszcze sercem, a które osmucają jedynie kobietę kochającą, Luiza przybrała minę pełną godności i uderzyła w jedną ze swych tyrad najeżonych wielkimi słowami.

— Czy to mi przyrzekałeś, Lucjanie? — rzekła w końcu. — Nie obciążaj tak słodkiej terażniejszości zgryzotą, która później zatrulaby mi życie. Nie psuj przyszłości i, powtarzam to z dumą, nie psuj terażniejszości! Czy nie posiadasz całego mego serca? Czegóż ci trzeba? Czyżby twoja miłość dała się powodować zmysłem, gdy najpiękniejszym przywilejem kochanej kobiety jest nakazać im milczenie? Za kogo mnie bierzesz? Czy już nie jestem twoją Beatryczą? Jeżeli nie jestem dla ciebie czymś więcej niż kobietą, jestem mniej niż kobietą!

²⁸ tak miał nazwać Chateaubriand młodziutkiego Wiktora Hugo (Przyp. tłum.).

— Cóż innego mogłaby pani powiedzieć człowiekowi, którego byś nie kochała? — wykrzyknął Lucjan, wściekły.

— Jeżeli nie czujesz, ile jest prawdziwej miłości w moim sposobie myślenia, nigdy nie będziesz mnie godny.

— Podajesz moją miłość w wątpliwość, aby nie musieć jej odpłacić — rzekł Lucjan rzucając się jej do nóg i płacząc.

Biedny chłopiec płakał na dobre, widząc się skazanym na tak długą stację u wrót raju. Były to łzy poety, który czuje się upokorzony w swej potędze, Izy dziecka w rozpacz, iż odmawiają mu upragnionej zabawki.

— Nigdy mnie nie kochałaś! — wykrzyknął.

— Nie wierzysz w to, co mówisz — odparła, mile pogłaskana tym wybuchem.

— Dowiedz zatem, że jesteś moją — rzekł Lucjan, współprytomny.

W tej chwili Stanisław zjawił się nie słyszany, ujrzał Lucjana na wpół leżącego na ziemi ze łzami w oczach i z głową na kolanach Luizy. Zadowolony tym ostatecznie podejrzanym obrazem. Stanisław wykonał szybki odwrót wprost na pana du Chatelet, który pozostał w progu salonu. Pani de Bargeton zerwała się żywo, ale nie dosięgła dwóch szpiegów, którzy cofnęli się szybko, jak ludzie, którzy przybyli nie w porę.

— Kto tu był? — spytała służby.

— Panowie de Chandour i du Chatelet — odparł Gentil, stary lokaj pani de Bargeton. Wróciła do buduaru blada i drżąca.

— Jeżeli cię widzieli w tej pozie, jestem zgubiona — rzekła do Lucjana.

— Tym lepiej! — wykrzyknął poeta.

Uśmiechnęła się na ten wykrzyknik pełnego miłości egoizmu. Na prowincji podobna anegdota zyskuje na wadze przez sposób, w jaki się ją opowiada. W *jednej* chwili każdy wiedział, że zaskoczono Lucjana u kolan Nais. Pan de Chandour, uszczęśliwiony ważnością, jaką mu dawała ta przygoda, poszedł najpierw opowiedzieć wielki wypadek do klubu, a potem od domu do domu. Du Chatelet skwapliwie zaznaczał wszędzie, że nic nie widział; ale wysuwając się w ten sposób poza nawias, równocześnie podniecał Stanisława wyciągając go na coraz drażliwsze szczegóły; Stanisław zaś czując, że ma powodzenie, dodawał za każdym razem coś nowego. Wieczorem całe towarzystwo napłynęło do Amelii; do wieczora bowiem najprzesadniejsze wieści rozeszły się po arystokratycznym Angouleme, gdzie każdy narrator naśladował Stanisława. Wszyscy, kobiety i mężczyźni, żądni byli dowiedzieć się prawdy. Do kobiet, które zasłaniały sobie twarz wykrzykując o skandalu i zepsuciu, należały przede wszystkim Amelia, Zefiryna, Fifi, Lolota, wszystkie mniej lub więcej obciążone niedozwolonym szczęściem. Drażliwy temat obrabiano na wszystkie tony.

— I cóż — mówiła jedna — ta biedna Nais? Czy wiecie? Co do mnie, nie wierzę; ma za sobą całe życie bez skazy; jest o wiele za dumna, aby być czym innym niż protektorką pana Chardon. Ale jeżeli tak jest, żal mi jej z całego serca.

— Tym bardziej godna jest współczucia, że ściąga na siebie straszliwą śmieszność; ostatecznie mogłaby być matką pana Lulu, jak go nazywa Jakub. Ten pocina ma co najwyżej dwadzieścia dwa lata, a Nais, mówiąc między nami, dobrze sięga czterdziestki.

— Co do mnie — rzekł du Chatelet — uważam, że właśnie położenie, w jakim znajdował się pan de Rubempre,

dowodzi niewinności Nais. Człowiek nie pada na kolana, aby prosić o to, co już miał.

— To zależy! — rzekł Franio filuternym tonem, który ściągnął nań karcące spojrzenie Zefiryny.

— Ale powiedzże pan wreszcie, jak to było — pytali wszyscy Stanisława, tłocząc się w poufnym kółku w kącie salonu.

Stanisław zrobił z tego wydarzenia małą powiastkę pełną domyslników i podkreślał je gestami i pozami obciążającymi całą rzecz w wysokim stopniu.

— To nie do uwierzenia! — powtarzano.

— W południe? — mówiła jedna z pań.

— Nais była ostatnią kobietą, którą bym podejrzewała !

— Co ona robi teraz?

Nastąpiły komentarze, przypuszczenia bez końca!... Du Chatelet bronił pani de Bargeton; ale bronił tak niezręcznie, że podsycił jeszcze ogień komerażów zamiast go ugasić. Lili, zrozpaczona upadkiem najpiękniejszego anioła angulemskiego Olimpu, poszła, zapłakana, obnieść nowinę po konsystorzu. Kiedy miasto było już dostatecznie wzburzone, szczęśliwy du Chatelet udał się do pani de Bargeton. gdzie zastał, niestety! tylko jeden stolik wista; poprosił dyplomatycznie Nais o chwilę rozmowy w buduarze. Usiedli na kanapie.

— Wie pani zapewne — rzekł du Chatelet przyciszonym głosem — czym zajmuje się całe Angouleme?

— Nie — odparła.

— Zanadto — rzekł — jestem pani przyjacielem, aby panią zostawić w nieświadomości. Obowiązkiem moim jest dać pani możność uśmierzenia potwarzy wymyślonych z pewnością przez Amelię, która jest na tyle zuchwała, aby się uważać za twoją rywalkę. Zaszedłem dziś rano odwiedzić panią z tą małpą Stanisławem, który szedł przede mną o kilka kroków, kiedy doszedłszy tutaj — rzekł du Chatelet wskazując na drzwi — oznajmił, iż widział panią z panem de Rubempre w sytuacji, która nie pozwoliła mu wejść; wpadł na mnie, cały poruszony, pociągając mnie z sobą i nie dając czasu na opamiętanie się; byliśmy już w Beaulieu, kiedy mi wyjawiał przyczynę swego odwrotu. Gdybym ją znał, nie byłbym się ruszył z salonu, aby oświecić tę sprawę na pani korzyść; ale wrócić do domu raz wyszedłszy, to by nie dowodziło niczego. Teraz, czy Stanisław widział fałszywie, czy miał słuszość, trzeba, aby się mylił. Droga Nais, nie zostawiaj swego życia, honoru, przyszłości na igraszkę w rękach głupca; natychmiast trzeba go zmusić do milczenia. Zna pani moje położenie tutaj. Mimo iż potrzebuję po trosze wszystkich, jestem pani zupełnie oddany. Rozporządzaj życiem, które do ciebie należy. Jakkolwiek odrzuciłaś moje marzenia, serce moje zawsze pozostanie twoim i w każdej sposobności potrafię ci dowieść, jak bardzo cię kocham. Tak, będę czuwał nad tobą niby wierny sługa, bez nadziei nagrody, jedynie dla przyjemności, jaką znajduję w tym, aby ci służyć, nawet bez twojej wiedzy. Dziś rano oświadczyłem wszędzie, że byłem w drzwiach i nie widziałem nic. Jeżeli cię spytają, kto panią uprzedził o tych plotkach, powołaj się na mnie. Byłoby dla mnie zaszczytem być twym jawnym obrońcą; ale otwarcie mówiąc, pan de Bargeton jest to jedyny człowiek, który może zażądać rachunku od Stanisława... Gdyby nawet ten głuptasek Rubempre popełnił jakie szaleństwo, honor kobiety nie może być na łasce pierwszego wariata, który jej padnie do nóg. Oto co powiedziałem.

Nais podziękowała du Chateletowi skinieniem głowy i zadumała się. Czuła się znużona aż do wstępu życia prowincji. Za pierwszym słowem pana du Chatelet myśl jej spoczęła na Paryżu. Milczenie pani de Bargeton postawiło jej przemyślnego przyjaciela w kłopotliwym położeniu.

— Rozporządzaj mną, pani — rzekł — powtarzam.

— Dziękuję — odparła.

— Co pani zamierza uczynić?

— Zobaczę. Długie milczenie.

— Czy tak bardzo pani kocha tego malca? Na ustach Nais zaigrał dumny uśmiech; zaplotła na piersiach ramiona, wodząc oczyma po ścianach buduaru.

Du Chatelet wyszedł nie zdolawszy odcyfrować serca wyniosłej kobiety. Kiedy Lucjan i czterej wierni starcy, którzy przybyli na partyjkę nie dając się wzruszyć zagadkowym plotkom, pożegnali się, pani de Bargeton zatrzymała męża, który właśnie wybierał się na spoczynek otwierając usta, aby życzyć żonie dobrej nocy.

— Chodź tutaj, mój drogi, mam z tobą do pomówienia — rzekła z pewną uroczystością w głosie. Pan de Bargeton udał się za żoną do buduaru.

— Posłuchaj — rzekła — może źle uczyniłam roztaczając nad młodym de Rubempre opiekuńczą protekcję, równie źle zrozumianą przez głupców z tego miasteczka, jak przez niego samego. Dziś rano Lucjan rzucił mi się do nóg wyznając miłość. Stanisław wszedł w chwilę, gdy właśnie podnosiłam z kolan nieboraka. Depcąc obowiązki, jakie w każdej okoliczności delikatność nakazuje szlachcicowi wobec kobiety, rozpowiada, iż przydybał mnie w dwuznacznym położeniu z tym chłopcem, którego potraktowałam w owej chwili tak, jak zasługiwał. Gdyby ten młody szaleniec znał potwarze, których jego wybryk stał się powodem, znam go, spoliczkowałby Stanisława i zmusił go do pojedynku. Czyn ten byłby niejako publicznym wyznaniem miłości. Nie potrzebuję ci mówić, że żona twoja jest czysta; ale zrozumiesz, iż byłoby ubliżające dla ciebie i dla mnie, aby pan de Rubempre był moim obrońcą. Idź w tej chwili do Stanisława i uroczyście zażądaj rachunku z obrażających plotek, które o mnie rozszerza; pamiętaj, że nie powinienes przyjąć zadośćuczynienia, o ile nie odwoła swoich słów w obecności licznej grupy. Zdobędziesz w ten sposób poklask wszystkich uczciwych ludzi: zachowasz się jak człowiek honoru, jak człowiek dzielny, i będziesz miał prawo do mego szacunku. Wyprawię konnego posłańca do Escarbas, ojciec musi być twoim świadkiem; mimo swoich lat, wiem, że byłby zdolny zdeptać nogami tego pajaca, który kala reputację urodzonej Negrepelisse. Przysługuje ci wybór broni; wybierz pistolety, strzelasz świetnie.

— Idę — rzekł pan de Bargeton biorąc laskę i kapelusz.

— Dziękuję ci — rzekła małżonka, wzruszona — lubię takich mężczyzn. Jesteś prawdziwym szlachcicem.

Podawała mu do pocałunku czoło, które starzec ucałował wzruszony i dumny. Ta kobieta, mająca niby macierzyńskie uczucie dla tego dziecka, nie mogła wstrzymać łez słysząc trzask wjazdowej bramy zamykającej się za nim.

„Jak on mnie kocha! — pomyślała. — Biedaczysko przywiązany jest do życia, a jednak poświęciłby je dla mnie bez żalu.”

Pan de Bargeton nie troszczył się o to, że nazajutrz przyjdzie mu stanąć na placu i popatrzeć zimno w skierowaną weń lufę pistoletu; nie, kłopotał się w tej chwili tylko o jedno i drżał na tę myśl idąc do pana de Chandour.

„Co ja mu powiem? — pomyślał. — Nais powinna mi była dać notatkę.”

I łamał sobie głowę, aby sformułować jakieś parę zdań, które by nie były śmieszne.

Ale ludzie, którzy żyją, jak pan de Bargeton w milczeniu nałożonym ograniczeniem umysłu i szczupłością horyzontów, posiadają w wielkich okolicznościach zupełnie naturalną uroczystość. Ponieważ mówią mało, tym samym mało wymyka się im głupstw: ponieważ zaś długo myślą nad tym, co mają powiedzieć, nieufność do samych siebie każe im tak gruntownie wystudiować swą orację, iż wysławiają się doskonale, fenomenem podobnym owemu, który rozwiązał język oślicy Balaama. Toteż pan de Bargeton wywiązał się z zadania jak człowiek niepospolity. Usprawiedliwił opinię tych, którzy go uważali za filozofa ze szkoły Pitagorasa. Wkroczył do domu pana de Chandour około jedenastej i zastał liczne towarzystwo. Przywitał się w milczeniu z Amelią i uczył każdego swym głupim uśmiechem, który w danych okolicznościach wydał się głęboko ironiczny. Zapanała wielka cisza, jak w naturze za zbliżaniem się burzy. Du Chatelet, który powrócił, spoglądał w bardzo znaczący sposób kolejno na pana de Bargeton i na Stanisława, do którego obrażony mąż przystąpił nader dwornie.

Du Chatelet zrozumiał znaczenie odwiedzin w godzinie, o której starzec zwykle już spoczywał: widocznie Nais poruszała tym wątłym ramieniem, że zaś pozycja jego wobec Amelii dawała mu prawo mieszania się do spraw tego domu, wstał, wziął pana de Bargeton na stronę i rzekł:

— Chce pan mówić ze Stanisławem?

— Tak — rzekł starowina, szczęśliwy, iż znalazł po-średnika, który może wyrećzy go w oracji.

— Idź pan tędy do sypialnego pokoju — odparł dyrektor podatków, uszczęśliwiony z tego pojedynku, który mógł uczynić panią de Bargeton wdową, rozłączając ją zarazem z Lucjanem, przyczyną tej zwady.

— Stanisławie — rzekł du Chatelet do pana de Chandour — Bargeton przybył z pewnością żądać wyjaśnień w sprawie tego, co mówiłeś o Nais. Idź do pokoju żony i zachowujcie się obaj, jak przystało dżentelmenom. Nie rób hałasu, okaż niewzruszoną grzeczność, słowem, rozwiń cały chłód brytyjskiej godności.

W jednej chwili Stanisław i du Chatelet znaleźli się naprzeciw Bargetona.

— Panie — rzekł obrażony mąż — pan twierdzisz, iż zastałeś panią de Bargeton w dwuznacznej sytuacji z panem de Rubempre?

— Z panem Chardon — odparł ironicznie Stanisław, który nie uważał pana de Bargeton za groźnego człowieka.

— Niech i tak będzie — odparł mąż. — Otóż, jeżeli pan nie odwołasz tego w obecności towarzystwa, które jest w tej chwili w twoim domu, proszę, abyś postarał się o świadka. Mój teść, pan de Negrepelisse, zgłosi się do pana o czwartej rano. Poczyńmy obaj dyspozycje, gdyż sprawa może się załatwić tylko w sposób przeze mnie wskazany. Jako strona obrażona wybieram pistolety.

Przez całą drogę pan de Bargeton przetrawiał to przemówienie, najdłuższe, jakie wygłosił w życiu, tak iż wypowiedział je bez uniesienia, w sposób najprostszy w świecie. Stanisław zbladł i rzekł sobie w duchu: „Cóż ja ostatecznie widziałem?”

Ale między wstydem odwołania własnych słów wobec całego miasta, w obecności tego niemowy, który widocznie nie znał, co to żarty, a strachem, ohydny strachem chwytającym go palącymi rękami za gardło, wybrał niebezpieczeństwo bardziej oddalone.

— Dobrze... Do jutra — rzekł do pana de Bargeton, z myślą, iż może rzeczy jakoś się ułożą.

Trzej mężczyźni wrócili do salonu, gdzie każdy śledził wyraz ich twarzy. Du Chatelet uśmiechał się, pan de Bargeton był zupełnie taki jak u siebie w domu, natomiast Stanisław był błądy. Na ten widok parę kobiet odgadło przedmiot rozmowy. Słowa: „biją się” zaczęły krążyć z ust do ust. Połowa zebrania pomyślała, iż Stanisław zawinił, błądność jego i zmieszanie świadczyły o kłamstwie; druga połowa podziwiała zachowanie pana de Bargeton. Du Chatelet starał się być poważny i tajemniczy. Postawszy przez kilka chwil, przyglądając się fizjonomiom, pan de Bargeton wysunął się.

— Czy masz pistolety? — rzekł du Chatelet do ucha Stanisława, który zadrzał.

Amelia zrozumiała wszystko; zrobiło się jej słabo, kobiety odniosły ją do sypialni. Powstał straszliwy zgiełk, wszyscy mówili naraz. Mężczyźni zostali w salonie i oświadczyli jednogłośnie, że pan de Bargeton jest w swoim prawie.

— Czy bylibyście myśleli, że ta fujara zdolna jest zachować się w ten sposób? — rzekł pan de Saintot.

— Ależ — rzekł nielitościwy Jakub — to on za młodu był jednym z najteższych graczy w pojedynku. Ojciec często mi opowiadał o sprawkach Bargetona.

— Ba! Postawcie ich o dwadzieścia kroków i, o ile weźmiecie kawaleryjskie pistolety, nic sobie nie zrobią — rzekł Franio do du Chateleta.

Skoro wszyscy się rozeszli, du Chatelet dodał otuchy Stanisławowi i jego żonie, upewniając, że wszystko pójdzie dobrze i że w pojedynku między człowiekiem sześćdziesięcioletnim ostatni ma wszelką przewagę.

Nazajutrz rano Lucjan śniadał razem z Dawidem, który wrócił z Marsac od ojca, kiedy pani Chardon weszła poruszona.

— No cóż, Lucjanie, czy wiesz nowinę, o której mówią wszyscy, nawet na targu? Pan de Bargeton o włos nie zabił pana de Chandour dziś rano o piątej. Zdaje się, pan de Chandour opowiadał wczoraj, iż przychwycił cię z panią de Bargeton.

— To fałsz! Pani de Bargeton jest niewinna! — wykrzyknął Lucjan

— Wieśniak, od którego słyszałam szczegóły, widział wszystko jadąc wózkiem. Pan de Negrepelisse przyjechał o trzeciej rano, aby służyć za świadka panu de Bargeton; powiedział panu de Chandour, że gdyby zięciowi zdarzyło się nieszczęście, on podejmuje się go pomścić. Oficer kawalerii pożyczył pistoletów, które pan de Negrepelisse wypróbował na kilka zawodów. Pan du Chatelet chciał się sprzeciwić przestrzeliwaniu pistoletów, ale oficer, wzięty za arbitra, powiedział, że o ile się nie chce robić ze sprawy błazeństwa, trzeba się upewnić, czy broń jest w porządku. Świadkowie ustawili przeciwników o dwadzieścia pięć kroków. Pan de Bargeton, który zachowywał się, jak gdyby wyjechał na przechadzkę, strzelił pierwszy i wpakował panu de Chandour kulę w szyję, tak iż ten padł nie mogąc nawet wystrzelić. Chirurg oświadczył przed chwilą, że pan de Chandour będzie miał szyję skrzywioną na całe życie. Przyszłam ci opowiedzieć rezultat, abyś nie szedł do pani de Bargeton ani nie pokazywał się w Angouleme: ktoś z przyjaciół pana de Chandour mógłby cię zaczepić.

W tej chwili wszedł Gentil, służący pani de Bargeton, wprowadzony przez czeladnika z drukarni, i oddał Lucjanowi bilecik Luizy:

Wiadomo Ci zapewne, drogi Lucjanie, o wyniku pojedynku między panem de Chandour a moim mężem. Nie przyjmujemy dziś nikogo. Bądź rozsądny, nie pokazuj się, proszę Cię o to w imię Twego przywiązania dla mnie. Czy nie uważasz, że najlepszym zużyciem tego smutnego dnia będzie przyjść porozmawiać z Twoją Beatrycą, której życie uległo wskutek tego wypadku zupełnej przemianie i która ma Ci tysiąc rzeczy do opowiedzenia?

— Szczęściem — rzekł Dawid — ślub mój naznaczony jest na pojutrze; będziesz miał pozór, aby mniej często pokazywać się u pani de Bargeton.

— Drogi Dawidzie — odparł Lucjan — Luiza prosi mnie, abym ją odwiedził dziś jeszcze; sądzę, że trzeba być posłusznym; będzie wiedziała lepiej od nas, jak powinienem się zachować w obecnych okolicznościach.

— Wszystko zatem gotowe? — spytała pani Chardon.

— Pójdźcie zobaczyć — wykrzyknął Dawid, szczęśliwy, iż może pokazać przeobrażenie, jakiego doznało mieszkanko na pierwszym piętrze, gdzie wszystko było świeże i nowe.

Oddychał tam ów luby duch panujący w młodych małżeństwach, gdzie kwiat pomarańczowy i welon oblubienicy wieńczą zarazem i życie domowe, gdzie wiosna miłości odbija się w każdym sprzęcie, gdzie wszystko jest białe, czyste i kwitnące.

— Ewa będzie tu jak księżniczka — rzekła matka — ale ty musiałeś wydać za wiele pieniędzy, porobiłeś szaleństwa!

Dawid uśmiechnął się w milczeniu; pani Chardon dotknęła palcem tajemnej rany, która sprawiała straszny ból biednemu kochankowi. W wykonaniu obliczenia tak się rozrosły, że nie podobna było dokonać przybudówki nad oficyną. Teściowa zatem długo jeszcze nie mogła mieć mieszkania, w jakie pragnął ją wprowadzić. Szlachetne dusze doświadczają najwyższego bólu, gdy im przychodzi chybić tego rodzaju przyrzeczeniom, które stanowią poniekąd małe próżnostki uczucia. Dawid ukrywał starannie swoje kłopoty, aby oszczędzić Lucjana, który mógłby odczuć brzemień poświęceń uczynionych dla niego.

— Ewa z przyjaciółkami też dzielnie pracowały — rzekła pani Chardon. — Wyprawka, bielizna stołowa, wszystko gotowe. Te dziewczęta tak ją kochają, że zupełnie bez jej wiedzy pokryły materace białą szarszą z różowymi wypustkami. Ślicznie wygląda! Aż zbiera ochota pójść za męża!

Matka z córką zużyły wszystkie oszczędności, aby zaopatrzyć dom Dawida w rzeczy, o których nie myślą nigdy młodzi ludzie. Widząc, ile on rozwija zbytku — była mowa i o porcelanowym serwisie zamówionym w Limoges! — starały się utrzymać harmonię pomiędzy rzeczami, które one wносиły, a tymi, które kupował Dawid. Ta mała walka uczucia i hojności musiała doprowadzić do tego, iż młoda para znalazła się w kłopotach finansowych od samego początku, wśród wszystkich pozorów skromnego dobrobytu, mogącego uchodzić za zbytek w zacofanym miasteczku, jakim było wówczas Angouleme. W chwili gdy Lucjan ujrzał, iż matka i Dawid przechodzą do sypialni z obiciem w białe i niebieskie prążki, której miłe urządzenie było mu już znane, wymknął się do pani de Bargeton. Zastał Nais przy śniadaniu z mężem, który czując przypływ apetytu po rannej przejażdżce, zjadał bez najmniejszej troski o to, co się zdarzyło. Stary domator wiejski, pan de Negrepelisse, figura na wskroś imponująca, zabytek dawnego francuskiego rycerstwa, siedział obok córki. Kiedy Gentil oznajmił pana de Rubempre, białowłosego starzec obrzucił Lucjana badawczym spojrzeniem ojca, który ciekaw jest ocenić człowieka wyróżnionego przez córkę. Nadzwyczajna uroda Lucjana uderzyła go tak żywo, iż nie mógł się wstrzymać od aprobującego spojrzenia; ale zdawał się widzieć w stosunku córki raczej miłość, kaprys niż trwałe uczucie. Skoro śniadanie miało się ku końcowi, Luiza wstała zostawiając ojca i pana de Bargeton oraz dając znak Lucjanowi, aby się udał za nią.

— Mój przyjacielu — rzekła głosem smutnym i radosnym zarazem — jadę do Paryża, ojciec zaś zabiera pana de Bargeton do Escarbas, gdzie zostanie przez czas mej nieobecności. Pani d'Espard, z domu Blamont-Chauvry, z którą jesteśmy spokrewnieni przez d'Espardów, starszą linię rodziny Negrepelisse, jest w tej chwili bardzo wpływowa i sama przez się, i przez krewnych. Jeżeli raczy przyznać się do nas, będę trzymała się jej towarzysztwa: mogłaby wpływem swoim uzyskać jakieś miejsce dla pana de Bargeton. Wskutek moich starań mogłoby dwór *zyczyć* go sobie jako posła z Charenty, co by się przyczyniło do jego wyboru tutaj. Poselstwo mogłoby później dopomóc mi w moich krokach w Paryżu. To ty, drogie dziecko, natchnąłeś mnie myślą o zmianie egzystencji. Dzisiejszy pojedynek zmusza mnie do zamknięcia domu na jakiś czas, znajdą się bowiem ludzie, którzy staną po stronie Chandourów. W położeniu, w jakim się znajdujemy, w małym miasteczku, takie zniknięcie zawsze jest potrzebne, aby pozwolić usnąć nienawiściom.

Ale albo powiedzie mi się i nie ujrzę już Angouleme, albo nie powiedzie mi się, wówczas chcę czekać w Paryżu momentu, kiedy będę mogła spędzać lato w Escarbas, a zimę w Paryżu. To jedyny tryb życia dla kobiety mego stanowiska i zbyt późno zdecydowałam się na to. Dzień jeden wystarczy na wszystkie przygotowania, wyjadę jutro w nocy, a ty będziesz mi towarzyszył, nieprawdaż? Pojedziesz naprzód. Pomiędzy Mansle a Ruffec wezmę cię do powozu i niebawem staniemy w Paryżu. Tam, drogi mój, jest życie dla ludzi wyższych. Można się czuć dobrze jedynie wśród równych. *sobie*, wszędzie indziej jest tylko męka. Zresztą Paryż, stolica intelektualnego świata, jest naturalnym teatrem twych sukcesów; przebadz co rychlej przestrzeń, jaka cię od nich dzieli. Nie pozwól myślom twoim pleśnieć na prowincji, spoufal się szybko z wielkimi ludźmi, którzy będą kiedyś wyrazem XIX wieku. Zbliż się do dworu i do władzy. Godności ani zaszczyty nie przyjdą szukać talentu, który kwasi się w małym miasteczku. Wymień mi zresztą jakieś wielkie dzieła dokonane na prowincji. Popatrz, przeciwnie, na szczytnego i biednego Jana Jakuba²⁹, jak go nieprzeparcie pociąga owo słońce duchowe, które tworzy chwałę rozżarzając umysły tarcieć współzawodnictwa. Czyż nie powinienes co rychlej zająć miejsca w plejadzie, jaka

²⁹ Mowa tu o Janie Jakubie Rousseau.

skupia się w każdej epoce? Nie masz wyobrażenia, jak pożyteczne jest dla młodego talentu dostać się na widownię dzięki wysokim stosunkom. Wprowadzę cię do pani d'Espard: nie jest łatwo dostać się do jej salonu, gdzie znajdziesz wszystkie wielkie osobistości, ministrów, ambasadorów, mówców, parów Francji, co najwplywowszych ludzi, bogatych lub sławnych. Trzeba by być bardzo niezręcznym, aby nie obudzić ich zainteresowania, kiedy się jest tak pięknym, młodym i pełnym geniuszu. Wielkie talenty nie znają małostek, użyczą ci swego poparcia. Skoro świat ujrzy cię na wyżynie, dzieła twoje nabędą niezmierniej ceny. Dla artystów wielki problem do rozwiązania to być na widoku. Znajdzie się tam dla ciebie tysiąc sposobności do fortuny: synekury, pensja z królewskiej szkatuły. Burboni tak lubią popierać literaturę i sztukę! Toteż bądź poetą religijnym i rojalistycznym.

To nie tylko cię dobrze postawi, ale stworzy ci los. Czy opozycja, czy liberalizm dają stanowiska, nagrody i stwarzają fortunę pisarzy? Zatem obierz od razu dobrą drogę i kroc tam, gdzie idą geniusze. Znasz mój sekret, zachowaj najgłębsze milczenie i gotuj się spieszyć za mną. Nie chcesz? — dodała, zdziwiona milczeniem kochanka.

Lucjan, oszołomiony tym pospiesznym rzutem oka na Paryż, słysząc te kuszące słowa, miał uczucie, że dotąd żył tylko połową mózgu: zdawało mu się, iż druga połowa odsłania się w tej chwili, tak dalece rozszerzył się jego horyzont. Ujrzał samego siebie w Angoulême, niby żabę pod kamieniem w bajorze, Paryż i jego przepychy, Paryż, który odbija się w prowincjonalnych wyobraźniach niby Eldorado, ukazał mu się w złotolitej szacie, z głową opasaną królewskimi klejnotami, z ramionami otwartymi dla talentów. Znakomici ludzie mieli go przyciągać braterskim uściskiem. Tam wszystko uśmiecha się geniuszowi. Tam nie ma ani zazdrosnych szlachetków siłących się zatrutymi słówkami upokorzyć pisarza, ani tępej obojętności dla poezji. Stamtąd tryskają dzieła poetów; tam płaci się je i stawia na świeczniku. Przeczytawszy pierwsze stronicie „Gwardzysty Karola IX”, księgarze otworzą kasy i rzekną: — Ile pan żąda? — Rozumiał zresztą, iż po podróży, w której skojarzą ich same okoliczności, pani de Bargeton będzie zupełnie jego, że będą żyli ze sobą.

Na te słowa: „Nie chcesz?” odpowiedział łzą, objął Luizę, przycisnął ją do serca i pocętkował jej szyję namiętymi pocałunkami. Następnie zatrzymał się uderzony nagłym przypomnieniem i wykrzyknął:

— Boże, pojutrze ślub siostry!

Był to ostatni krzyk szlachetnego i czystego dziecka. Owe potężne więzy, jakie wiążą młodych ludzi do rodziny, do pierwszego przyjaciela, do wszystkich pierwocin uczuć, miał ugodzić straszliwy cios siekiery.

— Więc cóż — wykrzyknęła dumna Negrepelisse — i cóż ma wspólnego ślub siostry ze sprawą naszej miłości? Tak zależy ci na tym, aby być wodzirejem hulających mieszczan i robotników, że nie możesz się dla mnie wyrzec tych szczytnych rozkoszy? Piękne poświęcenie! — rzekła ze wzgardą. — Wysłałam dziś rano męża, aby się bił za pana. Odejdź, puść mnie! Omyliłam się na panu.

Wyczerpana osunęła się na kanapę. Lucjan podbiegł ku niej przeklinając w duchu rodzinę, Dawida i siostrę.

— Tak wierzyłam w ciebie! — rzekła. — Pan de Cante-Croix miał matkę, którą ubóstwiał, ale aby uzyskać list, w którym mu powiem: „Jestem zadowolona!” — zginął na polu bitwy. A ty, kiedy chodzi o to, aby mi towarzyszyć, nie umiesz się wyrzec kolacji weselnej.

Lucjan chciał się zabić, rozpacz jego była tak prawdziwa, tak głęboka, że Luiza przebaczyła, ale dając mu uczuć, iż trzeba mu będzie okupić tę winę.

— Idź więc — rzekła wreszcie — bądź dyskretny i czekaj jutro wieczór, o północy, o sto kroków za stacją w Mansle.

Lucjanowi ziemia zdała się maleńką pod nogami, wrócił do Dawida ścigany nadzieją niby Orestes przez furie i przewidywał tysiąc trudności, które streszczały się w tym strasz-

nym słowie: „A pieniądze?” Przenikliwość Dawida przerażała go do tego stopnia, iż zamknął się w swoim ładnym gabinecie, aby się ocknąć z oszołomienia, w jakie wtrąciła go nowa pozycja. Trzeba tedy opuścić to mieszkanko urządzone takim kosztem, obrócić w nic coś tyle poświęceń! Lucjan pomyślał, że matka mogłaby tu zamieszkać, Dawid oszczędziłby sobie w ten sposób kosztownej budowy. Wyjazd jego jest tylko z korzyścią dla rodziny. Lucjan znalazł tysiąc przekonywających racji dla swej ucieczki, nie ma bowiem nic równie jezuickiego jak pragnienie. Natychmiast pobiegł do Houmeau, do siostry, aby jej oznajmić swoje nowe losy i naradzić się z nią. Przechodząc koło sklepu pomyślał, że gdyby nie było innego sposobu, pożyczylby u ojcowskiego następcy sumę potrzebną na rok pobytu w Paryżu.

— Jeżeli będę żył obok Luizy, talar dziennie będzie dla mnie majątkiem, a to dopiero tysiąc franków na rok. A za pół roku będę przecież bogaty!

Ewa i matka wysłuchały, pod pieczęcią ścisłej tajemnicy, zwierzeń Lucjana. Obie płakały słuchając ambitnego chłopaka; kiedy pytał o przyczynę zmartwienia, wyznały mu, że wszystko, co posiadały, pochłonęła bielizna stołowa i gospodarska, wyprawa Ewy i mnóstwo nabytków, o których Dawid nie pomyślał, a z których były zadowolone, gdyż w ten sposób Ewa wniosła drukarzowi w posagu dziesięć tysięcy franków. Lucjan zwierzył się z myślą o pożyczce; jakoż pani Chardon podjęła się iść prosić Postela o tysiąc franków z rocznym terminem.

— Ale, Lucjanie — rzekła Ewa ze ściśniętym sercem — więc nie będziesz na moim weselu? Och! Wróć, zaczekam kilka dni! Przecież ona pozwoli ci wrócić tu za dwa tygodnie, skoro raz ją odwiedzisz! Daruje nam jakiś tydzień, nam, któreśmy wychowały cię dla niej! Nasz związek zacząłby się pod złą wróżbą, gdyby ciebie miało brakować... Ale czy ty dosyć będziesz miał tysiąca franków? — rzekła przerywając. — Mimo że w swoim fraczku wyglądasz prześlicznie, masz tylko jeden! Masz tylko dwie cienkie koszule, pozostałe sześć są z grubego płótna. Masz tylko trzy batystowe krawatki, reszta ze zwykłego muślinu; chustki też nie są dość ładne. Czy znajdziesz w Paryżu siostrę, która by ci wyprała bieliznę w ciągu dnia, jeśli będzie trzeba? Musisz mieć więcej, koniecznie. Masz tylko jedną parę świeżych nankinowych spodni, zeszłoroczne nadto są obcisłe, trzeba będzie sprawić w Paryżu, a tam są ceny inne niż w Angouleme. Masz tylko dwie możliwe białe kamizelki, reszta już naprawiana. Wiesz, ja ci radzę, weź dwa tysiące.

W tej chwili Dawid wchodząc usłyszał, zdaje się, ostatnie słowa, popatrzył bowiem w milczeniu na rodzeństwo.

— Nie ukrywajcie mi nic — rzekł.

— A więc — wykrzyknęła Ewa — jedzie z nią!

— Postel — rzekła pani Chardon wchodząc i nie widząc Dawida — godzi się pożyczyć tysiąc franków, ale tylko na pół roku, i żąda obligu podpisanego przez ciebie i przez szwagra; mówi, że ty nie przedstawiasz żadnej gwarancji.

Matka odwróciła się, ujrzała zięcia; zapadło głębokie milczenie. Rodzina Chardonów czuła, jak dalece nadużyła Dawida. Wszyscy byli zawstydzeni. Łza zakręciła się w oku drukarza.

— Nie będziesz zatem na naszym ślubie — rzekł — nie zostaniesz z nami? A ja roztrwonilem wszystko, co miałem! Ach, Lucjanie, kiedyś przynosił Ewie te biedne klejnotki jako dary ślubne, nie wiedziałem — rzekł ocierając oczy i wyjmując puzderko z kieszeni — iż przyjdzie mi żałować, że je kupilem.

Położył kilka safianowych pudełeczek na stole, przed teściową.

— Czemu tak wciąż myślisz o mnie? — rzekła Ewa z anielskim uśmiechem, który łagodził te słowa.

— Droga mamo — rzekł drukarz — idź powiedzieć panu Postel, że godzę się podpisać, widzę bowiem z twojej twarzy, Lucjanie, że masz stanowczy zamiar jechać.

Lucjan pochylił miękko i smutnie głowę, mówiąc po chwili:

— Nie sądźcie mnie źle, moje anioły ukochane. Objął Ewę i Dawida, uściśnął ich, przyciągnął do siebie, dodając:

— Czekajcie rezultatów, a przekonacie się, jak was kocham. Dawidzie, na co zdałby się wysoki lot naszej myśli, gdyby nie pozwolił nam wznieść się ponad małe ceremonie, w jakich prawo zamyka uczucia? Mimo oddalenia czyż dusza moja nie będzie tutaj? Czyliż myśl nas nie zjednoczy? Czyż nie mam przed sobą losu do spełnienia? Czy księgarze przyjdą tu szukać mego „Gwardzisty Karola IX” i „Stokroci”? Wcześniej, później, czy nie trzeba by mi ostatecznie zrobić tego, co robię dzisiaj? Czy mogę kiedy napotkać bardziej sprzyjające okoliczności? Czy cały mój los nie jest w tym, aby na wstępie do Paryża dostać się do salonu margrabiny d'Espard?

— Ma słuszość — rzekła Ewa. — Ty sam czy nie mówiłeś mi, że powinien rychło udać się do Paryża?

Dawid wziął Ewę za rękę, zaprowadził ją do ciasnej alkówki, w której sypiała od siedmiu lat, i szepnął:

— Trzeba mu dwóch tysięcy franków, wszak tak mówiłaś, najdroższa? Postel daje tylko tysiąc.

Ewa objęła narzeczonego spojrzeniem, w którym malowała się cała jej boleść.

— Słuchaj, Ewo ubóstwiana, źle rozpoczniemy życie. Tak, wydatki moje pochłonęły wszystko, co miałem. Zostają mi jedynie dwa tysiące, a połowa tego niezbędna jest, aby utrzymać w ruchu drukarnię. Dać tysiąc twemu bratu — znaczy oddać chleb, narazić nasz spokój. Gdybym był sam, wiem, co bym uczynił; ale jest nas dwoje. Rozstrzygnij.

Ewa, oszołomiona, rzuciła się w ramiona ukochanego, ucałowała go czule i szepnęła mu do ucha, cała we łzach:

— Rób, jak gdybyś był sam; będę pracować, aby odzyskać tę sumę!

Mimo najgorętszego pocałunku, jaki narzeczeni kiedykolwiek wymienili, Dawid opuścił Ewę przybitą i poszedł do Lucjana.

— Nie martw się — rzekł — będziesz miał swoje dwa tysiące.

— Idźcie do Postela — rzekła pani Chardon — bo macie obaj podpisać weksle.

Kiedy dwaj przyjaciele wrócili, zastali Ewę i matkę modlącą się na kolanach. Mimo iż wiedziały, ile nadziei miał urzeczywistnić zwycięski powrót, czuły w tej chwili wszystko, co tracą w tym pożegnaniu; przyszłe szczęście zdawało się im zbyt drogo okupione rozłąką, która miała złamać ich życie i wtrącić je w tysiąc obaw o Lucjana.

— Gdybyś kiedy zapomniał tę scenę — szepnął Dawid Lucjanowi — byłbyś ostatnim z ludzi.

Drukarz uznał widocznie za potrzebne wyrzec te poważne słowa; wpływ pani de Bargeton przerażał go nie mniej jak zgubna zmienność charakteru Lucjana, która mogła go pchnąć zarówno na złą, jak na dobrą drogę. W parę chwil Ewa przysposobiła tobolek Lucjana. Ten Ferdynand Cortez literatury niewiele zabierał z sobą! Zatrzymał na sobie najlepszy surdut, najlepszą kamizelkę i jedną z dwu cienkich koszul. Cała bielizna, sławny frak, przybory i rękopisy tworzyły tak szczupły pakiecik, że aby go ukryć oczom pani de Bargeton, Dawid zaproponował, iż wyśle go dyliżansem pod adresem swego korespondenta, handlarza papieru, z tym, aby go przechował do dyspozycji Lucjana.

Mimo ostrożności zachowanych przez panią de Bargeton dla ukrycia wyjazdu du Chaletet dowiedział się o jej planach. Chciał wiedzieć, czy odbędzie podróż sama, czy w towarzystwie Lucjana; wysłał tedy swego lokaja do Ruffec z poleceniem śledzenia wszystkich powozów zmieniających konie.

„Jeżeli uwiezie swego poetę — pomyślał — mam ją.”

Lucjan wyjechał nazajutrz o świcie z Dawidem, który wystarał się o kabriolet i konia, oznajmiając, iż jedzie do ojca w interesie. To kłamstwo miało w danych okolicznościach

pozory prawdy. Przyjaciele wybrali się do Marsac, gdzie spędzili dzień u starego niedźwiedzia, następnie wieczór udali się za Mansle, aby tam oczekiwać pani de Bargeton, która przyjechała nad ranem. Widząc starą, sześćdziesięcioletnią karoce, którą tyle razy oglądał stojącą w remizie, Lucjan doświadczył jednego z najżywszych wzruszeń w życiu; rzucił się w ramiona Dawida, który rzekł:

— Daj Boże, aby to było dla twego dobra!

Drukarz siadł z powrotem w lichy wózek i zniknął ze ściśniętym sercem: miał straszne przeczucia co do losów Lucjana w Paryżu.

Honoriusz Balzac (1799—1850) postanawiając w roku 1832 skomponować z wszystkich swoich powieści i opowiadań — już napisanych lub dopiero planowanych — olbrzymi fresk historii i obyczajów współczesnego mu francuskiego społeczeństwa nazwał tę całość „Komedią ludzką”. Tytuł nasycony ironią nawiązuje do arcydzieła Dantego, lecz Balzac ściągnął wszystkie kręgi Dantejskich niebios i piekieł na ziemię, na bardzo konkretny grunt i w ściśle określone warunki swojej epoki. Zaludnił scenę tej „Komedii ludzkiej” paru tysiącami postaci z wszystkich prowincji Francji i z jej stolicy, z wszystkich środowisk i warstw społecznych. Postacie te ukazują się w różnych tomach w różnych momentach swego życia, każda ma własną biografię, własną rolę w różnych scenach „komedii”, a wszystkie tchną taką pełnią życia, że zarówno w wyobraźni autora, jak czytelników stały się hardziej rzeczywiste od zwykłych otaczających nas śmiertelników.

Jak stwierdził znakomity polski balzakista Tadeusz Żeleński-Boy, naprawdę ocenić wielkość dzieła Balzaka można dopiero rozpatrując je w włości. Lecz ta całość to według katalogu zestawionego przez autora w 1845 r. sto trzydzieści siedem tytułów, z których Balzac zdążył napisać dziewięćdziesiąt sześć, nim przedwczesna śmierć wytrąciła mu pióro z pracowitej ręki. Są w tym pozycje słabsze i arcydzieła, epizody luźno związane z całością i ogniwa zasadnicze, skupiające główne wątki i odzwierciedlające myśl przewodnią. Takie zasadnicze ogniwo stanowią trzy powieści: „Dwaj poeci”, „Wielki człowiek z prowincji w Paryżu” i „Cierpienia wynalazcy” — w większości wydań dzieł Balzaka objęte wspólnym tytułem: „Stracone złudzenia”.

We „Wstępie” do „Komedii ludzkiej” Honoriusz Balzac nazwał społeczeństwo francuskie historykiem, przy którym on sam pełni tylko skromne funkcje sekretarza.

Wiele jednak lat minęło, nim ów sekretarz zaczął ogłaszać oficjalnie wyniki swoich obserwacji i dociekań, doświadczeń i badań. Oficjalnie, to znaczy pod własnym nazwiskiem, a nie pod jednym z licznych a pomysłowych pseudonimów, jakimi chrzcił z upodobaniem rozwlekłe, nacechowane tanią sensacją i tandetną fantastyką romansidła, które płodził niekiedy nawet wspólnie z kolegami po piórze, jak i on stawiającymi pierwsze kroki w redakcjach i wydawnictwach.

Nie przyniosły mu zresztą te plody ani sławy, ani pieniędzy, podobnie jak żartobliwe, modne podówczas rozprawki traktujące o sztuce noszenia krawatów lub oszukiwania wierzycieli. Za przełomową datę w twórczości przyszłego autora „Komedii ludzkiej” należy zatem uważać rok 1829, kiedy to już nie Lord R'hoone ani Horace de Saint-Aubin, lecz Honoriusz Balzac we własnej osobie ogłosił „Szuanów” i „Fizjologię małżeństwa”: powieść historyczną z niedawno minionej przeszłości i zbiór opatrzonych autorskim komentarzem dykteryjek o rzeczach intymnych francuskiej alkozy.

W materii obu wymienionych książek o tematyce krańcowo różnej znajdujemy jednak pewien wspólny i niezwykle istotny dla Balzaka element: nasz sekretarz z pedantyczną ścisłością trzyma się faktów. „Szuanie” powstał więc w oparciu o studia terenowe i archi-

walne, co w ówczesnej francuskiej powieści historycznej było nowością; „Fizjologia” zaś w głównych swoich zarysach przypomina reportaż obyczajowy, ubarwiony narracją nowelisty nie zawsze zresztą wybrednego.

Ale życie też nie zawsze bywa wybredne, a Balzac nie oddzielał literatury od życia, doświadczeń ludzkich od estetycznych. W przeciwnym razie byłby sekretarzem kłamliwym lub nieudolnym. Lecz i sekretarz ma prawo do marzeń i złudzeń... i do ich utraty. Stąd tytuł cyklu „Stracone złudzenia”, powstałego w latach 1837—43.

„Dwaj poeci” stanowią tutaj preludium, na pozór sielskie. Lucjan Chardon, przystojny i dobrze zapowiadający się poeta, marzy, by wrócić do arystokratycznego nazwiska swojej matki, z domu de Rubsm-pre. Za Restauracji to rzecz nader istotna. Tłem snobistycznych poczynañ Lucjana jest prowincjonalne miasto Angouleme, jego salony, plotki, intrygi. I byłby to po trosze taki balzakowski „Wielki świat Capowic”, gdyby w tym wąskim wycinku nie zarysowywał się już z całą wyrazistością dramat rozczarowanego pokolenia, zmarnowanej energii wyzwolonej przez rewolucję 1789 roku i wojny napoleońskie. Koteria prowincjonalnego salonu pani de Bargeton, o której względy zabiega Lucjan mając na widoku wyższe szczeble kariery, to w pomniejszeniu socjeta paryska, tak olśniewająca Balzaka swoimi świetnościami.

Lucjan zatem zdążający za wszelką cenę do Paryża to sam Balzac wyidealizowany we własnych oczach. Nie ten, z którego korpulencji i krzykliwej elegancji szydzą w salonach paryskich, ale wysmukły blondyn anielskiej urody, za którym, jak za Lucjanem, szaleją kurtyzany i księżne.

Ale sekretarz trzeźwieje, spogląda w lustro i portretuje siebie: „To Dawid Sechard, drukarz, a nie Lucjan, ma powierzchowność Honoriusza: twarz tłusta, ogorzała, głowa wsparta na grubej szyi, nos płaski, niesymetrycznie rozdwojony na końcu, przebijające błyski geniuszu...” — pisze Andre Maurois.

Balzakowskie biografie bowiem cechuje nieubłagana konsekwencja.